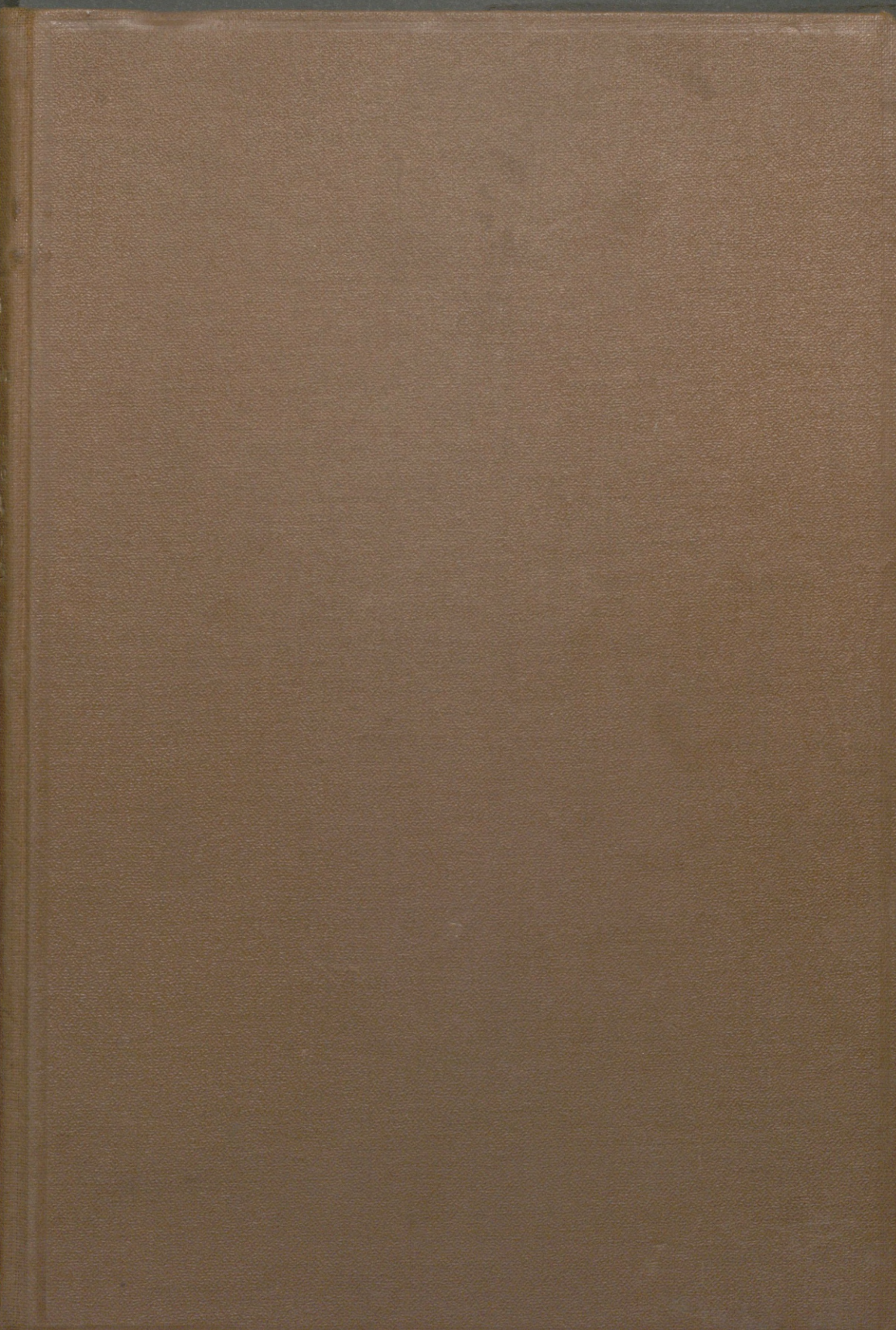
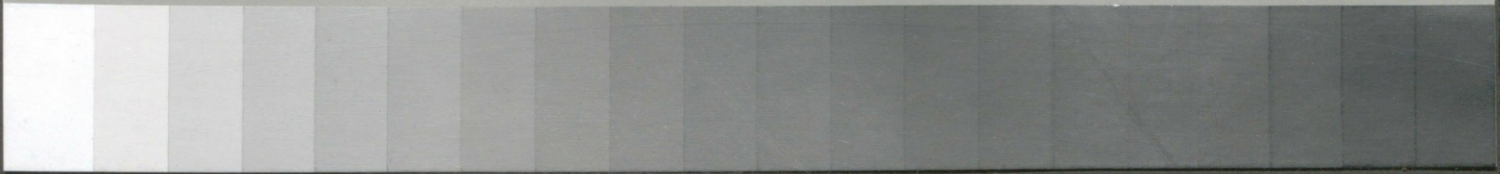


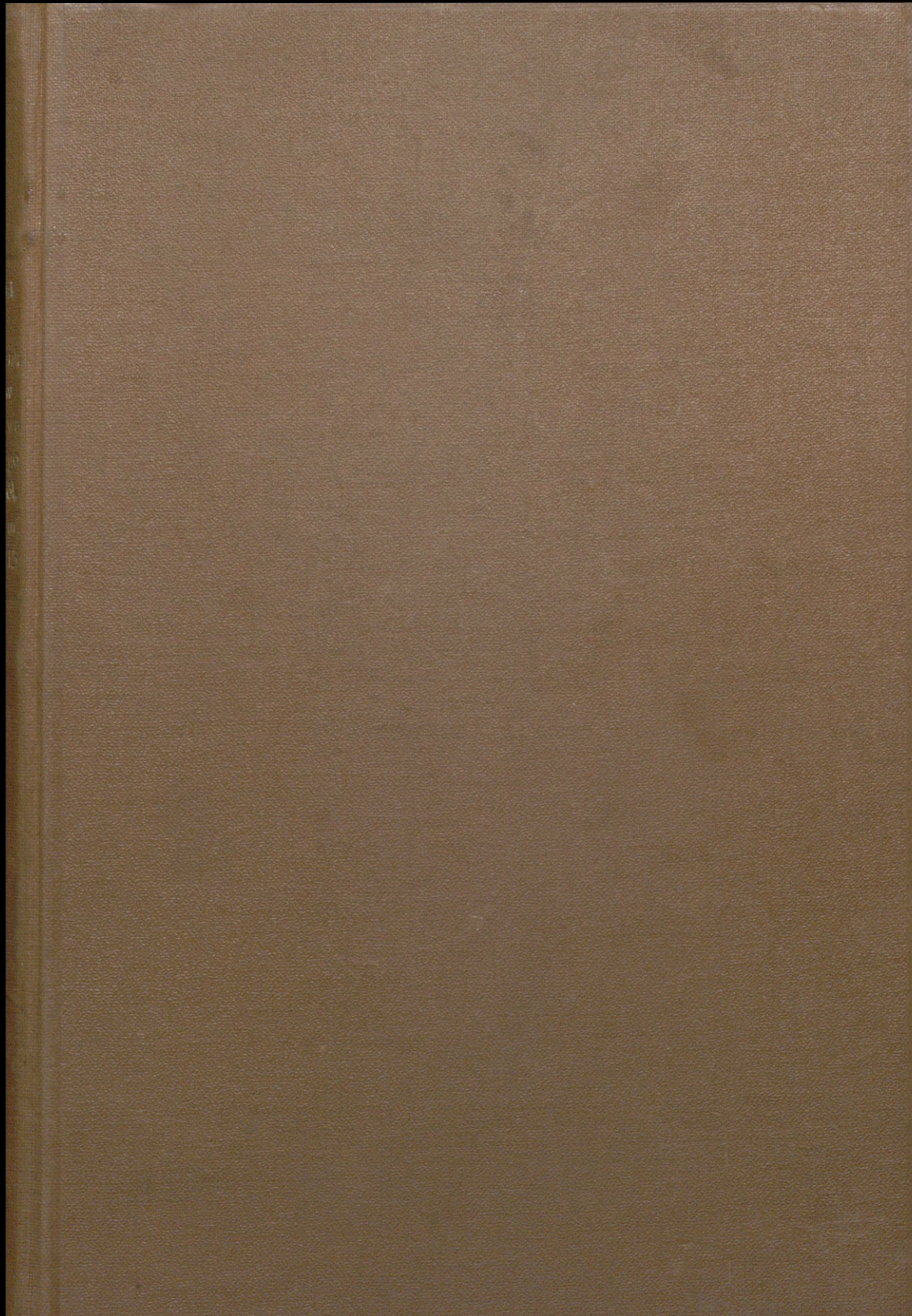


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 **M** 8 9 10 11 12 13 14 15 **B** 17 18 19





Wacław Iwanowski
WARSZAWA (Żoliborz)
ul. Drużbackiej 5.

..-7 STCZ. 1937

WSPOMNIENIA
Z CZASÓW SZKOLNICTWA ROSYJSKIEGO
W B. KRÓLESTWIE POLSKIM
1868 — 1915.



prof. Jan Nočický

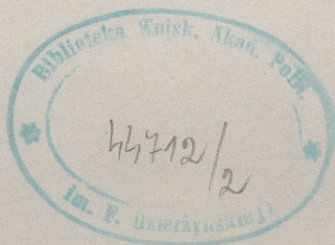
PROF. JAN WOŁYŃSKI

WSPOMNIENIA
Z C Z A S Ó W
SZKOLNICTWA ROSYJSKIEGO
W B. KRÓLESTWIE POLSKIM
1868 — 1915 R.

NAKŁADEM AUTORA
WARSZAWA 1936.

SKŁAD GŁÓWNY: KSIĘGARNIA MICHAŁAK I S-KA
(DAWNIEJ KSIĘGARNIA KSIAŻNICA-ATLAS)
W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 59

DRUK. J. B. KONDECKI
WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 53A



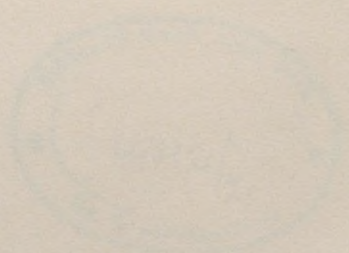
PRZEDMOWA

Pamięci Trzech przedwcześnie zgasłych
Ukochanych Istot: Żony Lucyny i Córek,
Janiny i Marji, poświęca te Wspomnienia
o swej pracy nauczycielskiej pod obcym
zaborem

AUTOR.

zaborem
o swej pracy w tym zakresie pod obym
Janiny i Młodych, którzy w Wschodzie
Ukraińskich, którzy w tym
Pamięć tych przedwojennych

AUTOR



PRZEDMOWA.

Wspomnienia niniejsze są wynikiem całej mojej wieloletniej pracy pedagogicznej. Będąc dziś na schyłku życia nie mogłem pozostawić okresu rusyfikacji szkolnictwa w b. Królestwie Polskim bez pewnego oświetlenia faktów, jakie się wówczas działy, tembardziej, że nikt z moich współkolegów takiego materiału, jaki się składa na treść „Wspomnień”, mieć nie mógł.

Powoływany do różnych prac czyto w komisjach egzaminacyjnych, czyto do opracowania programu języka polskiego, czyto do ustalenia tekstu i wyjaśnienia intencji zapisodawców funduszków stypendjalnych i innych, miałem możność zbliżenia się do ówczesnych wybitnych dygnitarzy Warszawskiego Okręgu Naukowego, poznania dokładnie ich działalności wogóle, stosunku tak do nauki i wychowania młodzieży, jak i do nauczycielstwa, a szczególnie do nas, Polaków. Przez wieloletni okres swej pracy pedagogicznej brałem udział w życiu naszego społeczeństwa i poznałem wiele osobistości, mających styczność pośrednią lub bezpośrednią ze szkolnictwem.

Sądzę, że szereg faktów, epizodów, informacji, charakterystyk osób i zdarzeń, dokumentów, w które obfitują „Wspomnienia”, staną się przyczynkiem dla przyszłego historyka szkolnictwa naszego z czasów, które moje „Wspomnienia” obejmują.

Z tego względu, pomimo podeszłego wieku i tragicznych przeżyć, uważałem za obowiązek społeczny i patriotyczny dać garstkę materiału przyszłemu historykowi. Będę szczęśliwy, jeżeli bezpretensjonalnie pisane moje „Wspomnienia” chociaż w części osiągną cel, dla którego zostały ogłoszone drukiem.

AUTOR.

Warszawa, Wrzesień 1936 r.

Pierwsze próby rusyfikacji b. Kongresówki.

Pierwszym krokiem do zrusyfikowania szkół w b. Kongresówce było zatwierdzenie nowej ustawy dla szkół dn. 31 sierpnia 1841 r., która się zbiegła jednocześnie z utworzeniem w 1839 r. na podstawie najwyższego dekrety z dnia 20 listopada (2 grudnia) Warszawskiego Okręgu Naukowego w miejsce dotychczas istniejącej państwowej Komisji Oświecenia Narodowego. Sprawy naukowe Okręgu Warszawskiego były oddane pod bezpośrednią władzę specjalnie na ten cel utworzonego departamentu ministerjum oświaty w Petersburgu. Głównym zadaniem Warsz. Okręgu Naukowego było ściśle złączenie wszystkich zakładów naukowych Królestwa z takimiż zakładami cesarstwa i danie młodzieży polskiej środków do umysłowego i moralnego kształcenia się narówni z młodzieżą innych części cesarstwa i wogóle pod każdym względem zrównania nauki, żeby przygotować młodzież polską do wstępowania do uniwersytetów rosyjskich. Ówczesny minister oświaty hr. Uwarow — pod jego bowiem specjalną opieką znajdował się Okrąg Warszawski — często przypominał ówczesnemu kuratorowi warszawskiemu hr. Okuniewowi, że najwyższa wola polega na tem, żeby szkolnictwo w Polsce pod każdym względem było uzgodnione ze szkolnictwem w cesarstwie i dlatego był wprowadzony ten sam program i te same podręczniki; dzięki temu i większość przedmiotów była wykładana w języku rosyjskim. W takim stanie szkolnictwo nasze istniało i przy następnym kuratorze Muchanowie, który z najwyższego rozkazu przeprowadził drobne zmiany, polegające na wprowadzeniu nowego typu szkół.

Dopiero po wejściu do rządu Królestwa 27 marca 1861 r. margrabiego Wielopolskiego i objęciu przez niego stanowiska

głównego dyrektora państwowej Komisji spraw duchownych i oświaty narodowej, sprawa szkolnictwa wzięła zupełnie inny obrót dla narodu polskiego.

Przedewszystkiem został zniesiony Okrąg Naukowy, uzależniony od władz cywilnych, a wszystkie gimnazja poddano pod władzę Komisji spraw duchownych i oświecenia narodowego. Wielopolski utworzył 13 gimnazjów w miejsce dotychczas istniejących 7, a mianowicie: 3 w Warszawie, po jednym w Piotrkowie, Kaliszu, Radomiu, Kielcach, Pińczowie, Siedlcach, Szczebrzeszynie, Płocku, Łomży i Suwałkach, a oprócz tego 23 szkoły powiatowe w całym kraju.

Reforma Wielopolskiego.

Margrabia Wielopolski gruntownie zreformował szkolnictwo w r. 1862. O sposobie przeprowadzenia samej reformy słyszałem od znanego pedagoga i wybitnego profesora języka i literatury ojczystej śp. Romana Plenkiewicza, że w dniu 1 maja jednocześnie zostały zamknięte wszystkie szkoły i zwołana komisja do przeprowadzenia reformy miała polecone w czasie od 1 maja do 1 października skończyć wszelkie swoje czynności, które polegały:

1. na utworzeniu typów szkół,
2. ustaleniu miejsc, w których te szkoły miały być otwarte,
3. opracowaniu programów dla wszelkiego typu szkół,
4. wyboru odpowiednich podręczników,
5. na wyszukaniu odpowiedniego personelu nauczycielskiego.

Najtrudniej było znaleźć odpowiednie siły nauczycielskie, bo, jak wiadomo, w kraju nie było uniwersytetu, a w uniwersytetach rosyjskich kończyła swoje studja nieliczna tylko młodzież polska. Pomimo tak wielkich trudności wszystkie stanowiska zostały obsadzone głównie dzięki temu, że margrabia sprowadził odpowiednie siły nauczycielskie polskie z ówczesnej Galicji i ks. Poznańskiego, jak również przyjmował nauczycieli Polaków usuniętych z kresów, gdzie wtenczas zaczęła się bezwzględna rusyfikacja szkół dotychczas polskich. Na 1 października wszystko było gotowe, reforma szkolna podana była do ogólnej wiadomości i każdy z nauczycieli miał sobie wyznaczone miejsce.

Zdarzyło się, że jeden z nauczycieli zjawił się u margrabiego i oświadczył, że nie może zająć przeznaczonego mu stanowiska

i prosił o inne. Wówczas margrabia odpowiedział, że nietylko nie da mu innego stanowiska, ale wogóle zwalnia go ze służby. Po tym fakcie nikt już nie prosił o zmianę, wszyscy udali się na swoje stanowiska i rozpoczęli owocną pracę. Nie potrzebuję dodawać, że językiem wykładowym był język polski i wszystkie stanowiska naczelne, jak i nauczycielskie były obsadzone przez Polaków.

Wprowadzenie języka rosyjskiego jako wykładowego.

Szkolnictwo, utworzone przez margr. Wielopolskiego z językiem wykładowym polskim, istniało do 1867 r. W tym roku wyszedł ukaz cesarski o wprowadzeniu języka rosyjskiego jako wykładowego dla wszystkich przedmiotów, oprócz religii i języka polskiego. Dla wprowadzenia tej reformy kuratorem okręgu warszawskiego, istniejącego od r. 1867, został mianowany Niemiec Witte, który się publicznie chwalił, że wprowadzając do szkolnictwa język rosyjski, wbił sztylet w serce Polski. Personelu nauczycielskiego nie zmieniono, a tym, których Wielopolski sprowadził z Galicji i ks. Poznańskiego, pozostawiono czas do nauki języka rosyjskiego, żeby mogli w nim wykładać. Ci ludzie prędko opanowali język rosyjski i na stanowiskach nauczycielskich pozostawali do wysłużenia pełnej emerytury Królestwa Polskiego. Na czele szkolnictwa w każdej gubernii został mianowany dyrektor, któremu podlegały średnie szkoły męskie, żeńskie i szkoły powszechne. Ci to panowie wprowadzali do wykładów język rosyjski, a w swojej gorliwości posunęli się tak daleko, że chcieli i do wykładu religii wprowadzić język rosyjski, lecz nasze duchowieństwo oparło się temu na podstawie wyraźnego brzmienia ukazu cesarskiego. Niestety, nie wszędzie tak było: znaleźli się tacy duchowni katoliccy, którzy zgodzili się na wykład religii w języku rosyjskim, a do nich należeli: ks. Julian Ołdakowski w Płocku, ks. Słowikowski, prefekt V gimn. w Warszawie, i ks. Lewandowski w Lublinie; oprócz tego w niektórych gimnazjach, jak w Radomiu, Częstochowie przez pewien czas religja również była wykładana w języku rosyjskim. Wykład religii w języku rosyjskim trwał w Płocku, warszawskim V gimn. i Lublinie do roku 1881. W tym bowiem roku obywatel ziemi płockiej p.

Nostic-Jackowski podniósł w pismach warszawskich, jak to w Królestwie Polskiem są wykonywane ukazy cesarskie. Jednocześnie nni wybitni obywatele kraju skomunikowali się i przedstawili sprawę wykładów religji w 3 gimnazjach w języku rosyjskim ówczesnemu gen.-gubernatorowi Albedyńskiemu i trafili na dobrą chwilę, bo ten uczciwy rosyjski dygnitarz, opierając się na wyraźnem brzmieniu ukazu cesarskiego, wpłynął na Apuchтина, ówczesnego kuratora, że ten rozkazał wprowadzić język polski w wykładach religji w 3 gimnazjach: w plockiem, lubelskiem i warszawskiem V gimn. męskiem. Na owe czasy było to niezwykle śmiałe i ryzykowne wystąpienie, za które inicjatorzy mogli być zesłani do wewnętrznych gubernij cesarstwa.

Mnie ta sprawa zastała w VIII kl. i przed maturalnemi egzaminami dyrektor gimnazjum spytał się nas, uczniów VIII klasy, w jakim języku życzymy sobie zdawać egzamin z religji na maturę. My wszyscy, maturzyści, a było nas 27 — gdy to piszę w roku 1935 pozostało już tylko 2 — oświadczyliśmy dyrektorowi, że życzymy sobie składać w języku polskim. Mój Boże! Dzisiaj jeszcze po 54 latach z rozrzewnieniem wspominam tę chwilę, że my pierwsi mogliśmy publicznie w murach szkolnych wobec największych wrogów naszych używać pięknej mowy ojczystej! Tutaj nawiasem dodam, że wiele spraw szkolnych i innych mogło być rozstrzygniętych w myśl naszych życzeń, gdyby się znalazło więcej takich Nostic-Jackowskich.

Ukaz cesarski, pozwalający na wykład religji w języku polskim w b. Królestwie, wyłączył szkoły na Unji, a więc gimnazjach: w Siedlcach, Białej Podlaskiej, w Chełmie, i progimnazjach w Hrubieszowie i Zamościu. Taki stan w tych gimnazjach trwał do r. 1902. W tym roku młodzież szkolna gimn. siedleckiego zbuntowała się, wybiła wszystkie szyby w gimnazjum i zażądała wykładu religji w języku ojczystym. Działo się to już za czasów nieco łagodniejszych. Władza szkolna wielu z młodzieży wydała, lecz rezultat został osiągnięty. Wydalona młodzież, o ile na to miała środki, udała się do Rosji i tam kończyła gimnazja, a niektórych przyjęto w kraju, bo, o ile mi wiadomo, ówczesny kurator Zenger (nieprawy syn Aleksandra II), dał cichą instrukcję dyrektorom gimnazjów, żeby młodzieży tej kategorii, o ile się zgłosi, nie robili trudności w przyjęciu.

Niemniejsze ofiary ponosili wychowawcy wyższych klas tych gimnazjów, w których prefekci podjęli się wykładów w języku

rosyjskim. Po wprowadzeniu nauki religii w języku rosyjskim brak było podręczników, więc prefekci dyktowali teksty rosyjskie. W niższych klasach malcy zapisywali spokojnie to, co im prefekt dyktował, ale w wyższych uczniowie tego czynić nie chcieli, tak że przy dyktandzie musieli asystować zwierzchnicy szkół. Ale i to niewiele pomagało, bo, chociaż uczniowie zapisywali dyktowany tekst, po skończonej lekcji z papieru robili kule i rzucali nimi do wychodzących — księdza i zwierzchnika. Takie fakty pociągały za sobą bezwarunkowe wydalenie winnych z gimnazjum i takich faktów i ofiar w tym czasie było dużo.

Los tych trzech księży, wykładających po rosyjsku, był smutny: ks. Ołdakowski i Lewandowski skończyli na rozrzedzenie mózgu, a ks. Słowikowski został czynnie znieważony przez ucznia w gimnazjum i resztę życia spędził w zapomnieniu, opuszczony przez wszystkich. Już po opuszczeniu stanowiska prefekta V gimn., na krótko przed śmiercią w latach 1893-4, kiedy byłem nauczycielem języka polskiego w gimn. częstochowskim, ks. Słowikowski przybył na Jasną Górę i tutaj bardzo przykładowie odprawił rekolekcje, a po skończeniu ich, w licznym gronie częstochowskiego duchowieństwa oświadczył, że postąpił nie tak, jak powinien był postąpić kapłan katolicki i Polak, dlatego też całe życie jego było złamane, a dzisiaj, gdy stoi nad grobem, gdy pojednał się z Bogiem, przyznaje się do popełnionego błędu, a jego złamane życie niech będzie przykładem dla innych kapłanów, jak mają postępować w chwilach krytycznych, żeby nie powodowali się względami materialnymi, lecz żeby postępowali zgodnie z całym narodem.

Reforma Tołstojowska.

Szkolnictwo w Kongresówce, zreformowane przez Wielopolskiego, z językiem wykładowym polskim przetrwało do r. 1867; w tym roku wprowadzono język wykładowy rosyjski, lecz program Wielopolskiego przetrwał do 1872 r. Wówczas ministrem oświaty w Rosji był znany Tołstoj. Wizytując w tym czasie osobiście szkoły w Królestwie (1868 r.), Tołstoj przekonał się, że młodzież polska i personel nauczycielski jeszcze niedostatecznie opanowali język rosyjski, więc dla podniesienia znajomości tego języka kazał w wyższych klasach zmniejszyć liczbę godzin języka polskiego, a natomiast zwiększyć liczbę godzin rosyjskiego.

Były to czasy popowstaniowe, kiedy rząd rosyjski postanowił znieść wszelkie odrębności, jakie jeszcze Królestwo posiadało, i ściśle połączyć je z cesarstwem. Przyszła teraz kolej na szkolnictwo. Jak wspomniałem, pierwszym do tego krokiem było utworzenie w r. 1867 warszawskiego Okręgu Naukowego z kuratorem Wittem na czele. Kuratora nazywano powszechnie jednookim, bo miał jedno oko szklane, co natychmiast zauważyli uczniowie i tak go zaczęli pomiędzy sobą nazywać. Zasadniczą reformę wprowadzono w r. 1872 w całym państwie, a więc i w Kongresówce na podstawie ukazu cesarskiego z dnia 30 lipca 1871 r., wydanego w Krasnem Siole. Na oryginale własnoręcznie przez jego cesarską mość podpisano: w Krasnem Siole 30 lipca 1871 r. „*Tak ma być*”.

Na podstawie tego ukazu odrębność szkolnictwa w Kongresówce została zniesiona i zostały utworzone gimnazja i progimnazja, których celem, jak głosił ukaz, było danie wychowancom ogólnego wykształcenia, a oprócz tego przygotowanie młodzieży do uniwersytetu i do innych wyższych zakładów naukowych. Podstawą wykładania stały się języki starożytne, a na ich nauczanie w 8 klasach przeznaczono 85 godzin tygodniowo, a mianowicie: na łacinę od I klasy 49 godz., a na język grecki od klasy III 36 godz., taki bowiem wtenczas był prąd i w państwach zachodnich, a zwłaszcza w Niemczech i na nich się też wzorowano. Wszystkie przedmioty podzielono na główne, do których należały języki: rosyjski (tylko w Królestwie), łacina, grecki i matematyka, i podrzędne: religja, język niemiecki lub francuski (jeden język tylko był obowiązkowy, a drugi fakultatywny), historia, geografia, fizyka i kosmografia. Dla nas, Polaków, ta reforma była katastrofalna. Szkolnictwo uległo zupełnej rusyfikacji. Wykład religji pozostawiono w języku ojczystym w granicach jak wyżej wskazałem, ale wykład języka polskiego pozostawiono tylko w 6 klasach gimn. i uczyniono przedmiotem fakultatywnym, a pozwolono uczęszczać na ten przedmiot tylko Polakom katolikom, bo młodzież wyznań niekatolickich, jak ewangelicy i kalwini, nie była uznawana przez niektóre władze szkolne za Polaków. Wogóle tutaj panowała zupełna dowolność dyrektorów gimnazjów i zależało to od mniejszych lub większych zapędów rusyfikatorskich władzy szkolnej. Śmielsi rodzice interwenjowali w tej sprawie u władzy wyższej, t. j. u kuratora, i to miało ten skutek, że sprawa uczęszczania na lekcje języka pol-

skiego uczniów wyznań niekatolickich i Żydów była pozostawiona decyzji rodziców, którzy na piśmie musieli składać odpowiednie deklaracje. Rosjanom uczęszczanie na lekcje języka polskiego było wzbronione.

Gdy byłem nauczycielem języka polskiego w Częstochowie, zgłosił się do mnie tamtejszy sędzia pokoju Rad'kowskij (moskal) i prosił, żebym się zgodził na uczęszczanie na moje lekcje jego syna, ucznia gimnazjum. Przeprosiłem Rad'kowskiego, że tego uczynić nie mogę i on zrozumiał, o co mi chodziło. Syn jego mógłby być wynieść z mojej lekcji jakiś szczegół, a ja mógłbym być mocno odpowiedzialny.

Iednocześnie wydano szereg surowych przepisów administracyjno-policyjnych, któremi ograniczano młodzież polską w jej najświętszych uczuciach patriotycznych, a pomiędzy niemi: „*zabrania się w murach gimnazjum rozmawiać po polsku*”. Ten przepis obowiązywał naszą młodzież od reformy tołstojowskiej, t. j. od roku 1872 do 1-go września 1906 r., kiedy został zmodyfikowany w ten sposób, że uczniowie w gimnazjum obowiązani byli podczas lekcyj mówić po rosyjsku ze swoimi nauczycielami, którymi już wtenczas byli prawie sami Rosjanie, poza lekcjami zaś pomiędzy sobą mogli rozmawiać po polsku.

A jak ten przepis był wykonywany? Pomimo rozmaitych tłumaczeń, że przepis ten został wydany dla korzyści młodzieży, pomimo surowych represyj ze strony władzy szkolnej, młodzież polska nigdy się do tego przepisu nie stosowała i swoim bohaterstwem znoszeniem rozmaitych kar i szykan złamać się nie dała.

Charakterystyczne, że pomimo istnienia tego surowego przepisu żadnych ogłoszeń w gimnazjach rządowych nie było, gdy tymczasem takie ogłoszenia widziałem porozwieszane na korytarzach niektórych szkół prywatnych w Warszawie.

Do największych rusyfikatorów w tym kierunku należeli sprowadzeni z Galicji działacze Rusini: Siengalewicz, dyr. gimnazjum Lubelskiego, Ławrowskij, dopóki był dyrektorem na Unji (w Białej Podlaskiej), a z tutejszych Rosjan: trzech bracia Stefanowicze, z których Aleksander Leontjewicz był dyrektorem I gimnazjum Warszawskiego (rosyjskiego) w czasach przebudowy gmachu Staszica, Mitrofan Leontjewicz—dyrektorem VI gimn. Warszawskiego (dawniej niemieckiego), Szymon Leontjewicz — inspektorem V gimn.

Warszawskiego, ich kuzyn Eugenjusz Florowicz Stefanowicz, który tylko dzięki protekcji swoich możnych kuzynów doszedł do stanowiska inspektora gimn. w Kielcach i Częstochowie, gdyż jako wychowaniec akademii duchownej, zbytnią inteligencją się nie odznaczał. Na dowód tego niech służy fakt, że, kiedy już zabrakło Apuchtina, ówczesny kurator Ligin w r. 1898 kazał mu podać się do dymisji, jako człowiekowi starszemu i niedolnemu do pracy pedagogicznej. Ten, nie chcąc się pozbyć tak intratnego stanowiska, jakim było inspektorstwo dla Rosjan z liczną rodziną (wpływało to na wysokość pensji), kazał zrobić swoją fotografię, która miała świadczyć, że on tak staro jeszcze nie wygląda i zdolny jest do pracy, i razem ze skargą na kuratora przesłał do ówczesnego ministra Zengera. Skarga naturalnie pozostała bez rezultatu, a że była odesłana drogą służbową, cała rzecz się ujawniła i wywołała ogólną wesołość.

Za dyrektorstwa Aleksandra Stefanowicza w I gimn. zaszedł znamienny fakt, który w swoim czasie wywarł wielkie wrażenie wśród Rosjan w Warszawie. Gdy przebudowano gmach Staszica w stylu bizantyńskim i pomieszczono w nim I gimn. rosyjskie, w najpiękniejszej sali urządzono cerkiew prawosławną. Podczas jej poświęcenia z udziałem samego archijereja Leoncjusza, dobrze znanego nam, Polakom, z jego nienawiści do nas, i najwyższych dygnitarzy warszawskich, powstała nadzwyczajna burza. Wskutek silnego wiatru pospadały deski i bale z nierozębranego jeszcze rusztowania na uczestników tej uroczystości i zabiły jednego z niższych urzędników, a kilka osób zraniły. Już wtenczas byli tacy, którzy jawnie głosili, że to zły omen i że ta cerkiew się nie utrzyma. I rzeczywiście, dzisiaj jesteśmy świadkami przywrócenia gmachowi Staszica jego dawnego stylu i przeznaczenia, a z cerkwi śladu niema.

Do wybitnych rusyfikatorów należeli również dyr. Smorodinow w Radomiu i Troickij, dyr. warsz. II gimn. męskiego. O karierze tego ostatniego opowiadano w swoim czasie ogólnie znany fakt: Troickij w latach 70-ych, za czasów Wittego, był nauczycielem języka rosyjskiego w Warsz. III gimn. męskim. Pewnego razu Witte zachorował. Troickij codziennie chodził do kuchni kuratora, pytał o zdrowie jaśnie pana i natychmiast znikał. To powtarzało się kilkanaście razy. Służąca opowiedziała pani kuratorowej, że jakiś pan stale przychodził i pytał się o zdrowie pana. Witte dowiedział się od żony o tak wielkiej życzliwości niezna-

jomego pana, kazał wysledzić, kto nim był, a kiedy osobistość Troickiego została ustalona, awansował go na inspektora III gimn., a potem już Apuchtin mianował go dyrektorem II gimn. na Nowolipkach.

Oto ci przezemnie wyżej wymienieni działacze i luminarze rusyfikatorzy z czasów Apuchtina odznacжали się szczególną gorliwością w tępieniu mowy polskiej pomiędzy młodzieżą w gimnazjach, a pod tym względem dzielnie im pomagali nauczyciele Rosjanie, których w owe czasy na nasze szczęście było jeszcze niewielu. Do tej smutnej czynności byli również powołani tak zwani przez uczniów „pedle”, pomocnicy gospodarzy klas, i wogóle cały personel nauczycielski, który wówczas składał się przeważnie z Polaków. Lecz nauczyciele Polacy nie zajmowali się tym wstrętnym procederem; prawda, byli tacy, którzy własnego cienia się bali i nie tylko w murach szkolnych, ale nawet na ulicy obawiali się rozmawiać z uczniami Polakami po polsku. Jednego tylko takiego mieliśmy nauczyciela Polaka (w Warszawie), który do tego stopnia się zapomniał, że podsłuchiwał uczniów, Polaków, zapisywał ich do dziennika przestępstw za rozmowę polską. Tym osobnikiem i wyrzutkiem spośród nas był Karol Araszkiewicz, który, po skończeniu uniwersytetu warszawskiego w r. 1886 i dzięki ożenieniu się z córką urzędnika kuratorjum Warsz., Polaka Popowskiego (była to zacna rodzina i dobrze zasłużona dla kraju i Warszawy), otrzymał stanowisko nauczyciela nadetatowego języków starożytnych w Warsz. IV gimn. męskim. Wówczas nawet tak skromne stanowisko nie było dostępne dla Polaków.

Nie pomogło mu to jednak. Apuchtin od zasady nie odstąpił i mianował Araszkiewicza po kilku latach nauczycielem języka polskiego w Radomiu. Ale koledzy uniwersyteccy Araszkiewicza, a do nich należeli: Ignacy Chrzanowski (prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego), Michał Rowiński (dyr. szkoły im. Kopczyńskiego, a potem gimn. im. Adama Mickiewicza), Szczepan Nowakowski (dyr. szkoły kupców m. Warszawy), Bolesław Dobrowolski (nauczyciel i inspektor tejże szkoły), Józef Smoczyński i piszący te wspomnienia, zerwaliśmy z nim wszelkie stosunki. Wiem również, że tenże Araszkiewicz był nawet ciężarem dla swoich dyrektorów przez swój fiskalny stosunek do uczniów i na swoim sumieniu miał wiele ofiar. Toteż dyrektorzy chętnie pozbywali się go i przedstawiali do przeniesienia do innego

gimnazjum. W ten sposób był przenoszony do Pułtuska i Sosnowca, gdzie go zastała wojna. Nauczyciele języka polskiego wogóle byli jakby przygważdżani do swoich miejsc i rzadko kiedy byli przenoszeni do innych miejscowości, chyba że o to usilnie prosili, głównie ze względów rodzinnych. Już za czasów odzyskania niepodległości Araszkiewicz otrzymał od ówczesnych władz szkolnych polskich koncesję na utworzenie szkoły polskiej prywatnej w Sosnowcu i umarł jako dyrektor tej szkoły.

Drugim podobnym bohaterem był również nauczyciel Warsz. IV gimn. męskiego, spoczątku tytułowany przez Rosjan: Berek Szmulewicz, a przy końcu życia Bernard Samuiłowicz Peltyń, głośna w swoim czasie osobistość, o której będę miał jeszcze możliwość mówić.

Znany był z tego także nauczyciel Litwin Żemajtys.

Spytacie mnie zapewne, jak wobec takich represyj i szpiegowania porozumiewała się młodzież pomiędzy sobą w gimnazjach. Na to odpowiem — tylko po polsku. Naturalnie, młodzież dobrze wiedziała, kto naprawdę szpieguje i donosi, a kto, słuchając nie słyszy, tembardziej że liczba nauczycieli moskali była nieznaczną po reformie, a zaczęła się gwałtownie zwiększać dopiero za czasów Hurki i Apuchtina. Pomiędzy Rosjanami, dyrektorami i nauczycielami, było wielu takich, którzy wprost udawali, że nie słyszą rozmawiających po polsku, a gdy jaki gorliwy pedel donosił o tem, nieraz widziałem, że dyrektor krzywił się, że musi wymierzać karę, bo niektórym z tych panów zależało na opinii polskiej, a zwłaszcza tym, którzy poza pensją rządową ciągnęli pewne zyski dzięki swoim stanowiskom, lub też swoją karierę uważali za skończoną, jak np. Kański, dyr. V gimn. warszawskiego, znany łapownik, Czech z pochodzenia, Rozanow, dyr. gimn. piotrkowskiego, Dachnowicz, dyr. gimn. częstochowskiego; inni dyrektorzy, chociaż pobierali łapówki, prześladowali za mowę polską, jak Siengalewicz w Lublinie, Giejewskij w Częstochowie. Byli też nauczyciele Rosjanie, którzy wykorzystywali swoje stanowisko i utrzymywali stancje uczniowskie, jak np. Giejewskij, jako inspektor w Łowiczu, i Dobrowolskij w Częstochowie, i ci ze względu na prowadzony interes zachowywali pewną ostrożność w szpiegowaniu mowy polskiej, ale bynajmniej nie tracili możliwości robienia kariery na tem polu.

Nie mogę tutaj nie wspomnieć, jakich niecných sposobów chwycił się osławiony dyr. II gimn. warsz. Troickij. Ten chodził

po korytarzu, a zwłaszcza po podwórku gimnazjum i, gdy zauważył, że malcy na widok jego przestają rozmawiać, zwracał się do któregoś z nich z zapytaniem: „*kak wasza familja?*“ (jak się nazywasz?). Malec, który jeszcze dobrze nie opanował języka rosyjskiego i nie znał surowych przepisów, odpowiadał po polsku: „*dziękuję panu dyrektorowi, moja rodzina ma się dobrze*”. Ten malec bowiem sądził, że dyrektor zwrócił się do niego po polsku, a wyraz „*familja*” zrozumiał dosłownie po polsku „*rodzina*” i jako grzeczny chłopiec w tym sensie odpowiedział. Tymczasem „*kak wasza familja*” oznacza „*jak ty się nazywasz*”. Po takiej odpowiedzi Troickij kazał sprawdzić nazwisko malca i tu następowała kara. A kary za tego rodzaju przestępstwą były rozmaite. Najczęściej sadzano do kozy od 1—6 godzin, a czasami i więcej, wzywano rodziców, żeby im zakomunikować o tak ważnym przestępstwie ich synów. Co do wzywania rodziców znany mi jest fakt następujący: w Radomiu wezwano matkę dzisiejszego prokuratora sądu apelacyjnego w Warszawie Jana Gumińskiego, żeby jej oświadczyć, że syn jest niezdolny, że rozmawia po polsku i przynosi książki polskie do gimnazjum. Energiczna i niezależnego zdania p. Gumińska krótko na to odpowiedziała: „*Ja wam oddałam syna grzecznego i spokojnego chłopca, a jeżeli obecnie on jest inny, to wasza wina i musicie tego ponosić konsekwencje*”. Po tej rozmowie trzasnęła drzwiami i wyszła, a władza szkolna więcej jej nie wzywała. Szkoda, że więcej nie było takich energicznych matek! Uczniom, rozmawiającym po polsku, grożono również wydaleniem z gimnazjum, a na sesjach przy ocenie sprawowania sprawdzano, czy nie byli zapisani za mowę polską i wtenczas bezwarunkowo zmniejszano stopnie ze sprawowania, a my, nauczyciele Polacy, w takich razach musieliśmy zachować bezwzględne milczenie, nawet uczciwsi i śmielsi nauczyciele Rosjanie, którzy w innych sprawach śmiało występowali i nieraz z dobrym skutkiem bronili młodzieży, w tych sprawach milczeli w obawie, żeby się to nie doniosło do Aleksandra Lwowicza (Apuchтина), bo tacy byli zapisywani na listę „*polonizujących się*”, co wówczas najwięcej szkodziło karierze Rosjanina, pozostającego na służbie w „*Priwisłanskom kraje*” (w kraju nadwiślańskim), jak nazywano b. Kongresówkę.

Znany również ze ścigania mowy polskiej był dyr. Smorodinow (Radom). Oto przykład: pewnego razu Smorodinow spotkał szybko biegnącego po korytarzu w czasie lekcji ucznia VI kl.,

obecnie znanego doktora w Warszawie, i spytał, dokąd tak śpieszy. Horoszewicz, tak się ten uczeń nazywał, nie zastanawiając się nad odpowiedzią: „*po knigu*“ (po książkę) — rzekł. Smorodinow, oburzony tym polonizmem ucznia kl. VI, wsadził go za to do kozy na 6 godzin w najbliższą niedzielę. Po rosyjsku należało powiedzieć „*za knigoj*”.

Nieraz słyszy się obecnie, że za mowę polską masowo i bezwzględnie wydaland z gimnazjów. W tem opowiadaniu stwierdzam przesadę, gdyż przez 28 lat byłem nauczycielem języka polskiego w gimnazjach rządowych na prowincji i Warszawie i nigdy z podobnym faktem się nie spotykałem, ani też nie słyszałem, żeby w jakimś gimnazjum zdarzył się fakt wydalenia *tylko* za mowę polską. To *przestępstwo* musiało być zawsze połączone z szeregiem innych wykroczeń przeciwko dyscyplinie szkolnej, bo w owe czasy wydalenie ucznia z gimnazjum było dosyć trudne, o ile nie chodziło o sprawy polityczne. Każda decyzja rady pedagogicznej o wydaleniu ucznia podlegała zatwierdzeniu kuratora, a ten tylko zatwierdzał decyzje rady pedagogicznej, o ile chodziło o sprawy polityczne, do których przedewszystkiem należały: wykrycie kółek uczniowskich i należenie do nich w celu kształcenia się w języku polskim, prowadzenie bibliotek polskich i t. p.

Personel nauczycielski.

Do czasu reformy tołstojowskiej, pomimo wprowadzenia w gimnazjach języka rosyjskiego jako wykładowego, cały personel t. j. inspektor (tak się wówczas nazywał kierownik gimnazjum) i wszyscy nauczyciele byli mianowani przez Wielopolskiego — Polacy, z chwilą zaś wprowadzenia reformy tołstojowskiej, mającej na celu rusyfikację od podstaw t. j. od młodzieży, usunięto zwierzchników Polaków. Usunięto takich zasłużonych ludzi jak: Jan Pankiewicz, Szmurło August, Feliks Jezierski w Warszawie, lecz tych ludzi nie pozostawiono bez kawałka chleba. Tych, którzy nie mieli wysłużonej emerytury i brakowało im kilku lat, mianowano nauczycielami szkół niedzielnych (nominalnie), żeby mogli pozyskać pewne prawa emerytalne. O ile pamiętam, ze względu na uzyskanie tych praw pozostawiono po reformie na rok jeden na stanowisku dyrektora gimnazjum w Płocku Ignacego Jezierskiego, a w Warszawie zostawiono wyjątkowo na stanowisku dyrektora szkoły

realnej Bara, który doczekał się czasów Apuchtina i ustąpił w roku 1885. Bar tak się postawił, że nawet Apuchtin liczył się z jego zdaniem i tolerował go przez 6 lat.

Na czele gimnazjum stał dyrektor i do niego należały wszelkie sprawy pedagogiczne i administracyjne, a pomocnikiem i zastępcą w razie nieobecności dyrektora ipso iure był inspektor, którym mógł być tylko Rosjanin. Były takie smutne wypadki na szczęście odosobione, że niektórzy Polacy porzucali wiarę ojców swoich, żeby zająć stanowisko dyrektora w gimnazjum. Tak Choroszewski przyjął prawosławie i w nagrodę został dyrektorem V gimnazjum w Warszawie, a Polak katolik nauczyciel matematyki gimn. Łomżyńskiego Bartoszewicz przyjął protestantyzm, nauczyciel szkoły realnej Ditla w Sosnowcu Utke, wprowadził protestant, ale wychowany w duchu polskim, odrazu zaprzestał mówić po polsku ze swymi dawnymi kolegami i towarzyszami młodości, a nawet z żoną katoliczką i Polką i z synami rozmawiał po rosyjsku. Lecz ci obydwaj pomimo to wszystko inspektorami nigdy nie zostali.

W tym okresie nauczyciele Polacy zostali ograniczeni w swych prawach: wolno im było wykładać tylko przedmioty obojętne, a więc matematykę i języki, lecz, broń Boże, pod żadnym pozorem nie wolno było im wykładać historii, ani powszechnej, ani „*otieczestwiennoj*” (Rosji), taka bowiem była nazwa urzędowa. Znani historycy Polacy musieli wykładać języki starożytne. Między nimi byli wychowawcy gimnazjów rosyjskich lub dawnych naszych kresów, gdzie języka greckiego nie wykładano i ci musieli razem z uczniami uczyć się tego przedmiotu. Ponieważ, jak zaznaczyłem, liczba godzin języków starożytnych niepominięnie się powiększyła, więc do nas sprowadzano nauczycieli Rusinów galicyjskich, którzy przyjmowali prawosławie i otrzymywali w nagrodę stanowiska dyrektorów, jak Siengalewicz w Lublinie, Ławrowski w Białej Podlaskiej i Fedyński w Płocku. Był pomiędzy sprowadzonymi z zagranicy Czech Kański, dyr. Warsz. V gimn. Z tych Fedyński pozostawił wśród swoich uczniów, do których i ja należę, dobre wspomnienie: był o tyle czasami rasyfikator, o ile widział, że który z Rosjan szpieguje go, lub że to może zachwiać jego stanowiskiem. Lubiliśmy go my, jego uczniowie, i lubili go nauczyciele koledzy i dawali tego dowody. Uroczyście obchodziliśmy jego imieniny, a on, jako nasz wychowawca (naszej klasy), specjalnie w dzień swoich imienin po dużej pauzie uwal-

niał nas od lekcyj ku zazdrości całego gimnazjum. W jednym roku nauczyciele chcieli go uczcić i postanowili ofiarować swoją grupę fotograficzną. Ale tutaj powstała kwestja *gabinetowa*, w jakim języku ma być dedykacja. Najstarszy z Rosjan nauczyciel języka rosyjskiego Elmanowicz zaznaczył, że przecież tutaj nie może być żadnej wątpliwości, że dedykacja może być tylko w języku rosyjskim, bo tutaj jest Rosja i my wszyscy służymy w zakładzie naukowym rosyjskim. Wówczas wystąpił z energicznym protestem nauczyciel matematyki Polak Ksawery Służewski, człowiek niezwykle śmiały i znakomicie mówiący po rosyjsku, a przytem b. elokwentny, i oświadczył, że wręczenie prezentu imieninowego dyrektorowi nie ma charakteru urzędowego, a że gremjum nauczycieli składa się z Rosjan i Polaków a dyrektor jest klasykiem, więc projektuje napis łaciński. Wówczas Elmanowicz w formie niezbyt kulturalnej wyraził swoje oburzenie, przeniósł sprawę na grunt polityczny, jak oni zawsze w takich razach czynili, i doszło do ostrego przemówienia. W takim bojowym nastroju strony się rozeszły.

Następnego dnia Służewski przyszedł wcześniej do gimnazjum, kiedy Elmanowicza jeszcze nie było. Ten zaś przyszedł nieco później i witał się z gronem kolegów, wśród których znajdował się Służewski i, kiedy przyszła kolej na niego, wówczas Służewski ostentacyjnie się odwrócił i ręki Elmanowiczowi nie podał. Z tego powstała wielka awantura. Elmanowicz poskarżył się przed dyrektorem, a ten o tem zajściu zdał raport Apuchtinowi, prezentu nie przyjął i zrobił gorzką wymówkę nauczycielom, że, zamiast przyjemności, zrobili mu tak wielką przykrość, bo czuł, że Służewski, jako młodszy i śmielszy, działał w imieniu większości polskiej; działo się to w r. 1891. Elmanowicz poprosił o urlop i pojechał ze skargą na Służewskiego do Apuchtina. Trzeba wiedzieć, że nauczyciele Rosjanie uważali Apuchtina nie tylko za swoją najwyższą władzę w sprawach urzędowych, ale uważali go również za superarbitra w swoich prywatnych sprawach i to nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, gdy mężowie zdradzali je, hulali i t. p. Lecz Apuchtin był dość wyrozumiały w podobnych wypadkach, bo i on miał swoją gospodynię *Teklę*, jak ją ogólnie nazywano, która miała na niego ogromny wpływ i przez którą przy pomocy brzęczącej monety można było pomyślnie załatwić dużo spraw, z wyjątkiem uzyskania posady nauczyciela przez Polaka po roku 1884. Znany jest fakt, że w r. 1896

miał otrzymać dymisję dyrektor częstochowskiego gimnazjum Giejewskij, nawet o tem zupełnie kategorycznie wypowiedział się Apuchtin. Gdy Giejewskij dowiedział się o tem, przyjechał do Warszawy, zorjentował się w sytuacji i z triumfem wrócił do Częstochowy, że dymisja jego została cofnięta. A gdy po roku został dymisjonowany już przez nowego kuratora Ligina, głośno ubolewał przed znajomymi, że na próżno wydał 2000 rb., tyle bowiem wzięła Tekla za przeprowadzenie sprawy. Czy Tekla zatrzymała dla siebie otrzymane pieniądze, czy też oddała Apuchtinowi, faktu tego nie można było sprawdzić.

O tem nawet głośno mówił i mocno ubolewał nad tem prof. Djaczan, osobistość dobrze znana staremu pokoleniu. Był to pop unicki, który za swoją działalność podczas nawracania unitów, pomimo braku stopnia naukowego, został profesorem filologii klasycznej w uniwersytecie warszawskim i był powiernikiem Apuchtina do tego stopnia, że często asystował Apuchtinowi podczas jego przyjęć urzędowych.

Po bytności Elmanowicza u Apuchtina i przedstawieniu mu sprawy ze Służewskim Apuchtin wezwał tego ostatniego do siebie i, po rozmowie z nim, oświadczył, że nie może ich obydwóch zostawić razem i że z początkiem roku szkolnego rozłączy ich. Istotnie, od roku szkolnego Służewski został przeniesiony do gimn. łódzkiego i na tem dużo wygrał, bo Łódź w porównaniu z Płockiem była o wiele korzystniejszym miejscem dla nauczycieli, gdzie mieli szerokie pole zarobkowania poza gimnazjum i mieli połączenie kolejowe ze światem.

Zdawało się, że ci przeciwnicy nigdy się już nie spotkają na drodze urzędowej. Jednakże los inaczej zrządził. Elmanowicz był od r. 1868 nauczycielem języka rosyjskiego w Płocku i po przesłużeniu 23 lat, za usługę lat należał mu się awans na inspektora gimnazjum. Właśnie w październiku tegoż roku zawakowała posada inspektora w gimn. łódzkim i to stanowisko otrzymał Elmanowicz, tak że znowu spotkali się przeciwnicy. Lecz tutaj się pogodzili z inicjatywy Elmanowicza, bo Służewski, po przyjeździe Elmanowicza, zamknął się w gabinecie fizycznym i tak manewrował, żeby się z Elmanowiczem zupełnie nie spotykać, co mu się w zupełności udawało. Lecz pewnego dnia, gdy Służewski był w gabinecie, woźny gimnazjum wniósł w koszyczku piękne kalebasy (gruszki), specjalność Płocka, i oświadczył, że p. inspektor (Elmanowicz) przysyła te gruszki panu profesorowi

do spróbowania. Wówczas Służewski wyszedł z gabinetu, przeciwnicy spotkali się na korytarzu, podali sobie ręce i nastąpiła zgoda.

Umyślnie przytoczyłem ten fakt na dowód, że w owych okropnych czasach ludzie śmielszej natury mogli bronić swego stanowiska polskiego z powodzeniem i nawet Rosjanie więcej szanowali takich ludzi, aniżeli tych, co się własnego cienia bali i starali się przypodobać władzy i kolegom Rosjanom. Podobnych faktów mógłbym przytoczyć cały szereg, bo i ja nieraz byłem w podobnej opresji.

Od reformy Tołstoja do śmierci Wittego (1872 — 1879) skład nauczycielski w swojej przeważającej liczbie był polski i to było wielkiem dla nas szczęściem, bo młodzież polska dobrze odczuwała, że ci nauczyciele Polacy jednakowo z nią czują, że otaczają ją w miarę możliwości serdeczną opieką, starają się jej bronić i w każdej chwili mogą jej pomóc radą. W czasie kuratora Wittego rusyfikacja nie miała wielkiego powodzenia, głównie dzięki personelowi polskiemu. Sam Witte objeżdżał szkoły, badał postępy rusyfikacji i na tem się wszystko kończyło. Witte był człowiekiem dobrze wychowanym i inteligentnym. Toteż podczas wizytacji szkół zbierał wszystkich nauczycieli i uważał za obowiązek z każdym rozmawiać i miał zawsze coś do powiedzenia. Podczas takiej wizytacji w pińczowskim progimnazjum, kiedy nakońcu dyrektor przedstawił mu nauczyciela kaligrafji i rysunków Witte, podając mu rękę, bez namysłu powiedział: „szanuję ludzi nauki” i na tem się skończyła prezentacja personelu nauczycielskiego, a wieść o tym żarcie Wittego stała się głośna w Kongresówce.

Opróżnione stanowiska nauczycieli dawał Witte Polakom, wychowankom uniwersytetu warszawskiego, ale tylko, jak wyżej zaznaczyłem, matematykom i klasykom. Taki sam system istniał i w pierwszych latach rządów Apuchtina. Ten satrapa został mianowany w r. 1879 i pozostawał na stanowisku kuratora warszawskiego do r. 1897, t. j. do czasu mianowania gen.-gubernatorem ks. Imeretyńskiego, który za warunek przyjęcia tego stanowiska postawił dymisję Apuchtina.

W działalności Apuchtina należy rozróżniać dwa okresy. Pierwszy, łagodniejszy dla Polaków od 1879 do 1883, kiedy gen.-gubernatorem był Albedyński, człowiek sprawiedliwy i nawet wchodzący w nasze ciężkie położenie. On to bowiem przed-

stawił cesarzowi Aleksandrowi II memoriał dla nas przychylny i uzyskał pewne ulgi dla szkolnictwa w sprawie wykładu języka polskiego, o czym później będę mówił specjalnie. Toteż, kiedy Albedyński zmarł w 1883 r., studenci uniwersytetu warszawskiego gremjalnie wystąpili na jego pogrzebie, urządzili straż honorową i złożyli wspaniały wieniec z krótkim, ale wiele mówiącym polskim napisem „Zacnemu człowiekowi”. Ten wieniec, z polecenia pani Albedyńskiej, był powieszony na froncie karawanu, a że był olbrzymich rozmiarów, wzbudził podziw ogólny i największe niezadowolenie moskali. Nawiasowo dodam, że pani Albedyńska, z domu ks. Dołgorukowa, była kochanką Aleksandra II, a dzięki swej inteligencji, miała wielki wpływ na niego.

Apuchtin dobrze orjentował się w sytuacji i nie zdradzał swoich polakożerczych instynktów w tym okresie. Mianował nauczycieli Polaków. Z tego okresu pozostało kilkunastu nauczycieli Polaków aż do chwili wypędzenia Rosjan z Polski przez Niemców w r. 1915. Do nich należeli: Andrzej Lipski i Tadeusz Zdziechowski w Warszawie, Stefan Rutski i Alojzy Stodółkiewicz w Płocku, Jan Wierciński i Marek Wigurski w Częstochowie, Józef Uzdowski i Hojko w Warszawie. W tym też okresie byli mianowani nauczyciele eksunicy, z których kilku znałem osobiście, jak Laszczuk, dwaj bracia Michalscy, Bobruk. Wszyscy oni pochodzili z Podlasia i odznaczał się względna uczciwością, z wyjątkiem Jana Michalskiego, który dosłużył się godności wizerownika szkół, był bezwzględny rusyfikatorem i miał tę czelność, że głośno odezwał się do mnie na egzaminie z religii, że on nie rozumie po polsku, chociaż wychowywał się w Sokołowie Siedleckim, gdzie jego ojciec szyl kożuchy na jarmarki łowickie. Drugi brat jego Andrzej, jako dyrektor gimnazjum pułtuskiego, podczas wojny wyjechał ze swoim gimnazjum do Rosji i, kiedy nastały czasy bolszewickie, powiesił się, bo z bolszewizmem nie mógł się pogodzić, a do Polski bał się wracać, chociaż to był człowiek niezły i pamiętał o tem, że ojciec szyl kożuchy w Sokołowie, a matka była katoliczką i prowadziła dom polski. Wprawdzie Andrzej Michalski dobrze znał język polski, unikał jednak rozmów polskich dla kariery, bo bał się popaść w niełaskę u Apuchtina. Andrzej Michalski należał do tej niewielkiej grupy uczciwych Rosjan, których w swoim czasie można było policzyć na palcach jednej ręki. Jakim był Bobruk, można się przekonać z tego, że jako nauczyciel języka rosyjskiego pod-

czas strajku w szkole gen. Chrzanowskiego był zaproszony na walny zjazd wychowawców tej szkoły, która 1 czerwca 1930 r. obchodziła 25-lecie tej uczelni polskiej.

Ostatnim Polakiem, który był mianowany nauczycielem języków starożytnych w warszawskim III gimnazjum męskim w r. 1884, był Józef Uzdowski. Od tego roku Polaków mianowano tylko nauczycielami języka polskiego, w bardzo rzadkich wypadkach języków nowożytnych. O swej nominacji Józef Uzdowski opowiadał ciekawe szczegóły. Uzdowski skończył uniwersytet petersburski i tam chwilowo przebywał, bo wiedział, że w tym czasie (w poście) Apuchtin przyjeżdża ze sprawozdaniem do Petersburga. Uzdowski dowiedział się, w jakim hotelu zatrzymuje się Apuchtin, starał się być u niego i przedstawić swoją prośbę. Lecz w normalnym czasie było to niemożliwe, bo Apuchtin albo urzędował, albo hulał po całych nocach i dopiero za radą służby hotelowej Uzdowski przypilnował go, kiedy ten wracał z hulanki, i między 5—6 rano przedstawił swoją prośbę i ku swemu zdumieniu otrzymał obietnicę nominacji.

Z Polaków nauczycielami języków nowożytnych byli mianowani: Michał Rowiński i Józef Smoczyński. Michał Rowiński został mianowany nauczycielem języka niemieckiego w warszawskiej Szkole Realnej. Ten młody uczony był stypendystą Uniwersytetu Warszawskiego, studiował filologję klasyczną w Bonn, Lipsku i Wrocławiu i, pomimo tak gruntownych studiów oraz protekcji ówczesnego rektora U.W. Zengera, Apuchtin od swej zasady nie odstąpił.

Drugim był Józef Smoczyński, który również był wykształcony w filologii klasycznej, jednak otrzymał tylko stanowisko nauczyciela języka francuskiego w gimnazjum płockim. Dużo słyszę opowiadań, że Apuchtin masowo wydalał Polaków nauczycieli ze służby, lecz to nie zgadza się z rzeczywistością. Znam trzy wypadki wydalenia.

Dymisję otrzymał Stępowski, Polak, nauczyciel języków starożytnych w Suwałkach za poważne nieporozumienie z dyrektorem gimnazjum i za to, że na maturalnych egzaminach w VIII kl. wchodził w kombinacje z uczniami (pomagał im).

Drugim był zaszczytnie znany prefekt gimn. częstochowskiego ks. Franciszek Jüttner, który w r. 1894 nie chciał po rosyjsku przyjmować od swoich uczniów przysięgi na wierność carowi Mikołajowi II. Ciekawa to była sprawa. Tutaj nawiasem powiem, że po śmierci cara Aleksandra III w r. 1894, kiedy wstąpił

na tron syn jego Mikołaj II, gen.-gub. Hurko wydał rozporządzenie, że katolicy mają przysięgać w kościołach swego wyznania w języku rosyjskim. Uzyskano nawet na to zgodę niektórych biskupów. Bardzo smutną w tej sprawie rolę odegrał kapelan arcybiskupa Popiela ks. Skarżyński. On to bowiem, gdy późną nocą około 12-ej przyszedł do arcyb. Popiela delegat Hurki w sprawie przysięgi, zbudził Popiela z pierwszego snu i przedstawił mu sprawę, Popiel, nie wiedząc, o co chodzi, zgodził się na propozycję Hurki. Z tego powstało ogromne zamieszanie. Większość duchowieństwa w kraju nie chciała się zastosować do tego rozporządzenia. Były takie wypadki, że gdy ksiądz z ambony czytał rotę przysięgi po polsku, wpadał na ambonę obecny w takich razach rosyjski urzędnik policyjny i nie dopuszczał do tego.

Dyrektor gimn. Częstochowskiego Giejewskij doniósł telefonicznie Apuchtinowi, że ks. Jüttner odmówił przyjmowania przysięgi w języku rosyjskim od uczniów, a ten również telefonicznie przysłał dymisję ks. Jüttnerowi i kazał dyrektorowi zwrócić się do duchowieństwa parafjalnego o przyjęcie przysięgi od uczniów i nauczycieli. Tak też uczynił dyrektor. Wszyscy udaliśmy się do kościoła parafjalnego, gdzie miejscowy dziekan, zacny starzec ks. Nowakowski, w otoczeniu wikariuszów i ks. Jüttnera oczekiwał nas. Przed przysięgą dyrektor Giejewskij poszedł do zakrystji i zwrócił się do dziekana z żądaniem, aby przyjmował przysięgę po rosyjsku. Wówczas ks. dziekan, oburzony tak silnie uderzył w stół srebrnym krzyżem, trzymanym w ręku, że ten się zgiał i mocno podniesionym głosem, żeśmy wszyscy słyszeli, bo my tylko sami byliśmy w kościele, rzekł: „*Jak pan śmiesz mnie, kapłanowi katolickiemu, dyktować prawą w kościele, ja wiem, co mam czynić*”. Dyrektor opuścił zakrystję, a obecni uczniowie i nauczyciele Polacy nie mogli się powstrzymać od śmiechu z radości. Ks. dziekan stanął przed ołtarzem i zaczął czytać rotę przysięgi po polsku, a wszyscy powtarzaliśmy wyrazy polskie.

Tutaj zaznaczę, że z przysięgami wogóle my, nauczyciele Polacy-katolicy, mieliśmy kłopot. Wiadomo, że każdy urzędnik, a więc i nauczyciel, przy obejmowaniu posady, musiał składać przepisaną przysięgę. Zwykle od nauczycieli przysięgę przyjmował prefekt gimnazjum w obecności dyrektora. Lecz tutaj znowu powstawała sprawa języka, w jakim miał się odbywać ten akt. Po dłuższych sporach wyższej władzy duchownej z wła-

dzą rządową w Petersburgu został zawarty kompromis, na którego podstawie ustalono, że, o ile przysięga odbywa się w urzędzie, to w języku rosyjskim, a w kościele w języku polskim.

Rząd nie ustąpił tylko w sprawie języka przysięgi, jaką musieli składać nowomianowani i konsekrowani biskupi dla diecezji w Kongresówce. Biskupi nie chcieli się zgodzić na składanie przysięgi w kościele w języku rosyjskim w kraju i dlatego też konsekracje wszystkich nowomianowanych biskupów odbywały się w Petersburgu w katedrze św. Katarzyny. Tam biskupi składali przysięgę na wierność cesarzowi w języku rosyjskim.

Ks. Jüttner po otrzymaniu dymisji wyjechał na swoje probostwo, gdyż w ten sposób biskupi zabezpieczali byt prefektów, że jednocześnie z pełnieniem obowiązków prefektów gimnazjalnych, mianowali ich nominalnie proboszczami, ponieważ prefekt po otrzymaniu dymisji za jakieś *przestępstwo* nie byłby zatwierdzony na żadne probostwo.

Przy tej sposobności wspomnę, że w roku 1930 wdowa po dyrektorzcie Giejewsim zwracała się do dawnych uczniów jego, żeby wydali jej zaświadczenie, że mąż jej, dyr. Giejewskij, na stanowisku dyrektora gimn. częstochowskiego był przychylny Polakom, lecz ci odpowiedzieli, że jako wówczas młodzi nie mogli jeszcze tego ocenić i radzili udać się do żyjących jeszcze nauczycieli, współpracowników jej męża, do jakich i ja należałem. Giejewska nie zwracała się do mnie. Takie zaświadczenie było jej potrzebne do uzyskania emerytury od państwa polskiego. Nie do pomyślenia, żeby jakiś działacz apuchtinowski mógł sobie zasłużyć na podobne zaświadczenie. Ta sprawa toczyła się w Wilnie i nie wiem, jaki wzięła obrót.

Nieco wcześniej w r. 1889 został usunięty prefekt gimn. męskiego w Kielcach ks. kan. Czerwiński, jeden z najwybitniejszych prefektów b. Konresówki, z następującego powodu. Ówczesny dyrektor gimn. Kieleckiego Marceł Ławrowskij, eksunita galicyjski, doktor Uniwersytetu Wiedeńskiego, człowiek wszechstronnie wykształcony, tak że w VIII kl. wykładał język łaciński i matematykę, działacz apuchtinowski i bardzo zręczny rusyfikator, pewnego dnia spotkał na korytarzu gimn. ucznia, który się spóźnił na pierwszą godzinę lekcji. Uczeń spytany przez dyrektora o przyczynę opóźnienia, odpowiedział, że był u spowiedzi i dlatego się spóźnił. W dalszej rozmowie uczeń tłumaczył się, że ks. prefekt żąda od uczniów oprócz spowiedzi

wielkanocnej, jeszcze drugiej spowiedzi w adwencie. Dyrektor kazał iść uczniowi do klasy, a sam zwrócił uwagę prefektowi ks. Czerwińskiemu, dlaczego on wymaga od uczniów, wbrew ustawie ministerjalnej (układanej w Petersburgu dla uczniów prawosławnych) spowiedzi 2 razy do roku. Prefekt czuł się tem wystąpieniem dyrektora mocno dotknięty, że dyrektor wkracza w jego atrybucje i rzekł, że on tego wymaga jako kapłan katolicki na podstawie postanowień Soboru Trydenckiego. Dyrektor nie zgodził się z wyjaśnieniami prefekta i żądał w kategorycznej formie, ażeby prefekt wobec uczniów odwołał swój nakaz spowiadania się uczniów dwa razy do roku. Rzecz naturalna, ks. Czerwiński również w kategorycznej formie odmówił żądaniu dyrektora, który o całej sprawie złożył raport Apuchtinowi, a ten w odpowiedzi przysłał dymisję ks. Czerwińskiemu. Kiedy w r. 1932 ks. Czerwiński umarł, ustąpienie jego z prefektury przedstawiono fałszywie we wzmiankach pośmiertnych o tym dzielnym prefekcie. Jako powód dymisji podawano, że ks. Czerwiński nigdy nie rozmawiał po rosyjsku ani z dyrektorem, ani z nauczycielami moskalami i że w opisaney przeze mnie sprawie ks. Czerwiński dał piśmienną odpowiedź dyrektorowi w języku polskim. W tych czasach nie do pomyslenia było, żeby Polak, pozostający na służbie rządowej, nie chciał mówić po rosyjsku. Taki Polak urzędnik otrzymałby dymisję w 24 godziny, a ks. Czerwiński był prefektem 24 lata.

Niezmiernie również przykra sytuacja językowa powstawała przy śmierci nauczyciela, Polaka-katolika, pozostającego na czynnej służbie. Taki fakt miał miejsce w Częstochowie, kiedy w r. 1895 umarł nauczyciel matematyki starsuszek Klemens Kossowski. Ponieważ Kossowski był samotny, zaopiekowałem się nim i prawie na moich rękach umarł. Zanim przybyła najbliższa rodzina, zająłem się pogrzebem. W razie śmierci czynnego nauczyciela całe gimnazjum na zasadzie istniejącego prawa brało udział w pogrzebie. Na koleżeńskiej naradzie wraz z dyrektorem postanowiliśmy my, nauczyciele, złożyć wieniec z napisem w dwóch językach, t. j. polskim i rosyjskim, a uczniom pod tym względem pozostawiono swobodę. Mnie polecono zamówić wieniec od nauczycieli. Gdy już wszystko było gotowe, wezwał mnie do siebie dyrektor, który przeląkł się tak daleko posuniętego liberalizmu i polecił mi zmienić napis w dwóch językach na napis tylko w jednym języku — rosyjskim. Stanowczo odmówiłem

w imieniu swoim i kolegów. Razem z kolegami Polakami postanowiliśmy złożyć wieniec z napisem tylko w języku polskim, wychodząc z tej zasady, że to jest rzecz prywatna i nie mająca nic wspólnego ze służbą. Rosjanie oddzielnie złożyli swój wieniec z napisem tylko w języku rosyjskim, a uczniom pozwolono składać wieńce tylko z napisem rosyjskim. Odbyła się ekspozycja do kościoła, wszystkie wieńce, oprócz naszego, nauczycieli Polaków, były z napisami rosyjskimi. Lecz jakież było nasze zdziwienie, gdy następnego dnia po przyjeździe do kościoła, ujrzeliśmy wszystkie wieńce z obciętymi szarfami, z wyjątkiem wieńca od kolegów Polaków z polskim napisem: „Zacnemu koledze i towarzyszowi wspólnej pracy”, który był zawieszony na froncie. Narazie nie umieliśmy wyjaśnić tego faktu. Dyrektor był wściekły. Po skończonem nabożeństwie, uważając mnie za winnego, podszedł do mnie i w formie szorstkiej rzekł: *„Na cmentarz nie pozwalam iść”*, *„proszę iść do gimnazjum na lekcje”*. Krótko odpowiedziałem: *„Sprawę oddania ostatniej posługi koledze uregulowała władza wyższa, dlatego rozporządzenie pana dyrektora nas w tej chwili obowiązywać nie może”*. Po pogrzebie natychmiast w sprawie służbowej zostałem wezwany do gabinetu dyrektora. Ten mnie czynił odpowiedzialnym za wszystko i groził mi nawet dymisją. *„Ja się obronię, bo za mną prawo— rzekłem— ale jak się obroni pan dyrektor?”* Dyrektor zmiękł i zaczął mi robić wyrzuty, jak ja mogłem urządzić mu taką awanturę, o której może się dowiedzieć Aleksander Lwowicz. Ja na to: *„Panie dyrektorze, poco pan sam chce rozdmuchać sprawę, za którą pan najwięcej odpowie; sprawa może przycichnąć i kurator się o niej nie dowie”*. Tak też się stało. Winowajcą był wikariusz miejscowy ks. Baranowicz, sybirak. On to wieczorem poobcinał wszystkie szarfy i uwolnił kościół od napisów rosyjskich.

O wiele przykrzejsze były pogrzeby nauczycieli byłych unitów. Z pośród takich wielu faktów przytoczę dwa. Jak już wspominałem, gimnazjum siedleckie było obsadzone przez kilku nauczycieli, b. unitów. Niektórzy z nich pogodzili się z nowym stanem rzeczy i nie tylko pro forma, ale i de facto stali się prawosławnymi. Ale pomiędzy nimi znajdowali się i tacy, którzy nigdy prawosławnymi nie byli. Do nich należał nauczyciel gimnazjum siedleckiego Sierociński, który, chociaż był człowiekiem względnie młodym, jednakże nie ożenił się, bo musiałby brać ślub

w cerkwi, a dzieci musiałyby być prawosławne. Sierociński mieszkał z matką i siostrą. Przez szereg lat żyła spokojnie ta wzorowa rodzina. Kiedy Sierociński umarł, matka i siostra chciały go pochować po katolicku. Lecz to okazało się absolutnie niemożliwe, gdyż policja otoczyła dom i pilnie go strzegła dzień i noc. Gdy policja zauważyła, że rodzina chce pochować Sierocińskiego bez żadnego udziału duchowieństwa, wkroczyła do mieszkania i w brutalny sposób zabrała trumnę z ciałem nieboszczyka. Wówczas Sierociński został pochowany według obrządku prawosławnego.

Podobny wypadek w 90-ych latach przeszłego stulecia miał miejsce w Płocku, gdzie mieszkał oporny (nie chciał przyjmować prawosławia) ksiądz unicki Zatkalik. Nie wolno mu było policyjnie odprawiać mszy św., jednakże czynił on to w swoim prywatnym mieszkaniu. Miejscowe duchowieństwo i społeczeństwo zapewniło mu byt materialny, a jeden z notariuszów przyjmował go do swej kancelarii — tak ks. Zatkalik miał zapewnione utrzymanie dla siebie i swojej rodziny. Kiedy ks. Zatkalik czuł się niedobrze i przewidywał koniec swego życia, najbliższe otoczenie porozumiało się z duchowieństwem i jeden z księży katolickich, dysponował ks. Zatkalika na śmierć, pomimo że za ten fakt groziła mu deportacja w głąb Rosji. Kiedy ks. Zatkalik umarł, zanim o tem dowiedziała się policja, grono osób ze ś. p. Gruberskim, ojcem zaszczytnie znanych: ks. Gruberskiego Eugenjusza, wybitnego kompozytora i muzyka, i brata jego Władysława, artysty rzeźbiarza, przyszło w nocy, zabrało ciało ks. Zatkalika, zaniósło na cmentarz katolicki i tam złożyło w grobie wcześniej wykopanym. Gdy następnego dnia policja przyszła po ciało i przekonała się, że go już nie ma, wszczęła śledztwo, ale pozostało ono bez rezultatu, gdyż nic nie udało się jej wykryć.

Po objęciu władzy w kraju w r. 1883 przez gen.-gub. Hurkę, oblicze Apuchtina odrazu się zmieniło. Dzięki temu, że Apuchtin przestał przyjmować Polaków na posady nauczycielskie, liczba Rosjan nauczycieli gwałtownie zaczęła się zwiększać, a rusyfikacja i ucisk młodzieży w szkołach dochodził do monstrualnych rozmiarów, zwłaszcza gdy w jednym roku (1881) przysłano temat maturalny z języka rosyjskiego i literatury, oparty na powieści Hohola: „*Martwe dusze*”. Okazało się, że w wielu gimnazjach i to przeważnie w Warszawie, uczniowie położyli pióra,

bo nie wiedzieli, co pisać, gdyż tego utworu nie czytali. W Warszawie natychmiast doniesiono o tem Apuchtinowi z zapytaniem, co czynić. Apuchtin kazał dać inny temat treści ogólnej, a nauczyciela III gimnazjum Antulskiego zdegradował. Od tego czasu zaczęło się dręczenie naszej młodzieży wszelkimi *arcydziałami*, często wątpliwej wartości, z uszczerbkiem dla innych przedmiotów. Młodzież nasza dochodziła do największej wprawy w pisanie wypracowań literackich, tak że na to zwrócono uwagę w Petersburgu przy zdawaniu konkursowych egzaminów do specjalnych wyższych zakładów naukowych; pomimo procentowego ograniczania Polaków, na konkursach młodzież polska otrzymywała pierwszeństwo przy przyjmowaniu do tych zakładów. Było również rzeczą ogólnie znaną, że nasi wychowañcy przy przejściu przymusowem do gimnazjum w Rosji wskutek prześladowania takich rusyifikatorów, jakimi byli: Maziukiewicz, Szymanowski, Brzeziński i t. p. właśnie z języka rosyjskiego tam celowali, nie mówiąc już o innych przedmiotach.

W tym okresie, dzięki temu, że rektorem uniwersytetu został Ławrowskij, dawny dyrektor instytutu w Nieżynie, podążyła za nim masa jego dawnych uczniów Rosjan z Nieżyna, którzy, po ukończeniu uniwersytetu warszawskiego, otrzymywali posady nauczycielskie przeważnie w Warszawie. Prędko ci panowie awansowali, bo odznaczał się pracą rusyifikatorską. Byli to młodzi ludzie, dobrze przygotowani naukowo, pełni zapału i sił i niemal wszyscy zostawali dyrektorami gimnazjów. Pomiędzy nimi byli tacy straszni ludzie i prześladowcy naszej młodzieży, jak już wymienieni Szymanowski, Brzezinski, Ignatienko, Władimirov, Cwietkow, Homerow. Ten ostatni był znany ze swego skandalu w Częstochowie. W dniu 7 września, a więc w dniu największego napływu pielgrzymów, znaleziono go w Alejach, w rynsztoku, zupełnie pijanego tylko w białej bieliźnie. Za ten skandal został przeniesiony do innego gimnazjum, a potem jednak mianowany dyrektorem w Radomiu. Ale i tam znany był również z awantur, tak że po głośnej awanturze w domu publicznym przeniesiono go, jak to się dzisiaj mówi, w stan spoczynku. Lecz byli pomiędzy Rosjanami i ludzie uczciwi. Na pierwszym miejscu wymienię takich znanych pedagogów, jak Kościński, bracia Wołkowscy. Niektórzy z nich zmienili się na przyjaźniejszych dla nas pod wpływem znajomości z Polkami,

Mało komu dzisiaj wiadomo, jakie źródło miała głośna w swoim czasie sprawa naczelnika magistratu Władysława Ślaskiego o nadużycia, wykryte podczas rewizji senatora Nejhardta, dzięki rewelacjom urzędnika magistratu Bindera. Kuzynka Bindera była dobrą znajomą dygnitarza kuratorjum Władimirowa. O tym stosunku dowiedział się Władysław Ślaski i zwrócił się do Bindera, żeby ten wyrobił dla jego brata jakieś stanowisko w kuratorjum. Brat Ślaskiego, skończony prawnik, człowiek inteligentny, nie chciał wyjeżdżać do Rosji, jak to inni czynili, i chwilowo pełnił obowiązki buchaltera w lombardzie miejskim. Dzięki protekcji Władimirowa brat Ślaskiego otrzymał stanowisko pomocnika inspektora szkół m. Warszawy, a natomiast Binder miał otrzymać stanowisko inspektora Hal Mirowskich. Lecz na skutek zaszłych kombinacyj Binder tego stanowiska nie otrzymał. Wówczas mszcząc się, wystąpił ze znanymi rewelacjami przeciwko Władysławowi Ślaskiemu w „Gońcu”. Władimirow zaś dlatego przyjął Polaka na swego pomocnika, gdyż w ten sposób chciał swoją osobę zabezpieczyć od zamachów rewolucyjnych partyj polskich. Działo się to w r. 1906.

Tenże Władimirow później, dzięki protekcji kuratora Szwarca, który upatrzył go na zięcia, został kuratorem w Orenburgu, ale z córką Szwarca nie ożenił się. Będąc kuratorem w Orenburgu Władimirow chętnie przyjmował na posady nauczycielskie Polaków, którzy się do niego zgłaszali. Jeden z takich kandydatów Mincer, mój uczeń z gimn. Częstochowskiego, opowiadał mi, że kiedy się zgłosił do Władimirowa o posadę nauczycielską i kiedy ten dowiedział się, że Mincer jest Polakiem z Kongresówki, to nie tylko przyjął go bardzo życzliwie, ale nawet parę słów zamienił z nim po polsku i dał mu lepszą posadę, t. j. w mieście przy kolei.

Rok 1884, rok zamknięcia dla Polaków wszelkiego dostępu do rządowych posad w gimnazjach, zastał jeszcze wielu studentów Polaków na wydziałach filologicznym i matematycznym. Położenie nasze, bo i ja byłem w ich liczbie, było rozpaczliwe. Niektórzy z nas otrzymywali posady nauczycielskie w szkołach prywatnych w Warszawie lub na prowincji, a bardzo niewielu wyjechało do Rosji. Ja, po skończeniu uniwersytetu w r. 1887, udałem się osobiście do Apuchtina i prosiłem o mianowanie mnie nauczycielem języków starożytnych w jednym z gimnazjów, podległych jego władzy. Kiedy dostałem się przed oblicze tego

satrapy, w krótkich słowach streściłem swoją prośbę. W odpowiedzi ten satrapa sucho spytał: „*jakiego pan wyznania*”, a gdy usłyszał, że rzymsko-katolickiego, krótko odpowiedział: „*ja nie mam miejsc dla katolików*”, odwrócił się i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Proszę sobie wyobrazić, co się wówczas działo w mojej duszy.

W podobnem położeniu znalazło się kilku moich kolegów i ci zmuszeni byli przyjmować stanowiska wychowawców u plutokracji żydowskiej lub arystokracji polskiej. Prawda, tacy wychowawcy byli b. dobrze wynagradzani, jak np. Edmund Fankanowski u Wawelberga, Karol Kosicki u ks. Antoniego Radziwiłła w Berlinie. Ale przyszłość takich wychowawców smutnie się przedstawiała. Dobrze było, gdy taki wychowawca wkraść się w łaski swoich chlebobawców, którzy, po skończeniu edukacji dzieci, b. wychowawcom dawali intratne posady w swoich dobrach lub bankach, w przeciwnym razie ci młodzi ludzie marnowali najpiękniejsze lata życia i do pewnego stopnia wykolejali się.

Taki był los kończących wyższe studia w tych czasach. Mnie Bóg ustrzegł od podobnej kariery. Miałem wprowadzić propozycję od petersburskiego bankiera Halperta, ale w tym czasie otrzymałem skromne zajęcie w prywatnej szkole w Kielcach, a jednocześnie lekcje języka niemieckiego w Kieleckim rządowym gimnazjum żeńskim. Chociaż do wykładów języka niemieckiego nie byłem dostatecznie przygotowany, gdyż słabo mówiłem po niemiecku, wykłady rozpocząłem w różnych klasach, a jednocześnie pracowałem i sam się kształciłem, tak że rezultaty mojego nauczania były dosyć pomyślne. Obawiałem się tylko zawsze, żeby nie przyjechał jaki wizytator specjalista i nie chciał ze mną rozmawiać po niemiecku, ale w owych czasach na moje szczęście takiego nie było w pierwszych latach mego nauczania. Lecz wkrótce taka chwila nadeszła. Miał przyjechać na rewizję okręgu naukowego minister Deljanow, o czem poniżej opowiem.

Po swojej nominacji Apuchtin przyjmował publicznie wszystkich interesantów. Dyżurny urzędnik ustawiał interesantów w szeregi. Apuchtin kolejno podchodził do każdego i pytał, w jakiej sprawie przybywa. Lecz, kiedy w roku 1883, podczas takiej audjencji został czynnie znieważony przez studenta Żukowicza (Rosjanina), przyjmował każdego interesanta oddzielnie w swoim gabinecie podług utartego w takich razach zwyczaju.

Tego rodzaju przyjęcia były bardzo uciążliwe i dla interesantów i dla Apuchtina, bo zbierało się bardzo dużo osób, których liczba czasami dochodziła do 100. Apuchtin szybko się oriento- wał i bardzo często natychmiast wydawał rezolucję a dyżurny urzędnik notował ją na podaniu. Urzędową odpowiedź na piśmie interesant otrzymywał najpóźniej w dwa tygodnie od daty po- dania, z wyjątkiem tylko tych wypadków, kiedy sprawa wyma- gała porozumienia się z innemi władzami. Często podczas takich przyjęć asystowali najwierniejsi przyjaciele i zaufani Apuchtina, a do nich należeli pop Djaćzan, o którym już wspominałem, i głośny ze swej skandalicznej sprawy spowodu zachowania się w klinice dla kobiet, początkowo prof. uniwersytetu, a potem dyrektor instytutu dla głuchoniemych i ociemniałych Zieniec. Rodzina jednej chorej wytoczyła mu sprawę sądową, wskutek której opuścił profesurę i dlatego Apuchtin mianował go dyre- ktorem instytutu głuchoniemych. Głośna to była w swoim czasie sprawa w Warszawie.

Apuchtin miał tę dobrą stronę, że nikogo nie łudził próżne- mi obietnicami, otwarcie postępował tak z obcymi interesantami, jak i ze swymi podwładnymi i, jeżeli coś obiecał, święcie słowa dotrzymał.

Była to wielka jego zaleta dla nas Polaków, bo wiedzieliśmy, czego się trzymać. Inni kuratorzy, jak np. późniejszy Zenger, człowiek b. gładki w obejściu i bardzo przystojny, czemu zaw- dzięczał swoją karierę, przyjmując Polaków, nieraz płakał nad naszym losem, a w rezultacie nic nie robił i wydawał szkodliwe rezolucje. Zenger zaczynał swoje przyjęcia o 2-ej popołudniu, a nieraz kończył je następnego dnia o 7-ej rano.

Swoich podwładnych Rosjan Apuchtin przyjmował oddzielnie, częstował herbatką, wśród wspólnej pogawędki wszyscy obmy- ślali nowe sposoby gnębienia naszej młodzieży. Dla swoich był wyjątkowo słodki i pobłażliwy, a surowy dla tych, którzy, „*broń Boże*” dali się słyszeć jako mówiący po polsku, co się bardzo rzadko zdarzało, lub też dla tych, którzy żenili się z Polkami, o ile te nie przyjmowały prawosławia. Wychodzenie Polek za moskali nauczycieli należało do bardzo rzadkich wypadków.

Przytoczę tutaj fakt, jaki miał miejsce w r. 1898 już za cza- sów kuratora Ligina. Przybył do niego na audjencję młody Ro- sjanin Neapolitański, który co tylko skończył uniwersytet war- szawski i prosił o posadę nauczyciela matematyki, ale przytem

nadmienił, że ma narzeczoną Polkę. Ligin na to odpowiedział, że Neapolitański posadę otrzyma, gdyż ożenienie się jego z Polką niema nic do sprawy. Neapolitański wrócił do domu, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy w kilka dni potem otrzymał wezwanie, aby się stawił do kur. Ligin. Gdy Neapolitański przyszedł, Ligin mu oświadczył, że kazał kancelarji zbadać, ile Polek katoliczek jest za prawosławnymi nauczycielami. Kancelarja stwierdziła, iż w danej chwili niema ani jednego takiego wypadku, a było to w rok po dymisji Apuchtina. Dlatego też wezwałem pana, mówił Ligin, by oświadczyć panu, że ja swego słowa nie cofnę, lecz gdy mnie zabraknie (czuł się już wtenczas chory), ożenienie się pana z Polką może wpłynąć na karierę.

Neapolitański ożenił się z Polką i tak się zasłużył naszemu społeczeństwu jako nauczyciel w Częstochowie, a potem w Warszawie, że po wojnie wrócił do Polski, otrzymał obywatelstwo polskie, obecnie jest nauczycielem matematyki w szkole zawodowej w Warszawie i pisze dzieła poważnej treści z dziedziny matematyki, które są polecane przez ministerjum kandydatom, przygotowującym się do zawodu nauczycielskiego.

Apuchtin był wyrozumiały dla łapowników, nie znosił tylko lekceważenia swojej władzy, na dowód czego przytoczę taki fakt.

Gimnazjum częstochowskie mieściło się w b. klasztorze marja-witek (katoliczek), zbudowanym w r. 1863. W tym gmachu znajdowała się kaplica katolicka, do której uczęszczała młodzież gimnazjalna na nabożeństwa szkolne. Była ona solą w oku władzy szkolnej, a zwłaszcza ówczesnego dyrektora gimnazjum Dachnowicza, zaciętego wroga katolicyzmu (ksząłcił się na popa), który koniecznie chciał ją zamknąć, a potem przerobić na cerkiew prawosławną, jak to już uczyniono w innych miastach: w Płocku, Radomiu, Łowiczu. Dzielnie tej sprawy bronili: biskup włocławski ks. Bereśniewicz, miejscowy prefekt ks. Jüttner, a dużo pomagał sekretarz gimnazjalny Stuczyński, dobry Polak i katolik, gdyż z narażaniem się na utratę posady uprzedzał prefekta ks. Jüttnera o tajnych rozporządzeniach kuratorjum.

Kiedy nie udało się prostą drogą zabrać kaplicy, Apuchtin kazał ją zabrać siłą i odpowiedniej treści przysłał poufny papier do dyrektora gimnazjum.

O tak groźnem rozporządzeniu Apuchtina Stuczyński w największym sekrecie zawiadomił pref. ks. Jüttnera. Trzeba było bez zwłoki zawiadomić o tem biskupa. W tym celu ks. Jüttner uprosił znanego obywatela i kupca częstochowskiego Fuchsa,

aby tego samego dnia pojechał do Włocławka i ustnie przedstawił sprawę biskupowi. Ten, nie tracąc czasu, udał się do Warszawy do gen.-gub. Hurki, przedstawił mu całą sprawę, a skutek był taki, że Hurko zapewnił biskupa, że nie pozwoli zabrać kaplicy i kazał klucze od niej oddać władzy kościelnej, t. j. biskupowi, a ten oddał je prefektowi ks. Jütnerowi. Wówczas Apuchtin, ratując sytuację i swoją powagę, przysłał swego budowniczego Pokrowskiego, tego samego, któremu potem złoto *zmieniło* swój kolor na dachu wznoszonego soboru na placu Saskim.

Gdy Pokrowskij przyjechał do Częstochowy, złożył wizytę dyrektorowi gimn. Dachnowiczowi, wyjawiał mu cel swego przybycia i prosił go, żeby asystował przy oględzinach kaplicy. Ta propozycja i wogóle przybycie Pokrowskiego do Częstochowy tak wzburzyły Dachnowicza, że nie zapanował nad sobą i w formie szorstkiej odmówił swego udziału mówiąc do Pokrowskiego: „*Jakto, ja wszelkiemi sposobami staram się o zamknięcie tej katolickiej kaplicy, a pan ją chcesz restaurować*”. Pokrowskij obrażony, że dyrektor tak go potraktował jako delegata kuratora, natychmiast po powrocie do Warszawy zdał raport Apuchtinowi, który telegraficznie kazał wezwać dyrektora Dachnowicza. Gdy ten znalazł się w gabinecie Apuchtina, podał mu przygotowany już zgóry arkusz papieru, kazał mu pisać podanie o dymisję i nie pozwolił się tłumaczyć. W ten sposób skończyła się karjera jednego z działaczy.

Wracam jeszcze do sprawy czynnego znieważenia Apuchtina przez Żukowicza. Dlaczego Żukowicz to uczynił, nie zostało wyjaśnione, wiadomo tylko, że Żukowicz wkrótce potem skończył samobójstwem we Lwowie. Sprawa ta miała przykre następstwa dla młodzieży uniwersyteckiej, która zaraz następnego dnia zebrała się w jednej z sal uniwersyteckich, żeby stwierdzić wyrazy sympatji dla Żukowicza. Wobec takiego *buntu* stukilkudziesięciu studentów przybyła do uniwersytetu policja piesza, konna, żandarmi, a oprócz tego wezwano obydwa pułki konnicy gwardyjskiej z Łazienek. Otoczono młodzież, spisano jej nazwiska i wielu tam obecnych wydalono. Odpokutowała również ten fakt prasa warszawska, bo za wzmianki o tym fakcie była skazana przez Hurkę na wielotysięczne kary pieniężne, a najwięcej na tem ucierpiał Józef Natanson, znany przemysłowiec i działacz społeczny, który spowodu *radosnego faktu* złożył

ofiarę na cele dobroczynne i o tem ogłosił w Kurjerze Warszawskim. Za tę ofiarę Natanson został zesłany do gubernii wewnętrznych cesarstwa. Dzięki temu faktowi był ogólnie nazywany w Warszawie *Józefem Męczennikiem*.

Nauczyciele gimnazjów warszawskich składali osobiście i *dobrowolnie* kondolencje. Każde gimnazjum zapisywało się oddzielnie, żeby można było sprawdzić nieobecnych. Dwóch znalazło się w Warszawie śmiałków, nauczycieli Polaków, którzy odmówili swego udziału w złożeniu kondolencji, a mianowicie: Władysław Niedźwiedzki, nauczyciel języka polskiego V gimnazjum a później zaszczytnie znany współpracownik słownika polskiego, i Sędzimir, nauczyciel VI gimn. Za ten czyn obydwaj otrzymali dymisję. Nie wolno było im wykładać nawet w szkołach prywatnych. Niedźwiedzki za czasów kuratora Szwarca wrócił do stanowiska nauczyciela języka polskiego w II gimn. a Sędzimir wyjechał do Galicji*).

Na lato Apuchtin zwykle wyjeżdżał do Puław, rezydował w dawnym pałacu Czartoryskich i tam urzędował, a nawet przyjmował interesantów, więc o każdej porze można było z nim swobodniej rozmawiać, niż w Warszawie. Byłem na takiej audjencji, kiedy prosiłem o posadę nauczyciela języka polskiego w gimnazjum częstochowskim, a było to w czerwcu 1892 roku.

Gdy przybyłem do Puław i przebrałem się we frak w wagonie podczas biegu pociągu, bo moskale, a szczególnie Apuchtin, lubili tę formę ubrania podczas audjencji, udałem się do pałacu i zameldowałem się u wóźnego, który natychmiast zawiadomił Jego Ekscelencję o przybyciu interesanta. Widziałem Apuchtina spacerującego po parku. Wyglądał jak ekonom polski na folwarku. Apuchtin był wzrostu niewielkiego, barczysty, miał wąsy zawiesiste i robił wrażenie szlachcica polskiego, co sprawiał wielki kapelusz słomiany, jaki noszą ekonomi podczas żniw. Apuchtin wszedł do sali, przedstawiłem mu swoją prośbę, wypytywał o dotychczasowe zajęcie i wkońcu oświadczył, że o ile to miejsce wakuje moja prośba będzie spełniona. Tak też się stało. Po skończonej audjencji ukłonił się, lecz ręki nie podał, chociaż już 5 lat zajmowałem skromne stanowisko nauczyciela w gimn. żeń-

*) W ostatniej chwili prof. Kot zakomunikował mi, że Sędzimir, po otrzymaniu dymisji przyjechał na studia do Krakowa, poczem był nauczycielem łaciny i polskiego w gimnazjum w Rzeszowie. Zmarł wkrótce po odzyskaniu niepodległości w Warszawie, dokąd wrócił, aby być pożytecznym.

skiem w Kielcach. Apuchtin ręki Polakom wogóle nie podawał, czynił z tej zasady wyjątek tylko wtenczas, gdy minister Deljanow wizytował szkoły i podczas wizytacji podawał rękę nauczycielom bez względu na narodowość. Wtenczas i nas, Polaków, ten *zaszczyt* spotykał ze strony Apuchtina.

Programy szkolne.

Jednocześnie z reformą tołstojowską zostały opracowane programy ze wszystkich przedmiotów do najdrobniejszych szczegółów, z wyjątkiem języka polskiego, bo ten przedmiot dla władz petersburskich nie istniał, — lecz o tem będę specjalnie mówić potem. Największą uwagę zwrócono na naukę języka rosyjskiego. Chociaż ten przedmiot był wykładany w szkołach Wielopolskiego, jednakże nie miał żadnego opracowanego programu. Sam nauczyciel rosyjskiego układał program dla klasy, w której wykładał, a rada pedagogiczna zatwierdzała go. Wykład języka rosyjskiego w 3 niższych klasach odbywał się w języku polskim, a dopiero od IV kl. w języku rosyjskim i na lekcje rosyjskiego przeznaczono godziny popołudniowe, gdyż język ten był zaliczony do przedmiotów drugorzędnych. Dopiero po wizytacji szkół przez Tołstoja w r. 1868 w celu przekonania się o znajomości języka rosyjskiego przez młodzież polską, z jego rozporządzenia zwiększono liczbę godzin języka rosyjskiego kosztem języka polskiego i nakazano przeznaczyć dla wykładów języka rosyjskiego godziny ranne.

Po reformie Tołstoja dręczono nas w niższych klasach akcentowaniem, do czego dziecko polskie nie mogło się narazie przyzwyczaić. Akcentów w książce nie wolne było stawiać, z wyjątkiem bajek, bo, jak głosiła instrukcja, obawiano się, żeby malec, ucząc się sam w domu, nie przyzwyczajał się do nieprawidłowego akcentowania wyrazów. Cóż w takim razie było czynić? I na to się znalazł sposób. W każdej klasie znalazł się kolega gryszka-Rosjanin. Przeważnie byli to synowie wojskowych, bo w 70-ych latach mało jeszcze było urzędników cywilnych Rosjan, których liczba znakomicie się powiększyła po zrusyfikowaniu w r. 1876 sądownictwa. Otóż taki *gryszka* musiał wcześniej przychodzić do gimnazjum, bo inaczej dostawał w skórę i, gdy jeden z kolegów czytał zadany tekst rosyjski, ten poprawiał

błędy w akcentach i my we wszelki rysunkowy sposób, na jaki tylko może się zdobyć pomysł uczniowski, stawialiśmy akcenty w książkach tak, żeby je ukryć przed okiem nauczyciela, gdyby mu przyszła chętć zajrzeć do książki.

Biada była temu, w którego książce nauczyciel zauważył stawianie akcentów, ten otrzymywał złą notę i był zapisany do dziennika kar, a rezultat — koza, wszechstronny wówczas środek na wszelkie przewinienia uczniowskie. W 3 niższych klasach uczono nas gramatyki, muszę przyznać, bardzo gruntownie. Toteż to ułatwiało nam naukę języka łacińskiego już w I klasie. Zwracano nadzwyczajną uwagę na pisanie dyktand, które nauczyciel obowiązkowo musiał poprawiać, a jeżeli jaka klasa źle pisała, to w godzinach, przeważnie przeznaczonych na język polski, musiała się dodatkowo ćwiczyć. W gimnazjach praktykowało się to tylko po reformie Tołstoja w pierwszych latach, a za rządów Apuchтина i z jego rozkazu praktykowało się stale w seminarjach nauczycielskich. Lekcja języka rosyjskiego była podzielona na 3 części: pytanie zadanej lekcji, objaśnienie następnej i czytanie jakiegoś zajmującego opowiadania dla wprawy w akcentach. Nauczyciel kazał na tej samej lekcji, o ile zdążył, lub na następnej streszczać przeczytane opowiadanie. Biada temu, kto nie umiał streszczać lub nieprawidłowo stawiał akcenty. Najprzykrejsze dla nas była IV kl., bo kurs tej klasy polegał na nauce języka cerkiewno-słowiańskiego. Serdecznie nienawidziliśmy tego języka, bo był to język cerkwi prawosławnej, której nienawidziliśmy całą duszą, gdyż była ona w owe czasy środkiem rusyfikacyjnym. W V kl. przechodziliśmy teorię prozy i poezji, a od VI kl. — literaturę.

Dla praktycznej znajomości języka rosyjskiego wprowadzono tak zwane czytanki. W święta i niedziele uczniowie wyższych klas obowiązani byli przychodzić do gimnazjum i pod kierownictwem nauczycieli języka rosyjskiego czytać na miejscu książki rosyjskie, publicznie streszczać to, co przeczytali, przyczem obecni koledzy tej samej klasy mieli obowiązek poprawiać błędy językowe. Przy każdym gimnazjum tworzone bogate biblioteki książek pisarzy rosyjskich i obcych w tłumaczeniu rosyjskim. Uczniowie musieli brać takie książki do domu do czytania pod ścisłą kontrolą nauczyciela języka rosyjskiego, a przy odpowiadaniu lekcji z języka rosyjskiego musieli wyliczać przeczytane książki i na żądanie nauczyciela streszczać dla wprawy w języku rosyj-

skim pewne ustępy. Uczeń, który nie wykazał żadnej przeczytanej książki, nie mógł otrzymać dobrego stopnia na kwartał i musiał ponosić konsekwencje tego w końcu roku. Polskich książek od r. 1871 do bibliotek gimnazjalnych nie sprowadzano, były tylko dawniej sprowadzone, z nich mogli korzystać tylko nauczyciele. W tym okresie jeden z liberalniejszych dyrektorów zaprenumerował „Słownik Polski“, wychodzący pod redakcją Kryńskiego i Niedźwiedzkiego. Był to dyrektor IV gimn. męskiego w Warszawie Kośminski. Surowo zabroniono czytania i posiadania polskich książek, a kontrola była tak ścisła, że przy odwiedzaniu stancji uczniowskich przeglądano książki każdego ucznia i przetrząsano sienniki, kufry z rzeczami, czy tam nie było schowanych książek polskich. W razie znalezienia książki polskiej zapisywano ucznia do dziennika kar, sadzano w święto na kilka godzin do kozy, a jeżeli to się powtórzyło parę razy na tej samej stancji, stancję tę zamykano. Gdy zaś u ucznia znaleziono książkę o treści politycznej — tutaj zaliczono zagraniczne wydania naszych wieszczów — lub antypaństwowej treści socjalistycznej, bezwarunkowo wydalało ucznia z gimnazjum, a stancję zamykało.

Pomimo takich represyj uczniowie przynosili książki polskie i nawet w gimnazjum podczas lekcji czytali. Na tem tle miał miejsce bardzo smutny wypadek. Uczeń VI klasy warsz. III gimn. Różycki czytał pod ławką książkę na lekcji nauczyciela tegoż gimnazjum Uzdowskiego, Polaka. Ten, rozgniewany lekceważeniem jego lekcji, zabrał książkę uczniowi i, nie zobaczywszy, co to za książka, oddał ją inspektorowi. Książka była polska, a, co smutniejsze, treści zakazanej, socjalistycznej. Uczeń został wydany z gimnazjum i wpadł w melancholję, a uczniowie wyższych klas zaczęli bojkotować Uzdowskiego, tak że ten specjalnie uprosił znanego poetę Or-Ota, który załagodził sprawę i przywrócił normalne stosunki pomiędzy uczniami i Uzdowskim. Bojkot polegał na tem, że uczniowie wyższych klas przestali mu się kłaniać czyto w gimnazjum, czyto na ulicy, nie wstawali przy wejściu Uzdowskiego do klasy, nie odpowiadali w klasie na żadne pytania i nie chcieli mieć wogóle lekcji. Podobny bojkot mógł być ściśle przeprowadzony, gdyż w III gimn. nie było uczniów Rosjan. Nie potrzebuję tutaj dodawać, ile nad tym przykrym faktem przeboleał sam Uzdowski, człowiek bardzo uczciwy, znakomity nauczyciel, ale przykry w stosunku do uczniów i również — do własnej rodziny, żony i dzieci.

Żadne tego rodzaju represje nie pomagały. Uczniowie mieli książki polskie, czytali je, tworzyli biblioteki, kółka samokształceniowe w języku polskim. Biblioteki znajdowały się w pewnych miejscach, przeważnie w lokalach kolegów, mieszkających u rodziców wolnego zawodu, gdzie też kolejno odbywały się posiedzenia kółek. Chociaż biblioteki istniały prawie we wszystkich miastach Kongresówki, znam wypadek wykrycia w r. 1887 biblioteki w Płocku przez inspektora Abramowicza, który wobec społeczeństwa naszego chciał uchodzić za życzliwego, był myśliwym i polował u okolicznej szlachty, więc żeby nie stracić polowań i siebie usprawiedliwić, rzucił podejrzenie wydania biblioteki na jednego z nauczycieli Polaków, czemu nikt nie uwierzył.

Można się domysleć, jaki był rezultat wykrycia biblioteki: uczniowie organizatorzy i zarządzający zostali wydaleny z gimnazjum a inspektor Abramowicz wkrótce dostał awans na dyrektora gimnazjum w Siedlcach.

W Płocku byli wydaleny z *wilczym biletem* jako organizatorzy uczniowie VIII kl.: Wacław Jezierski, syn ostatniego dyrektora gimn. płockiego, Polaka, Tarnowski, Tadeusz Waśniewski (górnik zamordowany podczas rewolucji), Izaak Nejmark. Ten nie należał do organizacji biblioteki, lecz z niej wziął książkę do czytania i jego nazwisko znaleziono w księdze kontroli. Z tych spowrotem został przyjęty Wacław Jezierski na prośbę ojca z rozkazu Apuchtina. Ojciec Jezierskiego osobiście prosił Apuchtina o skasowanie decyzji rady pedagogicznej i ponowne przyjęcie syna do gimnazjum. Apuchtin przychylił się do prośby ojca. Jezierski z triumfem wrócił do gimnazjum ku ogólnej radości Polaków, a zgorszeniu moskali. Oprócz tych głównych organizatorów zostało wydalonych jeszcze kilku innych, że z nich wymienię bardzo popularną osobistość Stanisława Lipińskiego, znanego w Warszawie buchaltera i v.-dyrektora ministerjum finansów za czasów ministra Stanisława Karpińskiego.

W tym samym czasie w gimn. radomskim wykryto wydawanie gazety dla uczniów. Wydawnictwo prowadził Władysław Tarchalski, uczeń kl. VII, który tem łatwiej mógł się tem zajmować, że nie stał na ogólnej stancji, lecz u znanego potem w Warszawie właściciela zakładów drukarskich Trzebińskiego. Tarchalski w sobotę przygotowywał numer i przynosił go w niedzielę do gimnazjum, gdzie zbierali się sami Polacy na mszę św. Nie uszło

to jednak uwagi Rosjanina, również ucznia VII kl. Jegorowa, który całą rzecz dłuższy czas badał. Kiedy Jegorow zebrał pewne dane, udał się do dyrektora Smorodinowa, wykrył mu całą sprawę i w ten sposób zdradził własnych kolegów, co nawet w owe czasy praktykowało się bardzo rzadko. Główni sprawcy wydawania gazety: Władysław Tarchalski, Marjan Kiniorski, Tadeusz Rakowski, Michał Bukowiński, Jerzy Zenner, zakwalifikowani jako *przestępcy polityczni*, byli wydaleny z gimnazjum z „*wilczemi biletami*”. Z nich tylko Marjan Kiniorski i Tadeusz Rakowski zdawali jako eksterni: pierwszy w Humaniu, drugi w Kielcach i otrzymali matury, innym nie udało się otrzymać matur, a Zenner zrozpaczony zmarł śmiercią samobójczą.

W celach rusyfikacyjnych urządzano w gimnazjum wieczory literackie, które składały się z części literackiej i muzykalno-wokalnej. Taki wieczór zwykle zaczynał się odśpiewaniem przez chór uczniowski patriotycznej pieśni rosyjskiej: „Bądź wysławiany nasz cesarzu rosyjski”, potem uczniowie niższych klas wygłaszali bajki przeważnie Kryłowa, a uczniowie wyższych — urywki z klasycznych utworów literatury rosyjskiej, zaś najważniejsze, uczniowie zdolniejsi musieli odczytywać swoje wypracowania z języka rosyjskiego, tak klasowe jak i domowe. Chóry uczniowskie śpiewały pieśni narodowe rosyjskie, a czasami podczas takich występów ubierano uczniów w narodowe stroje rosyjskie. Taki wieczór kończył się zwykle odśpiewaniem przez chór uczniowski z akompanjamentem muzyki hymnu narodowego: „Boże caria chrani”. Po skończeniu tego hymnu uczniowie na wezwanie dyrektora trzy razy powtarzali na cześć „*ubóstwianego monarchy*” „hura”. Lecz z tem było gorzej, bo tylko bliżej stojący krzyczeli, a dalsi zachowywali milczenie, chociaż ruszali ustami. Na takie uroczystości zapraszano władze, przedstawicieli miejscowego społeczeństwa i rodziny uczniów. Nauczyciele z obowiązku musieli być obecni. Nauczyciele Rosjanie na podobne uroczystości przychodzili z żonami, Polacy — bez żon, co się mocno nie podobowało panom dyrektorom, którzy nieraz robili mężom wymówki. Śmielsi wprost oświadczały, że my jesteśmy na służbie, więc musimy asystować, żony zaś nasze są zupełnie niezależne, tchórzliwsi tłumaczyli nieobecność żon brakiem odpowiedniej toalety, a wówczas dyrektor dawał gratyfikacje (remuneracje) i trudno się było wymówić. Takie uroczystości bywały zwyczajnie 2—4 razy rocznie, a nadzwyczajnie — spowodu przypadających galówek lub

obchodów rozmaitych zdarzeń historycznych, często zupełnie błahych, w rodzaju 500-lecia śmierci Sergjusza Radonieskiego, bohatera bitwy na Kulikowskim Polu. Takie wypadki były zapisywane w protokołach rady pedagogicznej, które często czytał sam Apuchtin, a wówczas gorliwszych spotykały nagrody: awanse, order, gratyfikacje i t. p. Lecz my, Polacy, tak nauczyciele jak i uczniowie, ile musieliśmy znieść upokorzeń i cierpień moralnych, tego nam już nikt nie wróci.

Dla charakterystyki przytoczę, w jaki sposób dyrektorzy zapraszali na podobne uroczystości żony nauczycieli. Rozsyłali przez woźnego ogłoszenia o mającej się odbyć uroczystości w książce, przeznaczonej dla zawiadamiania nauczycieli o rozmaitych rozporządzeniach dyrektora lub o terminie rady pedagogicznej. W tej książce były wymienione nazwiska zaproszonych żon, które musiały się podpisywać na dowód, że „zaproszenie” otrzymały.

Skoro zacząłem mówić o doznawanych upokorzeniach i moralnych cierpieniach, jakie przeżywaliśmy w owe okrutne czasy, przytoczę jeden fakt, jeden z pierwszych po wprowadzeniu reformy tołstojowskiej. — Wyciąg z protokołu posiedzenia rady pedagogicznej IV warszawskiego gimn. męskiego z d. 11 kwietnia 1874 r.

„11 kwietnia 1874 r. odbyło się posiedzenie rady pedagogicznej pod przewodnictwem dyr. gimn. M. M. von Bulmeringa w obecności wszystkich członków.

Punkt IV. Członkowie rady pedagogicznej, zbliżając się ku końcowi roku szkolnego, który upłynął pod znakiem nowej ustawy, zatwierdzonej 30 lipca 1871 r. i głęboko odczuwając ważność i twórczy wpływ reformy szkolnej, przyszedli do przekonania, iż od tej chwili system nauczania uzyskał stałą i niewzruszoną podstawę i dlatego są przepełnieni najgłębszym uczuciem dla tych państwowych działaczy, dzięki którym nieustającej i oświeconej staranności zostały wprowadzone w wykonanie wskazówki Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Monarchy. Rada pedagogiczna, wzruszona uczuciem głębokiego uznania dla pracy osób, dzięki którym działalność, stosownie do Woli Najwyższej, została wprowadzona obecnie twórcza reforma szkolna, w pełnym komplecie jednogłośnie postanowiła prosić najpokorniej o Najwyższe pozwolenie upiększenia sali aktowej gimnazjum portretem Jaśnie Oświeconego p. ministra oświaty

hr. D. A. Tołstoja i Jego Eksc. p. Kuratora Warszawskiego Okręgu Naukowego, senatora Wittego”.

Dla charakterystyki ówczesnych czasów przytoczę jeszcze znacznie późniejszy fakt, jak w r. 1890 obchodzono 50-lecie służby państwowej Apuchtina. Wówczas wszystkie szkoły państwowe uroczystie obchodziły ten nader ważny fakt, a rady pedagogiczne, a właściwie dyrektorzy wysilali swoje mózgi na sposób obchodzenia tej uroczystości, żeby na siebie zwrócić uwagę pana kuratora i na tem coś zyskać, bo niezawsze szczerze były te zapęły uznania i wdzięczności dla jego eksc. Apuchtina. Nam, nauczycielom, dużo oszczędzono przykrości, gdyż ten jubileusz wypadł podczas wakacyj, a przez to cały obchód sprowadził się do uroczystych posiedzeń rady pedagogicznej i ułożenia tekstu adresu, który w podobnych wypadkach przedtem ułożył dyrektor z innymi nauczycielami Rosjanami i gotowy przynosił na sesję tak, że nikt nie ośmielił się robić żadnych uwag, tylko z zaciętymi zębami musiał podpisać. Przytoczę przebieg takiej uroczystości w IV warsz. gimnazjum męskim.

Na radzie pedagogicznej IV gimn. męskiego, odbytej dn. 9 czerwca 1890 r., przewodniczący (dyr. Wedeniapin) zakomunikował radzie, że d. 22 lipca 1890 r. kończy się 50-lecie służby państwowej Jego Eksc. p. kuratora Warszawskiego Okręgu Naukowego, A. L. Apuchtina. Ten fakt, podług jego zdania, powinien wywołać u członków pedagogiczno-wychowawczego personelu naturalne uczucia radości, spowodu mającej się skończyć dn. 22 lipca półwiekowej działalności ogólnie szanowanego jublata. Rada pedagogiczna, wysłuchawszy wspomnianego komunikatu swego przewodniczącego, na podstawie jednogodnej decyzji uchwaliła:

1. 22 lipca, jako w dniu tak pamiętnym, w obecności władzy zwierzchniej, nauczycieli i uczniów urządzić w IV gimn. dziękczynne nabożeństwo za zdrowie i pomyślność Jego Ekscelencji.

2. W specjalnym adresie złożyć Jego Eksc. w imieniu wszystkich członków rady pedagogicznej, jak również w imieniu innych urzędników, pozostających na służbie w IV gimn., pełne najgłębszego uszanowania powinszowanie spowodu doczekania się pamiętnego 50-letniego jubileuszu jego wielce pożytecznej i wszechstronnej działalności na służbie i wyrazić ich szczerze życzenia, żeby ta działalność i na przyszłość trwała jaknajdłużej

wogóle na korzyść całego państwa, a specjalnie ojczyźstego (naturalnie rosyjskiego) wychowania w tutejszym kraju.

ADRES

Do Pana Kuratora Warszawskiego Okręgu
Naukowego spowodu 50-letniego jubileuszu
Jego służby państwowej.

Warszawskie IV gimnazjum męskie, witając Waszą Ekscelencję w dniu dzisiejszym spowodu skończenia przez Pana półwiekowej państwowej służby pedagogiczno-administracyjnej, wznosi gorące modły do Boga, żeby działalność Pana sławna i wielce owocna w pracy na korzyść ojczyźstego (rosyjskiego) wychowania w przeszłości, stale się rozwijała i wzmacniała w świetlanej przyszłości. Wspominając z głębokiem uczuciem szacunku to, co Wasza Eksc. dotychczas wykonała na rozmaitych i trudnych stanowiskach swej służby, tak w sercu Rosji, jak i na dalekich jej kresach, a w szczególności nieustającą pracą na korzyść oświaty w Priwiślańskim kraju, Warszawskie IV gimnazjum męskie żywi radosną nadzieję, że w przyszłości wobec powiększających się z każdym rokiem sprzyjających okoliczności, wybitna w przeszłości działalność Waszej Ekscelencji będzie uwieczniona pożądaniem postępami na polu rozpowszechniania prawdziwej oświaty wśród miejscowej ludności i wzmocnienia wśród niej i obecnie już przejawiającego się poczucia nierozzerwalności z wielkim narodem i państwem rosyjskiem.

W ciągu pół wieku, krocząc po drodze, wytkniętej przez prawo i władze i spełniając swoje służbowe obowiązki zgodnie z przepisami, Wasza Ekscelencja, zwłaszcza w ostatnich czasach, przeżyła dosyć wzruszeń, doświadczyła wielu ciężkich chwil, a być może, i gorzkich rozczarowań spowodu swoich najlepszych dążeń, planów — i pomimo to nietylko sama kroczyła dalej po tej ciernistej drodze, lecz i prowadziła po niej innych tak współpracowników, jak i swoich podwładnych, trzymając otwarcie i mocno przed sobą jak gorejącą pochodnię sztandar rosyjskiej narodowości i niewzruszonego oddania się Tronowi. Warszawskie IV gimn., będąc głęboko przekonane, że działalność Waszej Ekscelencji w tutejszym okręgu, ważna przez swoją istotę, nadzwyczaj pożyteczna ze względu na miejsce i osobiste przymioty Pana, nie może pozostać bez wszechstronnego wpływu na losy sprawy rosyjskiej oświaty w kraju tutejszym, zwłaszcza w obecnym czasie, kiedy wszystkie reformy są skierowane ku ściślejszemu połączeniu naszych kresów z ojczyźstą Rosją, — w dniu dzisiejszym nie może nie wypowiedzieć swego gorącego pragnienia widzieć Waszą Ekscelencję przez długie lata wyższym, a zarazem najbliższym kierownikiem w spełnianiu swego świętego obowiązku wychowania oddanego jej młodego pokolenia w zasadach wiary i moralności, w poszanowaniu porządku i prawa, w miłości i oddaniu Cesarzowi i Ojczyźnie. Niech Najwyższy zachowa tę energję i siłę ducha, z jaką Wasza Ekscelencja przez 50 lat pełniła swoją wysoką służbę dla Cesarza i Ojczyzny. W tej energji i sile ducha my wszyscy czerpaliliśmy konieczną zachęte i siłę dla naszej skromnej lecz trudnej, a zarazem uciążliwej działalności.

Oryginał podpisali: przewodniczący dyr. P. Wedeniapian; p. ob. inspektora P. Rudenski; nauczyciele: ks. Krupiński, duchowny Bielawski, S. Łużeckij, E. Konopczyński, I. Badowski, B. Peltyn, St. Cybulski, W. Szymanowski. L. Drużynin, J. Janulajtys, K. Araszkievicz, J. Adamczewski, Wł. Bremen, A. Lefebr, A. Dobrowolski. (Wyciąg z posiedzeń rady pedagogicznej z dnia 9 czerwca 1890 roku*).

Przytoczony przeze mnie adres co do swej treści może uchodzić jeszcze za kompromisowy, to jest liczone się, że muszą go podpisywać również nauczyciele Polacy, a ileż to tego rodzaju adresów, które przesłały Apuchtinowi wszystkie zakłady naukowe w Kongresówce, odznaczało się wstrętną treścią i obrażały patriotyczne uczucia Polaków, nawet odznaczających się oportunizmem. Rok jubileuszu Apuchtina był najprzykrzejszy dla nas nauczycieli Polaków. Na Rosjan posypały się order, gratyfikacje, a my w skrytości ducha przeżywalismy ciężkie chwile naszej niedoli i oczekiwaliśmy lepszego jutra. Lecz, niestety, niewiele doczekało tych chwil szczęśliwych, reszta leży w grobie.

Pisząc te wspomnienia zaznaczyłem, że nauczyciele i uczniowie musieli uczestniczyć w modłach do Boga w chwilach smutku i radości domu cesarskiego lub państwa rosyjskiego. A tego rodzaju wypadków w owym czasie było wiele. Przypomnijmy sobie, ile było zamachów na cesarzów Aleksandra II i III. Wiemy, że w cerkwi prawosławnej nabożeństwa czyto dziękczynne, czyto żałobne mogą się odprawiać o każdej porze i to nie tylko w cerkwi, ale nawet w domach prywatnych, w urzędach i t. p., gdy w kościele katolickim tylko dziękczynne „Te Deum” może być odśpiewane o każdej porze, a wszelkie inne nabożeństwa — tylko przed godz. 12 rano i tylko w kościele. Gdy zatem nadchodziła jakaś nadzwyczajna wiadomość w ciągu dnia, nabożeństwo dla uczniów katolików było odprawiane następnego dnia w kościele katolickim, a władza szkolna, mając do dyspozycji swego popa (nauczyciela religii), natychmiast urządzała dziękczynne nabożeństwa w aktowej sali gimnazjum i wówczas wszyscy nauczyciele bez względu na wyznanie (nigdy na takim nabożeństwie nie byłem) i uczniowie prawosławni obowiązkowo mu-

*) Miarą tego, jakim wyjątkowym szacunkiem u moskali cieszył się ks. Krupiński, niech posłuży fakt, iż podpis jego figuruje zaraz po podpisie dyrektora i inspektora przed podpisem popa prawosławnego. W owych czasach było niedopuszczalne, żeby przedstawiciel duchowieństwa katolickiego zajmował pierwsze miejsce przed przedstawicielem panującej religii prawosławnej.

sieli asystować na takich nabożeństwach, po których skończeniu nauczyciele byli wzywani na nadzwyczajne posiedzenie i *jednogłośnie* uchwalali depeszę z wyrażeniem radości spowodu cudownego ocalenia i wiernopoddanych uczuć dla „świętej” osoby ubóstwianego monarchy. Na tego rodzaju adresy zawsze rada pedagogiczna otrzymywała odpowiedź za pośrednictwem ministra oświaty.

Gdy dyrektor otrzymywał taki papier, natychmiast zwoływał radę pedagogiczną, na której wszyscy absolutnie obowiązani byli być, a zaraz po otwarciu rady dyrektor oświadczał, że ma do zakomunikowania fakt nadzwyczajnej doniosłości, którego należy wysłuchać stojąc. Tak, po zamachu w roku 1888 na Aleksandra III, na przesłany adres rady pedagogiczne otrzymały jednakową odpowiedź dla wszystkich zakładów naukowych tej treści: Najjaśniejszy Pan na najpoddaszym raporcie ministra oświaty o wyrażeniu przez podległe ministerjum instytucje i osoby wiernopoddanych uczuć spowodu cudownego ocalenia Ich Cesarskich Mości i ich dzieci od grożącego im niebezpieczeństwa na Kursko-Charkowskiej drodze żelaznej w dniu 19 listopada, raczył własnoręcznie napisać: „wszystkim serdecznie dziękuję”. Po odczytaniu takiej odpowiedzi rada pedagogiczna trzy razy krzyknęła „hura”, a potem wszyscy razem udawali się na salę, gdzie byli zebrani uczniowie i dyrektor z namaszczeniem odczytywał powyższy adres, uczniowie na dany znak dyrektora trzy razy krzyknęli „hura” i byli zwolnieni od pozostałych lekcji (działo się to zwykle na dużej pauzie), chętnie też biegli do domu, bo wiemy, co to była za radość za czasów uczniowskich zwolnienie od lekcji!

Spowodu tak radosnych wypadków rady pedagogiczne „dobrowolnie” fundowały stypendja, z których naturalnie korzystali uczniowie prawosławni, i ikony (święte obrazy prawosławne), które ustawiane były w salach aktowych i dużo potem przyczyniały się do rusyfikacji i naszego udręczenia, bo były już gotowemi ołtarzykami do odprawiania przygodnych nabożeństw. Do składek na ikony nas, katolików, nie zmuszano, lecz byli tacy gorliwi Polacy, którzy sami składali ofiary.

Tutaj muszę opowiedzieć jeden charakterystyczny fakt z czasów mego nauczycielstwa w Częstochowie. Wspomniałem, że przygodne nabożeństwa prawosławne były często odprawiane spowodu rozmaitych okoliczności w sali gimnazjum.

W r. 1902 zostało nieznacznie powiększone uposażenie nauczycielstwa w całej Rosji, a więc i u nas. Kiedy o tem przyszła wiadomość, dyrektor gimnazjum Maj, — Żyd z pochodzenia, zarządził natychmiast *molebien* w sali gimnazjum, na który wezwał cały personel nauczycielski, składający się jeszcze w $\frac{1}{4}$ z Polaków. Wszyscy poszli na nabożeństwo, nie wyłączając Polaków, żeby „prosić” Boga o zdrowie i pomyślność dla całego domu cesarskiego za okazaną całemu nauczycielstwu łaskę. Ja zaś wówczas miałem w VII kl. lekcję literatury polskiej, a że w tej klasie była tylko jedna godzina tygodniowo, żeby jej nie tracić, poszedłem na lekcję. Uczniowie kl. VII chętnie udali się na lekcję, chociaż inni byli zwolnieni od zajęć. Po skończonej lekcji poszedłem do pokoju nauczycielskiego, nie wiedząc o tem, że tam po skończeniu nabożeństwa na sali ułożono adres, podpisano go i, jak zwykle, przesłano cesarzowi za pośrednictwem ministra oświaty. Kiedy wkrótce przyszła odpowiedź, dyrektor zwołał sesję rady pedagogicznej i zakomunikował odpowiedź najjaśniejszego pana, a zanim zaczął rozpatrywać inne sprawy, tonem oficjalnym rzekł do sekretarza rady pedagogicznej: „*Proszę zapisać do protokołu, że nauczyciel J. Wołyński nie uważał za stosowne być na nabożeństwie i nie podpisał wiernopoddanego adresu*”. Wszyscy oniemieli, sytuacja stała się nader groźna. Nie będę się tutaj przechwalał, bo to mnie dzisiaj, liczącemu lat 74, stanowczo niepotrzebne i, po tylu tragedjach życia prywatnego, nie szukam rozgłosu i żadnej kariery, więc mogę być szczerym i otwartym. Powiem tylko, że w stosunku do władz szkolnych byłem bardzo śmiały i przytomny, a że dobrze władałem językiem rosyjskim, często broniłem sprawy, którą reprezentowałem, to jest wykładu języka polskiego, swojej własnej, często i kolegów, a najczęściej swoich kochanych uczniów. Pomagało mi w tem dużo, że zawsze wyraźnie zaznaczałem, że jestem Polakiem i katolikiem, o czem wiedziała władza, wiedzieli koledzy Rosjanie i, muszę przyznać, cenili mnie za to i miałem wśród nich pewien szacunek i często liczono się z moim zdaniem, o czem wiedzieli moi kochani uczniowie i szanowali mnie za to i szanują do dnia dzisiejszego, czego mam dowody na każdym kroku, a wśród uczniów mam i takich, którzy zajmują ministerjalne fotele. Ale wracam do sprawy.

Na polecenie dyrektora zapisano mnie do protokołu. Wówczas spokojnie odpowiedziałem: *ja również proszę pana sekretarza*

o zapisanie do protokołu, że nie mogłem być na nabożeństwie, które nie było odprawione, a adresu nie podpisałem, bo mnie o tem pan dyrektor nie zawiadomił. Dyrektor zbłądł i zwrócił się do obecnego na sali popa: „*wszak prawda, ojcze Romanie, że ojciec odprawił nabożeństwo z mego polecenia*”. „*Tak*”, odpowiedział O. Roman. Wtedy zwróciłem się do dyrektora: „*Panie dyrektorze, przecież pan wie dobrze, że ja jestem katolikiem, Najjaśniejszy pan w swoim państwie pozwala modlić się wszystkim swoim poddanym według ich wyznania, dlatego pytam pana, panie dyrektorze, czy pan prosił obecnego tutaj prefekta o odprawienie nabożeństwa dla katolików*”? Prefekt potwierdził, że takiego zlecenia od dyrektora nie otrzymał i nabożeństwa nie odprawiał. Wówczas rzekłem: „*Proszę zatem zaznaczyć w protokole, że nie byłem na nabożeństwie z winy pana dyrektora*” — i zamilkłem. Wśród ogólnej konsternacji dyrektor oświadczył, że tę sprawę rozpatrzy, a tymczasem przystąpił do załatwienia innych bieżących spraw porządku dziennego. Po skończonej sesji dyrektor wezwał mnie do gabinetu i tam już w prywatnej rozmowie nastąpiło porozumienie, że obydwaj cofniemy swoje wnioski.

Muszę dodać, że działo się to w czasie kuratorstwa Zengera, w pięć lat po usunięciu Apuchtina, kiedy stosunki nieco złagodniały i że dyr. Maj odznaczał się nieco tchórzliwym usposobieniem, odziedziczonem po swoich przodkach, i dlatego zatrzymam się na osobie tego działacza nowego typu.

Maj, z pochodzenia Żyd odeski, wychrzcił się i już w Odesie zaczął robić karierę, dzięki poparciu Ligina, „gołowy” miasta (prezydenta), a późniejszego następcy Apuchtina na stanowisku kuratora w Warszawie, do czego dużo przyczyniła się jego żona, osoba nadzwyczaj inteligentna i przystojna, dla której, jako wyjątkowej spośród ówczesnych moskiewek, przedstawicielki świata nauczycielskiego, mam specjalny szacunek i życzliwe wspomnienie za jej przychylność dla Polaków, a szczególnie za umiłowanie do tego stopnia Sienkiewicza, że dla czytania jego dzieł w oryginale dobrze posiadała język polski jeszcze w Odesie i że po przybyciu do Częstochowy, przy składaniu wizyt pierwsza zaczęła mówić po polsku do mojej żony. Gdy ja zdziwiony spytałem, gdzie się tak dobrze nauczyła naszego języka, śmiało i z zapałem odpowiedziała, że uczyniła to przez miłość dla Sienkiewicza.

Maj już był nowym typem dyrektora, mianowanym przez Ligina, który jednakże miał dobre chęci względem Polaków. To też jego ludzie, jak Maj, nie postępowali już tak bezwzględnie i nawet zależało im na tem, żeby podtrzymać pewien kontakt ze społeczeństwem polskim, o ile to nie wpływało ujemnie na ich karierę. Majowi dużo zależało na tem, co o nim mówią w mieście, i liczył się z tymi nauczycielami Polakami, którzy mieli posłuch w mieście i mogli mu robić opinię. Jego dewizą w kierowaniu gimnazjum było: „*róbcie co chcecie, abym ja był cały*”. A to już było dużo. Takich typów nie spotykało się za czasów Apuchtina.

Teraz muszę wrócić jeszcze do zmuszania uczniów katolików do brania udziału w uroczystościach, gdzie były odprawiane *molebnie* prawosławne.

W aktach warszawskiego okręgu naukowego, dotyczących gimn. częstochowskiego z dn. 23 lutego 1890 r. dyrektor Dachnowicz pisze do kuratora: „Poczta przysłała do gimn. częstochowskiego 2 listy z markami i stemplem niemieckim i adresem polskim: pierwszy list zaadresowany do inspektora (przez omyłkę) gimn. miał stempel „Dresden”, drugi — do prefekta gimn. — stempel „Breslau”. Oba adresy były napisane jedną ręką. W obu kopertach znajdowały się odbitki z jakiegoś wydawnictwa krakowskiego z dwoma artykułami, pisanymi po łacinie, z których jeden mówił o uczęszczaniu uczniów katolików do cerkwi prawosławnych i obecności na nabożeństwach prawosławnych. Bez wątpienia ten artykuł pozostaje w związku ze współczesnymi wypadkami nietolerancji katolickiej, które miały miejsce w naszych szkołach, a szczególnie w gimn. częstochowskim w roku ubiegłym. Podejrzewam, że w przesłaniu obydwóch listów brał udział b. prefekt gimn. częstochowskiego ks. Janczak. Zasługujący na uwagę jest fakt, że obecny prefekt gimn. ks. Jüttner nie przyjął adresowanego do niego listu, o czem dowiedziałem się prywatnie. Ostrożność ks. Jüttnera zasługuje na pochwałę, ale prawdopodobnie ma jakiś ukryty cel. Zaznaczam, że ks. Jüttner nie zdradza fanatycznej gorliwości”. Dalej donosi, że przesyła jeden egzemplarz krakowskiej odbitki z tłumaczeniem rosyjskim (tłumaczył nauczyciel Wejs, Polak, w największym sekrecie przed kolegami), drugi egzemplarz z kopertą odsyła do naczelnika żandarmerji w Częstochowie w celu dowiedzenia się o źródle tych wydawnictw, oraz kto je rozpowszechnia.

„Załącznik. Przedruk z urzędowej publikacji p. t. „Notificationes a curia episcopali diocesis cracoviensis ad universum clerum tam saecularem quam regularem. Nr. 5888 XII. 1889”:

„W ostatnich czasach pisma donosiły, że uczniowie katolicy w szkołach cesarstwa rosyjskiego muszą przy różnych okazjach brać udział w obrzędach niekatolickich wbrew zakazom swoich prefektów. Należy zatem zwrócić uwagę szan. klerowi na to, że Stolica Apostolska...” (dalej tekst łaciński, datowany: Romae die 28 Junii 1889), który tutaj streszczam:

„Jeden z biskupów doniósł Stolicy Apostolskiej, że od lat 20 w diecezjach wileńskiej, mińskiej i żmudzkiej, a częściowo mohylowskiej, weszło w zwyczaj, że uczniowie katolicy gimnazjów i progimnazjów w czasie tak zwanych galówek na rozkaz swoich dyrektorów udają się do schizmatyckich cerkwi na nabożeństwa. Niektórzy z księży zmuszeni byli cierpieć ten zwyczaj, drudzy starali się swym protestem obalić go, ale nie uzyskali nic. Ostatnio doszło do tego, że uczniowie katolicy zmuszeni są przy pomocy prześladowania i kar nie tylko do obecności na obrzędach niekatolickich, ale i do udziału w nich, t. j. do klękania, do całowania krzyża, podanego przez duchownego niekatolickiego, a nawet do trzymania świec. Te praktyki stosowano w czasie rocznicy śmierci cesarza Aleksandra II, przy jubileuszach rozmaitych dygnitarzy oświatowych lub ich awansach. Niedawnymi czasy poczęto stosować to w szkołach powszechnych do małych dzieci. Gdy zaś uczniowie katolicy odmawiali udziału, sądzono zaraz, że to czynią pod wpływem swoich prefektów i wydano rozporządzenia, żeby prefekci pod groźbą kar nie wazyli się przeciwdziałać temu, a nawet zachęcali do uległości. Już trzech prefektów władza świecka skazała za opór w tej sprawie na zamknięcie w klasztorze. Obecnie władze świeckie grożą prefektom jeszcze surowszemi karami i głoszą, że za opór uczniowie będą wydalani ze szkół. Jest w tem widoczna tendencja do utorowania katolikom drogi do schizmy, tembardziej że katolicyzm w tych diecezjach jest bardzo ograniczany i krępowany. Gdyby władze duchowne katolickie tolerowały te zwyczaje, stanowiłoby to groźne niebezpieczeństwo dla katolicyzmu. Ostatnio władze świeckie oświadczyły, że wszelkimi sposobami przeprowadzą to, aby uczniowie katolicy uczęszczali do cerkwi, gdyż to wynika z ich obowiązku jako poddanych. W dodatku w tych diecezjach rząd ma monopol nauczania i niema tu wca-

le szkół prywatnych. Biskupi zapytywali się w Rzymie, jak wyjść z tego położenia. Czyby nie można było w takich wypadkach wysyłać delegacyj uczniowskich z katolików do cerkwi, albo też — pozwolić na prostą obecność uczniów katolików bez udziału ich w nabożeństwie? — Kongregacja Inkwizycji zastanawiała się nad tą sprawą na sesji dn. 19. VI. r. b. i orzekła, że katolikom nie wolno być obecnymi na obrzędach niekatolickich. Orzeczenie to potwierdził Ojciec św. na audjencji tegoż dnia". (Jak wynika z danych zawartych w tym tomie akt, analogiczne przesылki otrzymały wszystkie gimnazja w Królestwie).

Pierwsze próby zmuszania uczniów katolików do uczęszczania do cerkwi prawosławnych były czynione od czasu objęcia stanowiska kuratora w Warszawie przez Apuchтина w 1879 r. Na unji w t. zw. rosyjskich gimnazjach: w Siedlcach, Białej, Chełmie czyniono to i wcześniej, zwłaszcza przy zmuszaniu unitów do przejścia na prawosławie. W polskich gimnazjach, które już wymieniałem, z początku były próby zmuszania uczniów katolików do chodzenia do cerkwi na galówki, ale, dzięki prefektom gimnazjów, a głównie stojącemu za nimi episkopatowi katolickiemu z dzielnym biskupem włocławskim Bereśniewiczem na czele, który jako Żmudzin nie bawił się w żaden kompromis z rządem w sprawach religij, został ustalony porządek, że uczniowie katolicy mają uczęszczać tylko do kościoła katolickiego na galówki i na uroczystości, urządzone spowodu wydarzeń państwowych. Zdarzały się jednakże wypadki, że w pewnych uroczystościach zmuszano uczniów do brania udziału, jak to było w Częstochowie w czasie poświęcenia pomnika, który „wdzięczna” ludność Królestwa z „dobrowolnych” składek wzniosła cesarzowi Aleksandrowi II za uwłaszczenie. Ciekawa to była historia.

Na poświęcenie kazano przyjechać wszystkim wójtom z całego Królestwa. Był ułożony specjalny ceremoniał pomiędzy biskupem Bereśniewiczem i najwyższymi władzami kraju. W dniu poświęcenia w październiku 1888 r. wyszedł z Jasnej Góry wspinały pochód duchowieństwa katolickiego w pontyfikalnych szatach z biskupem Bereśniewiczem na czele i podążył do pomnika, gdzie również byli zebrani uczniowie gimnazjum. Gdy skończyło się poświęcenie przez biskupa, orszak duchowny wracał do klasztoru, w tej chwili zbliżał się orszak prawosławnego duchowieństwa, żeby również dokonać aktu poświęcenia. W tym

międzyczasie młodzież katolicka miała polecenie od prefekta odejść od pomnika, lecz nie wszyscy mogli to wykonać, bo obecna policja widocznie zgóry miała polecone nie dopuścić do czyjegokolwiek wycofania się, zatarasowała wyjście i nie pozwoliła uczniom ruszyć się z miejsca, tylko część zdążyła wyjść. Ówczesny prefekt gimn. ks. Janczak dostał dymisję, gdyż władze stwierdziły, że on rzeczywiście nie pozwolił uczniom asystować przy poświęceniu pomnika przez duchowieństwo prawosławne. Na poświęceniu byli obecni: Hurko, Apuchtin, wszyscy gubernatorzy, komisarze włościańscy Królestwa i t. p. Po poświęceniu dla wójtów i obecnych dygnitarzy kosztem również „dobrowolnych” składek gmin całego Królestwa było urządzone przyjęcie w refektarzu klasztornym, który pamiętał ucztę weselne naszych królów, lub w czasie częstego ich pobytu u stóp Najświętszej Panny w przełomowych chwilach ojczyzny. Pierwszy w języku rosyjskim przemówił Hurko i zachęcał chłopów do dozgonnej wdzięczności dla najj. pana za ich oswobodzenie i uwłaszczenie, potem podług planu przemówił biskup Bereśniewicz i w płomiennych słowach zachęcał chłopów do modłów do Pana nad Pany, który ich obdarzył tak wielką łaską, a nic nie wspominał o najj. panu. — Dalej uczta przeszła w głębokiem milczeniu, bo można sobie wyobrazić, jakie piorunujące wrażenie zrobiło to przemówienie na obecnych przedstawicielach najwyższych władz w kraju.

W parę lat przybyłem do Częstochowy i dużo słyszałem o tem pamiętnem zdarzeniu, które wszyscy żywo zachowali w pamięci. O ile pamiętam, uczniowie katolicy nigdy urzędowo nie występowali w uroczystościach kościoła katolickiego, jak np. w procesjach Bożego Ciała. Jeżeli młodzież szkolna występowała w niektórych miastach, to była to młodzież szkół prywatnych, a młodzież szkół rządowych — tylko czasami i to z inicjatywy prefektów gimnazjów.

Dużo też było kłopotu w razie zwiedzania gimnazjum przez archijerejów prawosławnych, o ile ci chcieli zwiedzać poszczególne klasy, gdyż bywały wypadki lekceważenia archijereja przez uczniów katolików i to nie ze względów religijnych, lecz politycznych, gdyż prawosławni duchowni, a więc i ich najwyżsi przedstawiciele brali czynny udział w rusyfikacji kraju. Lecz z czasem ustalił się taki zwyczaj, że w czasie wizyty archijereja zbierano wszystkich nauczycieli i uczniów Rosjan w sali gimn.

i tam prowadzono archijereja, a dyrektor prosił jednego z nauczycieli Polaków, cieszącego się autorytetem i sympatią uczniów, ażeby pilnował uczniów katolików, których na ten czas zamykano w klasach i nie pozwalano wychodzić, dopóki archijerej nie opuścił gimnazjum. Władze szkolne, a zwłaszcza nauczyciele religii prawosławnej, bardzo się obawiali takich wizyt, bo jeżeli się coś takiemu panu nie podobało, albo jeżeli uczeń źle odpowiadał z religii, archijerej brutalnie wymyślał dyrektorowi i popu przy wszystkich, a dobrze jeszcze było, jeżeli nie zażądał od Apuchtina ukarania winnych *).

Szczególniej takim brutalstwem odznaczał się archijerej Leoncjusz za czasów Hurki. Ten za zasługi w Warszawie przeniesiony został do Moskwy na metropolitę i tam w podobny sposób postępował ze swymi owieczkami. Lecz „moskwicze” (mieszkańcy Moskwy) przyzwyczajeni do innego traktowania ich przez władze duchowne, znienawidzili Leoncjusza, a po śmierci jego trumnę na ulicy podczas pogrzebu obrzucili błotem. To mi opowiadał jeden z naocznych świadków tego zdarzenia, który potem był nauczycielem rysunków w Częstochowie, Rumiancew. Wogóle wyżsi dygnitarze rosyjscy, przenoszeni na wyższe stanowiska do Rosji przez swoje bezwzględne postępowanie, do którego przyzwyczaili się w Polsce, narażali się na wielkie nieprzyjemności.

Ażeby wyczerpać to, co pamiętam, muszę opowiedzieć jeszcze o wykonywaniu hymnu narodowego rosyjskiego podczas świąt dworskich, które zwykle nazywano galówkami. Zazwyczaj galówki odbywały się w kaplicach gimnazjalnych, gdzie takowe ocalały, w przeciwnym razie prowadzono uczniów do kościoła katedralnego lub parafjalnego. Tak w jednych jak i drugich kościołach kazano uczniom chodzić na chór i po skończonem nabożeństwie wykonywać hymn: „Boże cesarza chroń”, naturalnie po rosyjsku. (W Kielcach początkowo wykonywały ten hymn organy). W kaplicach gimnazjalnych nie udawało się tego uniknąć, lecz kościoły publiczne za wszelką cenę starały się uniknąć wykonywania tego hymnu, ku czemu używano rozma-

*) W roku 1903 Biskup Włocławski ks. Zdzitowiecki wizytował lekcje religii w gima. Częstochowskiem.

tych forteli. Śmielsi rektorzy kościołów wprost nie wpuszczali uczniów na chór; wówczas organista wykonywał hymn na organach bez śpiewu, inni zamykali chór pod pretekstem zepsucia organów na czas dłuższy, a po zreparowaniu więcej uczniów nie wpuszczano na chór i nawet na organach nie wykonywano hymnu. Z tego powodu skargi dochodziły nawet do Petersburga, ale episkopat polski bronił się tem, że ten hymn jest świecki i w prawosławnych cerkwiach nie bywa śpiewany; na tem się skończyło.

Ciekawa była sprawa w Kielcach. Tam biskup zabronił śpiewania tego hymnu po rosyjsku. Z tego powodu rozpoczęła się obszerna korespondencja z gen.- gubernatorem i biskup sprawę wygrał tak, że gen.-gub. zgodził się, żeby hymn na galówkach śpiewano po polsku, a na początku XX w. tak w Kielcach, jak i w całym Królestwie zaprzestano śpiewania tego hymnu w kościołach publicznych. Ten stan pozostał do końca.

Jak wyżej wspomniałem, władze szkolne w niektórych miastach Królestwa, a bezwarunkowo na Litwie zmuszały uczniów do brania udziału w nabożeństwach prawosławnych tak, że jak wykazałem dokumentami, tą sprawą zajęła się Stolica Apostolska i z punktu widzenia katolickiego rozstrzygnęła ją, że uczniom katolikom nie wolno było brać udziału w nabożeństwach prawosławnych. Ta decyzja Stolicy Apostolskiej była zakomunikowana wszystkim prefektom i dyrektorom gimnazjów w Kongresówce i na Litwie w ten sposób, że przesłano im zamknięte listy z Wrocławia i Drezna.

Niektórzy prefekci w obawie następstw nie przyjęli tych listów, a inni oddawali je dyrektorom gimnazjum, żeby ci wiedzieli, że prefekci mają nakaz zgóry, dyrektorzy zaś, po przetłumaczeniu tekstów łacińskich na język rosyjski, przesłali je Apuchtinowi i na tem się cała sprawa skończyła. Rezultat został osiągnięty. W Kongresówce nie zmuszano więcej uczniów do chodzenia do cerkwi, ale na Litwie nie ustąpiono i uczniowie katolicy chodzili w galówki do cerkwi do wybuchu wielkiej wojny.

Powyżej podałem korespondencję w tej sprawie dyrektora z kuratorem Apuchtinem i okólnik Kongregacji Inkwizycji zatwierdzony przez Ojca św. a podany do wiadomości władzy szkolnej i prefektów w Kongresówce i na Litwie.

Nauka języków starożytnych, historii i innych przedmiotów.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zwracano nadzwyczajną uwagę na naukę języków starożytnych, lecz cała znajomość języków starożytnych sprowadzała się do gruntownego opanowania gramatyki tych języków i ćwiczenia się w przekładach z języka rosyjskiego na języki starożytne, gdyż maturalny egzamin piśmienny z tych języków polegał właśnie na takich przekładach. Wrazie niepomyślnego wyniku cierpiał na tem uczeń maturzysty, niemniej cierpiał i nauczyciel, o czem będzie niżej. Taki system wykładów języków starożytnych trwał do r. 1890, dręczono i męczono młodzież, a razem z młodzieżą i rodziców. Toteż były najrozmaitsze protesty w pismach przeciwko niewłaściwemu nauczaniu tych języków, przeciwko przemęczaniu młodzieży wyuczaniem się napamięć wszelkich wyjątków, a zwłaszcza łacińskich, tak że w końcu całe społeczeństwo rosyjskie wystąpiło przeciwko temu systemowi i sprawiło to, że minister Deljanow przeprowadził pewną reformę w nauczaniu języków starożytnych — zmniejszył ich liczbę godzin, w ośmiu klasach do 42 łaciny i 33 greckiego, a maturalny egzamin od tego czasu polegał na przekładzie z języków starożytnych na rosyjski, co było wielką ulgą i dla uczniów i dla nauczycieli, chociaż w niższych klasach pozostały jeszcze dla gimnastykowania umysłów przekłady z języka rosyjskiego na klasyczne, ale one już nie odgrywały tak ważnej roli jak przedtem.

W tym okresie 1898 r. dał się odczuć brak nauczycieli języków klasycznych, gdyż starzy nauczyciele wymierali, a na ich miejsce sprowadzano kandydatów z Rosji, lecz i tych brakowało. Taki brak dał się odczuć szczególnie w gimnazjum częstochowskiem. Wówczas dyrektor zwrócił się do mnie z propozycją objęcia wykładów języka greckiego w jednej klasie i w tej klasie powierzył mi wychowawstwo. Ówczesny kurator Ligin zatwierdził ten projekt; w ciągu roku prowadziłem wykład języka greckiego. W następnym roku również powierzono mi dalsze prowadzenie wykładu greckiego w tej samej klasie. Ta sprawa, stosownie do przepisów, wymagała zatwierdzenia kuratorjum. Kurator Ligin w tym czasie był na urlopie, a zastępował go pomocnik jego Dobrowolskij, jeden z najbliższych współpracowników Apuchtina, i, jak łatwo się domyśleć, największy wróg

Polaków. Toteż, kiedy mu przedstawiono moją sprawę, wręcz odmówił. Gdy odmowna odpowiedź przyszła do gimnazjum w końcu września, a więc już po rozpoczęciu roku szkolnego, oburzony tem do najwyższego stopnia napisałem formalną skargę na Dobrowolskiego do Ligin tej treści:

„Widocznie wywiązałem się z powierzonych mi wykładów sumiennie, jeżeli rada pedagogiczna (jej to było przywilejem) na następny rok powierzyła mi pełnienie tych samych obowiązków, a nawet w tym roku zostałem zaszczycony najwyższą nagrodą, która jest odznaczeniem za moją nieskazitelną pracę. P. Dobrowolskij nie zatwierdzając mnie, zlekceważył postanowienie rady pedagogicznej i odznaczenie mnie najwyższą nagrodą, jak również ugodził w mój honor nauczycielski. Wobec tego proszę p. kuratora przywrócić mi mój honor nauczycielski lub też zwolnić mnie ze służby”.

Gdy osobiście przedstawiłem tę skargę Liginowi i gdy on poznał jej treść, widziałem, że był zdumiony i zwrócił się do mnie, żebym przede wszystkim zachował spokój i równowagę. Z początku odesłał mnie do Dobrowolskiego, abym go prosił o zmianę odmownej decyzji, do której, jako zastępca był zupełnie uprawniony. Lecz wkońcu Ligin, widząc moje wzburzenie, pod żadnym pozorem nie pozwolił mi widzieć się z Dobrowolskim i kazał natychmiast wracać do zajęć, nadmienił przytem, że on nie da mi zrobić krzywdy i tę sprawę rozstrzygnie po porozumieniu się z dyr. Majem, który po swojej nominacji jechał z Odesy do Częstochowy. Podziękowałem za życzliwe słowo i wyszedłem.

W parę dni potem przyjechał dyrektor Maj. Jak było w zwyczaju w takich razach, zebraliśmy się wszyscy nauczyciele na sali dla wspólnego przedstawienia się i poznania. Gdy przyszła kolej na mnie, dyr. Maj, usłyszawszy moje nazwisko, poprosił mnie, żebym zaraz po przedstawieniu przyszedł do jego gabinetu. Gdy przyszedłem, Maj zapytał mnie, jakiego ja spodziewam się rezultatu w mojej sprawie. „*Naturalnie pomyślnego*”, odpowiedziałem, „*bo na szczęście naszym zwierzchnikiem teraz jest Ligin, a nie Apuchtin*”. Wtenczas Maj odpowiedział: „*Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że w danym wypadku Ligin jest w bardzo trudnem położeniu, ale mogę pana zapewnić, że kurator bardzo wziął sprawę pana do serca i, jeśli nie teraz, to w przyszłości pana wynagrodzi. Czy zgadza się pan na to?*”

„Zgadzam”. Rezultat tej sprawy był taki, że lekcyj mi nie przywrócono, bo młodszy stanowiskiem w urzędzie rosyjskim nie mógł mieć racji, ale straty materialne, poniesione przeze mnie, wynagrodzono mi przyznaniem 2 gratyfikacji (remuneracji) w ciągu roku, a w przyszłości Ligin miał zamiar dać mi lepsze stanowisko pod względem materialnym, lecz tego już uczynić nie mógł, gdyż wkrótce potem umarł. My, Polacy, żalowaliśmy go, bo z natury był to dobry człowiek i nie był źle do nas usposobiony.

Radykalną reformę w nauczaniu języków starożytnych przeprowadził w r. 1901 ówczesny minister oświaty Wannowskij. Ten zupełnie usunął z kursu gimnazjum nauczanie języka greckiego, pozostawił tylko łaciński, którego nauczanie zaczynało się od kl. III i w każdej klasie na ten przedmiot przeznaczano 5 godzin tygodniowo. W I i II kl. wprowadzono nauczanie przyrodoznawstwa i historii „ojczystej” (rosyjskiej). Pozostawiono tylko w Królestwie jedno warszawskie IV gimn. męskie, w którym nauczano jęz. greckiego od IV kl. i przeznaczono na ten przedmiot 28 godzin tygodniowo.

Pamiętam, jak ta reforma była uciążliwa dla naszych dzieci, które w I i II kl. jeszcze na tyle nie opanowały języka rosyjskiego, żeby mogły słuchać wykładów przyrody i historii sobie obcej w języku rosyjskim, i jak matki wspominały te dobre czasy, kiedy ich pociechy daleko łatwiej mogły się nauczyć 5—10 wyrazów łacińskich. Trzeba przytem zwrócić uwagę na to, jak nauczyciel historii wpajał w młodociane umysły polskich dzieci rozmaite wiadomości o takich bohaterach, jakimi byli: Igor, Władimir Monomach, Iwan Kalita, Iwan Groźny i t. p. i jak starannie unikał nie tylko wzmianki o dziejach polskich, mających związek z historią Rosji, ale wprost unikał wyrazu Polak, polski.

Kiedy już o tem wspominałem, muszę się również zatrzymać na nauczaniu historii w owych czasach. Z usunięciem po reformie Tołstoja specjalistów historyków Polaków powierzono nauczanie historii nauczycielom języka rosyjskiego, aby oni przede wszystkim traktowali historję nie jako specjalny przedmiot, lecz jako pomocniczy dla wprawy w języku rosyjskim. Zwracano też główną uwagę na sposób wyrażania się przez ucznia, na prawidłowe stawianie akcentów, a nie na treść. Naturalnie, głównie zwracano uwagę na historję Rosji, a historję powszechną, oprócz Grecji i Rzymu, traktowano po macoszemu. Przewodnią

myślą nauczania było apoteozowanie despotyzmu i jedynowładztwa, a zohydzanie tego, co było dla Polaka najdroższem. Znęcano się wprost nad naszą biedną młodzieżą i nadużywano jej cierpliwości, kiedy z konieczności trzeba było mówić o naszej przeszłości i naszych bohaterskich czynach i naszych bohaterach narodowych, np. pod Grunwaldem, pod Wiedniem głównie zwyciężyli Rosjanie, jacy byli w wojsku polskiem. Kościuszko, Kiliński — to „*buntowszczyki*”, których należało powiesić i źle postąpił car Paweł, że tego nie uczynił, bo tylko innych rozzuchwiał do podnoszenia buntów i t. d. Najwięcej nieporozumień na lekcji historii powstawało z tego, że nauczyciele wymagali, żeby młodzież polska zamiast „Rosja, rosyjski” używała: nasza ojczyzna, nasi bohaterzy i t. p., a nasza młodzież nigdy do tego nie chciała się nagiąć. Owszem, czasami któryś z uczniów umyślnie odpowiadał według żądań nauczyciela i podkreślał to z takim naciskiem, że to wywoływało ten efekt, iż koledzy się uśmiechali i wyprawiali kocią muzykę nauczycielom, a rezultatem tego była koza, nagana dyrektora i zemsta samego nauczyciela — zły stopień. Komuż z nas nie jest znany podręcznik do nauki historii Iłowajskiego, ile tam było fałszu, ile naciągania faktów! O tem dużo możemy powiedzieć my, starsze pokolenie.

Czasem zdarzały się wypadki, że nauczyciele historii dopuszczali na lekcjach do dyskusji na tematy, obierane przez samych uczniów. Tego tylko było potrzeba. Uczniowie w takich razach obierali tematy z historii stosunków polsko-rosyjskich. Taki fakt miał np. miejsce w gimn. radomskim. Historję Rosji wykładał nauczyciel Kedrin. Na jednej z lekcyj uczeń VIII kl. Gosiczewski postawił nauczycielowi pytanie: „*Panie profesorze, jak objaśnić, że historycy rosyjscy uważają Galicję za kraj rdzennie rosyjski, a historycy polscy są odmiennego zdania?*” „Wywiązała się z tego bardzo ożywiona dyskusja, w której brała udział cała klasa i każdy się wysiłał, żeby profesorowi powiedzieć coś „*przyjemnego*”. Kiedy Kedrynowi zabrakło nareszcie innych argumentów, użył najważniejszego, że przerywa dyskusję, bo z takimi zapaleńcami, jakimi się okazali uczniowie VIII kl. gimn. radomskiego, niema żadnej dyskusji. Rezultat był taki, że dyrektor gimnazjum, znany nam już dobrze Smorodinow, zabronił prowadzenia dyskusji na lekcjach historii. Ten Kedrin był potem awansowany na inspektora do Suwałk i tam został

formalnie ukamienowany w zasadzce przez uczniów Żydów, bo był znanym żydofobem i z tem się bynajmniej nie krył.

Wykład matematyki prawie wszędzie stał na wysokości zadania. Jednakże były wypadki niskiego poziomu tego przedmiotu, zwłaszcza tam, gdzie wykładali starsi nauczyciele Polacy, mianowani jeszcze za panowania Mikołaja I. W takich warunkach znajdowało się gimnazjum płockie, gdzie nauczycielami byli poczciwi staruszkowie Dębicki i Dylewski, mianowani w latach 1844 i 1846. Prawda, my, uczniowie, umieliśmy mało, ale szanowaliśmy i kochaliśmy ich, bo naprawdę byli nie tylko naszymi nauczycielami i kierownikami, ale ojcami i opiekunami.

Najsłabiej w tym okresie był postawiony wykład języków nowożytnych: niemieckiego i francuskiego, głównie dla braku odpowiednich nauczycieli. Obowiązywał tylko jeden przedmiot: niemiecki lub francuski, ale można było uczyć się obydwóch. Od r. 1901 obydwie języki nowożytne stały się obowiązkowe. Wśród nauczycieli języka niemieckiego było wielu poznańczyków, Polaków, którzy jako nasi rodacy nie wzbudzali w uczniach lekceważenia i swoim postępowaniem nie narażali się na śmiech i rozmaite figle czasem nawet bardzo złośliwe. Do takich należeli poznańscy Skałowski i Kubicki, o których muszę parę słów powiedzieć. Skałowski w 70-ych latach był nauczycielem języka niemieckiego w gimn. płockim. Był lubiany przez uczniów, co nie przeszkadzało, że otrzymał przezwisko „wajter”, bo zawsze zamiast rosyjskiego „dalej” (niech następny odpowiada) mówił po niemiecku „weiter”. Wiedział on dobrze o tem przezwisku, ale nie gniewał się, przeciwnie, życzliwie uśmiechał się do swoich „prześladowców”. Ten wyborny nauczyciel pewnego razu zupełnie nieoczekiwanie został przeniesiony z Płocka i zdegradowany do progimn. sandomierskiego. Z początku przyczynę tego faktu trzymano w głębokiej tajemnicy, lecz czegoby się kochani uczniowie nie dowiedzieli! Rzecz tak się miała. Jeden z kolegów, osławiony prefekt ks. Ołdakowski, wyprawiał swoje imieniny, na które zaprosił wszystkich nauczycieli. Byli pomiędzy nimi Skałowski i Skrobański, eksunita urzędowy, ale w gruncie rzeczy dobry Polak i katolik. Ten to Skrobański, bożyszczko uczniów, był przystojnym młodym człowiekiem, a Skałowski — mały, brzydki i, jak to bywa, wojowniczego usposobienia. Pomiedzy tymi dwoma kolegami istniał pewien antagonizm, bo obydwaj byli w stanie wolnym, tak że często dochodziło do

sprzeczek. Właśnie na tem zebraniu Skrobański docinał Skałowskiemu, tak że ten postanowił zemścić się i wcześniej opuścił mieszkanie solenizanta, skrył się w krzakach przed domem i czekał na wyjście Skrobańskiego. Kiedy ten wyszedł, Skałowski napadł na niego i kluczem od mieszkania dotkliwie go poranił, to samo uczynił Skrobański kijem. Następnego dnia obydwaj przeciwnicy przyszli do gimnazjum z opatrzonemi ranami. Dyrektor zawiesił obydwóch w czynnościach. Skałowski pojechał do Sandomierza i tam był krótko, bo jako wybitny nauczyciel, wkrótce był przeniesiony do warszawskiej Szkoły Realnej i jednocześnie wykładał język niemiecki w nigdy niezapomnianej Szkole Handlowej Kronenberga. Skrobański zaś, jako unita, musiał wyjechać do Rosji; długo nie dawał znaku życia o sobie. Dopiero, gdy po strajku szkolnym powstały szkoły polskie, Skrobański znalazł się w Kielcach jako wykładowca język rosyjski w tamtejszej szkole polskiej. Cieszył się tam wielkiem uznaniem i popularnością.

Następcą Skałowskiego w Płocku był Müller, człowiek bardzo wykształcony. Całe życie podróżował po całym świecie, znał kilka języków europejskich i wschodnich. Na stare lata chciał odpocząć na stanowisku nauczyciela języka niemieckiego. Lecz w gruncie rzeczy poczciwy ten Niemiec nie zaznał nie tylko odpoczynku, ale nawet spokoju. Był wielkim oryginałem i miał rozmaite śmieszne przyzwyczajenia, które uczniowie podpatrywali i wyzyskiwali, żeby „Niemcowi” dokuczyć i to bynajmniej nie ze złego serca. Na lekcjach jego było piekło. Jakże w takich warunkach można było myśleć o nauce!

Nigdy nie zapomnę jednej lekcji w IV kl., a więc pod względem zachowania się najniebezpieczniejszej, kiedy czterej koledzy w rozmaitych punktach klasy zaczęli wygrywać na stałówkach, tak że biedny Müller nie mógł się zorientować, który z uczniów tak mu wygrywa. Zdenerwowany do najwyższego stopnia uciekł z klasy i pobiegł do inspektora (nauczycielowi nie wolno opuszczać klasy — to największy błąd). Tego i trzeba było uczniom. Wtenczas już wszyscy urządzili kocią muzykę, w innych klasach nauczyciele przerwali lekcje i wybiegli na korytarz, by dowiedzieć się, co się stało. Wrócił Müller z inspektorem, winowajców nie odszukano, a inspektor zwrócił się do Müllera z taką oracją: „Jeżeli panu któryś z uczniów coś przeszkobie, niech go pan przyprowadzi do mnie, a ja się z nim załatwię”. Inspektor

skończył i wyszedł z klasy, a Müller, który niewiele rozumiał po rosyjsku, zwrócił się do uczniów z zapytaniem: „co on powiedział”? Tego jeszcze było potrzeba, powstała jeszcze większa rozmowa i kocia muzyka, lecz tym razem Müller pochwycił jednego z muzykantów, Stanisława Wierzbickiego, późniejszego dyrektora Tow. Akc. K. Rudzki, i odebrał mu instrument do gry. Wierzbicki nie chciał go oddać i zachował się wojowniczo, za co był wydalony z gimnazjum, lecz po roku został przyjęty po odbytym egzaminie do następnej klasy, tak że nawet roku nie stracił.

Zabawne zdarzenie miał Müller podczas wizytacji jego lekcji przez Apuchtina. Apuchtin, chcąc się przekonać, o ile uczniowie rozumieją tekst niemiecki, otworzył książkę i kazał uczniowi tłumaczyć. Trzeba było nieszczęścia, że książka otworzyła się, gdzie znajdował się opis lasu i gdzie wymieniano rozmaite krzewy i rośliny, jak również drzewa. Okazało się, że uczeń tego nie mógł przetłumaczyć. Chociaż Müller rozumiał, nie znał jednak odpowiednich nazw rosyjskich, Apuchtina wiedza tak daleko nie sięgała, żeby pomóc uczniowi. Sytuacja stała się nie tyle groźna, ile komiczna, lecz na szczęście na tę scenę przyszedł dyrektor gimnazjum Fedyński. Jako doktor uniwersytetu wiedeńskiego znał naturalnie język niemiecki i uratował z przykrych sytuacji Müllera, który do śmierci opowiadał, że nigdy w życiu wśród ciągłych podróży nie znalazł się w tak głupim położeniu.

Podobny wypadek, ale bardzo przykry dla wizytatora, delegata kuratorjum, miał miejsce znacznie później na egzaminie maturalnym z języka łacińskiego w warsz. IV gimnazjum męskim. Delegat Wiechow, prof. Uniwersytetu Warsz. czyto z braku zaufania do nauczyciela egzaminującego Lebediewa, czyto że chciał zaimponować swoją znajomością przedmiotu, kazał tłumaczyć maturzyście Liwjusza, gdzie się książka otworzy. Trafiono na trudny tekst, w jakie obfituje Liwjusz, tak że uczeń nie mógł przetłumaczyć. Wiechow był w tem samym położeniu, a nauczyciel egzaminator, chociaż mógł pomóc uczniowi, ale urażony brakiem zaufania do siebie ze strony delegata, milczał, żeby skompromitować profesora uniwersytetu. Nastąpiło dłuższe milczenie. Wkońcu delegat zwrócił się do przewodniczącego, którym był dyrektor gimnazjum, i prosił go, żeby ten prowadził egzamin, a on będzie się tylko przysłuchiwał.

Umyślnie opisałem te wypadki, żeby wskazać, że, jak pomiędzy nauczycielami były, są i będą rozmaite typy, tak również i pomiędzy uczniami zawsze będą spokojni i łobuziaki, którzy swoim nauczycielom mogą zatruwać życie, co w gruncie rzeczy czynili nie ze złego serca, ale z figlów, czego potem, kiedy dojrzeją, mocno żałują i o ile mogą swoje dawne ofiary otaczają jeszcze większym szacunkiem i miłością. My zaś, pedagodzy, powinniśmy na takie figle być bardzo wyrozumiali.

Wspomniany przeze mnie Kubicki był wybitnym nauczycielem języka niemieckiego w Warsz. Szkole Realnej i w Szkole Handlowej Kronenberga, a potem został powołany na specjalnego plenipotenta hr. Zamoyskiego.

Odmiennym typem zupełnie był nauczyciel języka niemieckiego w gimn. częstochowskim Kan, który przyjechał do Częstochowy z Jakucka na Syberji, odległego o parę tysięcy wiorst. Kan był wówczas (1896 r.) już starcem, a został mianowany nauczycielem jeszcze za czasów Mikołaja I. Jakiej był narodowości, nie dało się ustalić. Jedno było pewnem, że był poddanym najj. pana. W ciągu przeszło 40-letniej służby kilkakrotnie przenosił się z miejsca na miejsce. I tak z kraju Nadbałtyckiego pojechał do Finlandji, stamtąd na Kaukaz, z Kaukazu na Syberję i t. d. Wszystko to czynił dlatego, żeby za swoją „wierną” służbę na kresach, gdzie w każdej chwili życie jego było „narażone na niebezpieczeństwo” (zwłaszcza u nas), i za tak dalekie przejazdy brać bajońskie wprost sumy, które wynosiły po parę tysięcy rubli, jak np. ostatni przejazd z Jakucka do Częstochowy. A jaka tego pana i jemu podobnych była praca na tych dalekich kresach, proszę posłuchać.

Kan, po objęciu zajęć, mocno był zdziwiony, że nasi nauczyciele zaraz po dzwonku idą na lekcje, że na dużej pauzie wszyscy wspólnie rozmawiają i jedzą śniadanie, które składa się z herbaty i bułki z szynką. „U nas w Jakucku”, mówił Kan, „nie rozumiano śniadania bez wódki”. Ale co go najwięcej zdziwiło, że w pokoju nauczycielskim nie znalazł stolika do kart. We wschodniej Syberji, podług opowiadania Kana, w każdym gimnazjum był stolik do kart i podczas nawet mniejszych pauz zdarzało się, że nauczyciele zaczynali prędką grę, którą następnie kontynuowali podczas dużej pauzy, a czasami tak się zagrali, że uczniowie sami siedzieli w klasach do tej godziny, w której się kończyły lekcje podług planu i wtenczas dopiero

mogli iść do domu. Wcześniej ich nie puszczano, żeby rodzice nie dowiedzieli się o tem, że lekcyj nie było.

Pyszne były lekcje tego pana w gimn. częstochowskiem. Ponieważ i tutaj po całych nocach grywał w karty, był niewyspany i w takim stanie przychodził na lekcje. Toteż sam nie mógł prowadzić lekcyj, tylko wybierał jednego z lepszych uczniów, który stawał obok niego na katedrze, żeby go przed ciekawem okiem dyrektora zasłonić, gdyby ten przechodził przez korytarz. Taki uczeń wyrывał swoich kolegów do katedry, pytał się zadanej lekcji, sam stawiał stopnie z odpowiedzi, a pan profesor spał. Można sobie wyobrazić, co się wtenczas działo w klasie. Naturalnie Kan był przez 2 lata nauczycielem i został zemerytowany za tyloletnią „ciężką” pracę. Tutaj jeszcze dodam, że ten pan zapisał się do miejscowej resursy na członka i został przyjęty dzięki głosom Rosjan, którzy wypadkowo podczas głosowania znaleźli się w większości, bo wogóle członków Rosjan było najwyżej 20. Pomimo tak znikomej liczby zarząd resursy musiał w tych czasach ustawowo składać się z połowy Rosjan i z połowy Polaków, a przewodniczącym ipso iure z urzędu był w miastach gubernjalnych gubernator, a w miastach powiatowych — naczelnik powiatu. Takie było rozporządzenie Hurki w celach rusyfikacji miast prowincjonalnych. Jedna tylko Warszawa była wolna od tego rozporządzenia. Lecz i na takie rozporządzenia znalazł się sposób: w miastach gubernjalnych, gdzie było dużo inteligencji polskiej. Po wydaniu powyższego rozporządzenia, wszyscy członkowie Polacy przestali płacić składki, a tem samem przestali być członkami tych nawpół rządowych instytucyj, natomiast zakładali koła muzykalne, towarzystwa wioślarskie i tam skupiało się polskie życie towarzyskie. W Częstochowie za mało było inteligencji polskiej i dlatego z konieczności utrzymała się nawpół oficjalna resursa, gdzie przeważnie grywano w karty. Tam też chodził i Kan. Wszystko było dobrze, dopóki grywał z Rosjanami, gdy jednak zaczął grywać z Polakami, nietylko że nie chciał rozmawiać po polsku, ale nawet obraźliwie wyrażał się o naszej mowie ojczystej, tak że partnerzy Polacy rzucili karty i formalnie wyrzucili Kana z lokalu i więcej już tam przychodzić nie mógł. Gdy się o tem dowiedzieli uczniowie (czegoby się oni nie dowiedzieli), zaczęli mu wyprawiać takie awantury na lekcjach, że Kan sobie nie mógł dać rady bez obecności dyrektora, inspek-

tora lub gospodarza klasy. Tak go wszyscy mieli dosyć, że wszyscy odetchnęli, gdy przyszła jego dymisja.

Nie mniej oryginalni i narażający się przez to na najrozmaitsze figle byli nauczyciele języka francuskiego. Dla przykładu wymienię z nich kilku.

Zaraz po wprowadzeniu reformy tołstojowskiej nauczycielem języka francuskiego w gimn. plockiem został mianowany Lempe, człowiek stary, niedołączny, trochę głuchy, a przytem źle mówiący po rosyjsku. Jakiej on był narodowości, trudno było określić. Wiedzieliśmy tylko to, że córka jego była za mężem, rosyjskim dygnitarzem w Petersburgu, i temu on, zdaje się, zawdzięczał swoją nominację. Naturalnie uczniowie odrazu poznali go tak, że nie tylko nie mogło być mowy o żadnej nauce w klasie, ale lekcje jego były wprost demoralizujące pod względem zachowania, a on sam musiał znosić najwyszukańsze wybryki uczniów, którym w takich razach nie brakło pomysłów.

Pomiędzy nauczycielami cudzoziemcami mało było takich, którzyby utrzymywali klasę w rygorze i dobrze uczyli. A jednak pomiędzy nimi spotykali się i dobrzy nauczyciele, że wymienię takich jak: Delacroix, długoletniego nauczyciela języka francuskiego w Warsz. Szkole Realnej, Neroux, nauczyciela warsz. VI gimnazjum i Eward'a — w Kielcach. Ten ostatni był charakterystyczną osobistością w Kielcach. Jako młody człowiek bardzo prędko nauczył się języka polskiego i był bardzo mile widziany w mieście, a szczególnie w towarzystwie polskim, zwłaszcza tam, gdzie były córki na wydaniu. Śmiano się z niego, że w dniu, w którym był proszony na wieczór, jak również następnego dnia nie jadł obiadu. I tak było rzeczywiście, bo on przyjechał z wytkniętym celem — zebrać jaknajwięcej pieniędzy i wracać do ojczyzny, żeby tam stworzyć sobie dom rodzinny. Tak też po kilkunastu latach pobytu w Kielcach uczynił ku zmartwieniu niejednego domu rodzinnego, który miał względem niego zamiary matrymonjalne.

Z Polaków, wykładających język francuski, wspomnę Józefa Smoczyńskiego w Płocku i Jaworskiego w Częstochowie, a potem w Pińczowie i w Suwałkach.

Smoczyński, skończony klasyk, człowiek bardzo wykształcony, z konieczności wykładał język francuski, jako ofiara ówczesnych stosunków rusyfikacyjnych. Był on wymagającym. Uczniowie na jego lekcjach musieli się zachowywać spokojnie, toteż dużo ko-

rzystali. Ale często bywały wypadki, że Smoczyński musiał stawić złe stopnie. Otóż jaką wyrafinowaną zemstę wymyślili uczniowie. O ile który otrzymywał zły stopień, dobierał sobie kolegę i obydwaj razem chodzili za Smoczyńskim. To się długo powtarzało, gdyż Smoczyński nie chciał się skarżyć przed władzą, dopóki na to nie zwrócono uwagi w mieście i nie doniesiono dyrektorowi, który kategorycznie zabronił tej swawoli.

Inny typ przedstawiał Jaworski, nauczyciel języka francuskiego w Częstochowie. Ten początkowo poświęcił się stanowi duchownemu. Skończył seminarjum i akademię duchowną w Petersburgu i otrzymał stopień magistra św. Teologii. Na kapłana się nie wyświęcił i został nauczycielem języka łacińskiego w Łomży, gdzie krótko przebywał, gdyż był nadzwyczaj zgryźliwy i wymagający względem uczniów, a przykry w gronie nauczycielskiem. Dlatego też został zdegradowany i przeniesiony do Częstochowy na nauczyciela języka francuskiego. Jaworski mocno czuł się tem dotknięty i to się odbijało na uczniach, którzy go nie lubili i przewali „flakiem”, co ze względu na jego figurę było bardzo udatnem przezwiskiem. Nietylko uczniom, ale i kolegom swoim dał się Jaworski we znaki, a zwłaszcza znanemu czechomanowi Bronisławowi Grabowskiemu, który więcej zajmował się literaturą, stosunkami z Czechami, a nauczanie klasycyzmu (wykładał języki starożytne) traktował jako malum necessarium. Otóż Jaworski, jako zapalony klasyk, prowadził na tem tle niedozwoloną agitację przeciwko Grabowskiemu: pisał paszkwile w języku łacińskim i wogóle zatruwał mu życie. Z tego powodu Jaworski miał nieprzyjemne rozmowy z dyrektorem. Po jednej z takich rozmów publicznie w pokoju nauczycielskim Jaworski nie podał ręki dyrektorowi. Dyrektor złożył o tem raport Apuchtinowi, ten przysłał wizytatora, który wezwał Jaworskiego do gabinetu dyrektora i kazał w swojej obecności przeprosić go i podać rękę. W końcu roku Jaworski został przeniesiony do Pińczowa, co było degradacją. Tam również nie mógł normalnie pracować ze względu na swoje usposobienie i, kiedy wysłużył pewien okres emerytalny, zmuszony był podać się do dysmisji. Wogóle był to człowiek wykołejony i jako taki nie nadawał się zupełnie do stanu nauczycielskiego.

Język polski.

Historja wykładu języka polskiego w b. Kongresówce po wprowadzeniu reformy Tołstojowskiej — to prawdziwa martyrologja. Wspominałem już, że reforma tołstojowska wyniosła język polski poza nawias. Pozostawiono wprawdzie wykład języka polskiego jako przedmiotu nieobowiązkowego w pierwszych 6 klasach gimnazjum, przeznaczając po 2 godziny tygodniowo w każdej klasie. Przytem lekcje języka polskiego mogły się odbywać tylko w godzinach pozaplanowych, t. j. od 8—9 rano przed rozpoczęciem innych obowiązkowych przedmiotów, albo też po skończeniu wszystkich lekcyj od 1½—3½. Stanowisko prawne języka polskiego było żadne. Wprawdzie stawiano uczniom stopnie, ale te stopnie nie miały żadnego wpływu i znaczenia ani na klasyfikowanie uczniów w klasie podług postępów w naukach, ani na promowanie ich do następnej klasy. Dla poinformowania dzisiejszego pokolenia muszę objaśnić, na czym polegało klasyfikowanie uczniów w klasie, które przewidywała reforma Tołstoja w celu zachęty uczniów do nauki i wywołania pomiędzy nimi współzawodnictwa.

Po skończeniu każdego okresu, a było ich 4, uczniowie otrzymywali cenzury. Na podstawie otrzymanych stopni ze sprawowania i z oddzielnych przedmiotów uczniowie danej klasy byli dzieleni na trzy kategorie. Do pierwszej mogli należeć tacy, którzy z głównych przedmiotów mieli w ogólnym wyciągu 4½, a z podrzędnych 5; do drugiej — z głównych 3½, z podrzędnych 4, a reszta należała do trzeciej kategorii. Chociaż powyższe przepisy były ściśle przestrzegane, nie odnosiły się one do języka polskiego, tak że uczeń z 2 (oceną niedostateczną) mógł należeć do I kategorii. *I to się działo w Polsce!* Więcej powiem, że przy promowaniu z klasy do klasy uczeń mógł mieć z polskiego na roczny stopień ocenę niedostateczną (2) i to nie przeszkadzało mu do otrzymania promocji do następnej klasy i, o ile chciał, mógł dalej w tych warunkach uczęszczać na lekcje języka polskiego. Tak postępowali uczniowie Żydzi. Dopiero później, w zależności od postawienia się w tej sprawie nauczyciela języka polskiego, była ustalona zasada, że uczniowie z oceną niedostateczną (2) z polskiego otrzymywali promocję, lecz w następnej klasie nie mogli uczęszczać na lekcje tego przedmiotu. Również przy wstępowaniu do gimnazjum kandydaci nie byli

poddawani egzaminowi z języka polskiego i czasami zjawiali się potem uczniowie bez żadnego przygotowania. A działo się to wtenczas, gdy rodzice nie chcieli, żeby ich syn przez naukę języka polskiego psuł sobie naukę języka rosyjskiego. Na szczęście tego rodzaju wypadki zdarzały się dosyć rzadko wśród społeczeństwa polskiego, częściej wśród Żydów i to nie tylko w gimnazjach prowincjonalnych, ale i w Warszawie. Dziwna rzecz, że Żydów, nie uczących się wcale języka polskiego, był znaczny procent w Warszawie, kiedy w Częstochowie, gdzie byłem nauczycielem od 1892 — 1904, absolutnie wszyscy Żydzi uczyli się języka polskiego i to bardzo sumiennie. W Częstochowie było nie do pomyślenia, żeby którykolwiek z uczniów nie uczył się języka polskiego; taki uczeń nie mógłby uczęszczać do gimnazjum, gdyż koledzy zmusiliby go do opuszczenia gimnazjum. Nie ulega wątpliwości, że ja, jako nauczyciel języka polskiego, musiałem nieraz uwzględniać nawet dosyć poważne braki takich uczniów, którzy przyjechali z Rosji albo przenosili się z gimnazjów, gdzie język polski był więcej niż po macoszemu traktowany, np. w progimnazjach takich, jak Pińczów, Pułtusk, Sandomierz i w wielu gimnazjach.

Taki był prawny stan języka polskiego. Ten stan nie zmienił się u nas do końca panowania Rosjan. W niektórych gimnazjach, i to tylko na usilne starania się nauczycieli języka polskiego, były wprowadzone egzaminy przy przyjmowaniu uczniów do klasy wstępnej lub I-ej. O to wystarałem się w IV gimn. warszawskiem. Na maturach również nie było stopni z języka polskiego, gdyż nauka tego przedmiotu kończyła się w VI klasie (tak było do roku 1883). Pomimo że dla wszystkich przedmiotów były opracowane bardzo szczegółowe programy i tutaj język polski zupełnie pominięto, tak jakby nie należał do przedmiotów nauczania. Na podstawie rozporządzenia ministra oświaty język polski miał być przedmiotem pomocniczym przy nauczaniu języka rosyjskiego. Dlatego też polecono nauczycielom na lekcjach zajmować się przekładem tekstu polskiego na język rosyjski, co miało się odbywać od I do VI kl. włącznie. Gramatyki wolno się było uczyć ale po rosyjsku i to w związku z gramatyką języka rosyjskiego. Jako podręczniki były dozwolone przez władzę i używane: wypisy Dubrowskiego, część I i II. Dla rządu zaletą tych wypisów było to, że tytuły pomieszczonych w nich urywków (niewiadomo jakich autorów) były prze-

tłumaczone na rosyjski i w końcu książki był słownik polsko-rosyjski. Dla nas, Polaków, były to wypisy niemożliwe do użytku szkolnego nie tylko dlatego, że urywki w nich umieszczone zupełnie były nieodpowiednie dla młodzieży w wieku szkolnym, ale oprócz tego tekst polski zawierał dużo błędów stylistycznych i gramatycznych i w ogóle język był niepoprawny. Gramatykę polską w języku rosyjskim do użytku szkolnego napisał niejaki Gruszecki, podobno nauczyciel szkół powszechnych w Łodzi. Ta gramatyka z punktu naukowego była bez wartości.

A teraz parę słów o tem kto, i jak wykonywał przedstawiony przeze mnie program języka polskiego. Po wprowadzeniu reformy Tołstoja stanowisko nauczyciela języka polskiego zostało do tego stopnia zmienione, że mało było chętnych kandydatów do obejmowania tych posad. W gimnazjum nauczyciel języka polskiego pobierał rocznie 600 rb., a w progimnazjum 400 i to bez prawa podwyżki do wysłużenia emerytury. Było to za dużo, żeby z głodu umrzeć, a za mało żeby się utrzymać. Nauczyciele innych przedmiotów zaczynali służbę od 750 rb. i mogli awansować na 900 rb., 1250 i 1500 rb. rocznie. Toteż początkowo stanowiska nauczycieli języka polskiego otrzymywali dawni nauczyciele, mianowani jeszcze przez Wielopolskiego. W ten sposób dano im możliwość wysłużenia emerytury. Byli także mianowani nauczycielami ci, którzy wskutek reformy Tołstoja spadli z etatu i w ten sposób również mogli dosłużyć się emerytury. Do tej kategorii należeli Polacy — przyrodnicy.

A teraz chcę powiedzieć, jak odbywała się nauka języka polskiego. Na to pytanie wprost odpowiem — jaknajgorzej. Jedni nauczyciele — starsi nie mieli już odpowiednich sił, żeby prowadzić naukę w tych warunkach, w jakich w owych czasach odbywały się lekcje polskiego, to jest w godzinach pozaplanowych, inni, pod pretekstem, że nie wolno nic robić na lekcjach oprócz tłumaczenia, ściśle się tego trzymali, bo ten sposób prowadzenia lekcyj był najłatwiejszy i najwygodniejszy i nie wymagał żadnej pracy nad sobą, jeszcze inni zupełnie lekceważyli swoje obowiązki i wprost nie przychodzili na lekcje, bo to bardzo podobało się władzy, że mogli na 8-ą rano nie przychodzić do gimnazjum, a popołudniu, po lekcjach głównych przedmiotów, mogli już iść swobodnie do domu. Ale i w tych czasach byli ludzie zacni i po obywatelsku rozumiejący i traktujący swoje obowiązki. Na czele takich ludzi postawię Romana Plenkiewicza w Piotr-

kowie, Hipolita Skimborowicza, Jana Nowodworskiego, Antoniego Żółtowskiego, Józefa Wojnę, Konstantego Dąbrowskiego, Antoniego Bema. My w Płocku mieliśmy nauczyciela języka polskiego Władysława Tutajewskiego, który spoczątku przychodził na lekcje i czegoś uczył, ale gdy byłem w V i VI klasie, prawie zupełnie nie miewaliśmy lekcyj języka polskiego, niby z przyczyny choroby profesora, ale wiedzieliśmy dobrze, że tenże Tutajewski był zdrow wtenczas, kiedy była gdzieś bibka lub kartograjstwo. Ja i moi koledzy zawsze mieliśmy żal, że nas nie uczono polskiego w gimnazjum. Nasi młodszy koledzy o wiele byli szczęśliwsi, bo w zastępstwie chorego Tutajewskiego język polski wykładał Stefan Rutski, nauczyciel języków starożytnych, potomek rodziny ruskiej, której przedstawiciel metropolita Rutski przyczynił się do wprowadzenia Unji Brzeskiej na Rusi. Profesor Rutski, człowiek młody, wszechstronnie wykształcony, z zapalem zabrał się do pracy i wykładał literaturę, naturalnie po polsku, a że uczniom nie wolno było mieć żadnych polskich książek, jak to już powyżej zaznaczałem, Rutski sam na pamięć uczył się rozmaitych utworów naszej literatury i w klasie je deklamował, czem wzbudzał entuzjazm w uczniach. *Rutski należy do tych niewielu wyjątków, którzy napamięć umieli całego „Pana Tadeusza”.* Można sobie wyobrazić, jak uczniowie słuchali Rutskiego, gdy z pamięci deklamował całe księgi. Lecz wykłady Rutskiego trwały niedługo, bo władza zabroniła mu dalszych wykładów i Rutski z tego powodu miał pewne nieprzyjemności. Rutskiemu, a zwłaszcza jego żonie, kulturalny Płock zawdzięcza stworzenie muzeum. Rutski był na stanowisku nauczyciela gimn. Płockiego przez 35 lat, umarł w 1932 roku, a pogrzeb jego był prawdziwą manifestacją i nagrodą społeczeństwa polskiego za jego owocną pracę, a ja miałem zaszczyt uczyć przemówieniem tego wybitnego „zaborczego” pracownika.

Nauczycielem języka polskiego w Płocku był mianowany eks-przyrodnik Konrad Dzierzgowski, człowiek wobec władzy bardzo lojalny. Na lekcji mówił po rosyjsku i więcej rozprawiał o minerałach, niż o gramatyce polskiej, a tembardziej o literaturze i absolutnie nic więcej nie robił, oprócz tłumaczeń. Lecz wprost monstrualnym nauczycielem języka polskiego w gimnazjum częstochowskim był mój poprzednik eks-ksiądz katolicki Seweryn Krąkowski, b. kapłan djecezji płockiej, który przyjął prawosławie i dzięki temu dostał posadę w Częstochowie. Ja, jako do-

brze znający przeszłość tego osobnika, muszę podzielić się swoimi wiadomościami z tymi, którzy może będą czytali te wspomnienia.

Seweryn Krąkowski, po skończeniu seminarjum duchownego w Płocku, jako zdolniejszy kapłan był mianowany wikariuszem katedry płockiej i dał się poznać jako dobry mówca. Ale już w Płocku wszedł w nieodpowiednie towarzystwo, które uprawiało karty i pijaństwo i dlatego władza duchowna usunęła go z Płocka i przeniosła na prowincję pod opiekę odpowiedniego proboszcza. Krąkowski do tego stopnia zapominał się, że władza duchowna musiała posłać go za karę na rekolekcje do klasztoru w Oborach, w Lipnowskim. Po pewnym tam pobycie i po solennem przyrzeczeniu poprawy Krąkowski został zwolniony z zamknięcia w klasztorze i otrzymał nową nominację na wikariusza u bardzo zacnego i poważnego kapłana. Lecz Krąkowski nie dotrzymał słowa i znowu na dłuższy czas był zamknięty w klasztorze. Powtórzyła się poprzednia historia, przyrzeczenia tak, że po dwóch latach pobytu w klasztorze został zwolniony i otrzymał nominację, przyczem oświadczone mu, że, jeśli i teraz będzie prowadził naganne życie i uprawiał pijaństwo, będzie bezterminowo zamknięty w klasztorze. Krąkowski krótko zachowywał się możliwie, niedługo bowiem doszło do tego, że pijany przychodził do kościoła. Stąd zgorszenie, awantury, a rezultat — zamknięcie w klasztorze na czas nieokreślony. Taka była decyzja biskupa Kossowskiego. Krąkowski krótko przebywał w klasztorze. Po dwóch miesiącach pobytu uciekł do Płocka i, jako *ofiara* prześladowania przez swoją władzę, oddał się pod opiekę prawosławnego popa Stabnikowa, który zarządzał miejscową cerkwią, i oświadczył, że przyjmuje prawosławie. Tak też uczynił, a ponieważ był bez środków do życia, działacze rosyjscy oddali go pod opiekę Apuchtina, a ten mianował go nauczycielem języka polskiego w gimnazjum częstochowskim. Krąkowski pełnił te obowiązki przez 1½ roku, bo, jako nałogowy pijak, umarł na delirium tremens. Jakim zatem nauczycielem mógł być podobny osobnik — niech na to pytanie odpowie przedstawiona przeze mnie jego przeszłość.

Do godnych smutnego wspomnienia należy również Antoni Paskal, wybitny wychowaniec wydziału filologicznego Uniwersytetu Warszawskiego, który skończył chlubnie w r. 1885.

Jak już wyżej zazaczyłem, od r. 1884 żaden Polak nie został mianowany przez Apuchtina na posadę nauczyciela języków starożytnych i matematyki, którzy znacznie lepiej byli płatni, a nauczyciele tych przedmiotów mieli pewien wpływ w gimnazjum. Paskal, człowiek niezwykle ambitny, przez dwa lata tułał się na prowincji w szkołach prywatnych i dopiero w r. 1887 otrzymał posadę nauczyciela języka polskiego w Piotrkowie, która bynajmniej jego wysokich aspiracyj nie zadawała. Pojechał tedy do Warszawy, oddał się pod opiekę Stefanowicza, dyrektora I gimnazjum męskiego, najbliższego doradcy Apuchtina, i przyjął prawosławie. Uczynił to w najściślejszej tajemnicy przed własną żoną, co było powodem tragedii rodzinnej. Wkrótce po przyjęciu prawosławia żona Paskala powiła dziecię. Uszczęśliwiona matka przygotowała wszystko do chrztu, obrała imię i prosiła męża, żeby, ze względu na stan zdrowia dziecka, chrzest odbył się w domu. Mąż chętnie się na to zgodził. Lecz jakie było przerażenie pani Paskalowej, kiedy w dniu oznaczonym na chrzest przyszedł pop. Na widok popa p. Paskalowa zemdląła, a gdy przyszła do przytomności, dostała obłędu, a ponieważ stan jej w Piotrkowie się nie poprawiał, została wywieziona do Warszawy i unieszczona w szpitalu Jana Bożego i tam po pewnym czasie powiesiła się na klamce od drzwi, a dziecko mając trzy lata umarło.

Paskal w nagrodę za przyjęcie prawosławia otrzymał posadę nauczyciela języków klasycznych w VI gimn. męskim w Warszawie, lecz niedługo zajmował to miejsce, gdyż musiał ustąpić, bo znienawidzony przez uczniów Polaków, których znaczna ilość była w tem gimnazjum, miał tak wielkie trudności na stanowisku nauczyciela, że po porozumieniu się władz, otrzymał posadę w cenzurze warszawskiej. Znana była awantura Paskala w Ciechocinku z jednym z uczniów III gimn. warszawskiego, który tam z matką bawił na kuracji. Zaczepiony przez Paskala i w sposób niewłaściwy strofowany wobec publiki uczeń słownie znieważył Paskala, tak że doszło do zobopólnej bijatyki. Sprawą zajęła się policja i doniosła o tem władzy naukowej i to również wpłynęło na usunięcie Paskala z grona pedagogów. Lecz i w cenzurze Paskal nie przebywał długo, nie mógł bowiem żyć się z nowymi kolegami i został przeniesiony gdzieś do centralnych gubernij Rosji i dalsze losy tego zdolnego, a tak nisko upadłego człowieka nie są mi znane.

Do bardzo znanych, lecz niestety, w ujemnem tego słowa znaczeniu, należał Józef Adamczewski, nauczyciel języka polskiego w Warszawskim IV gimnazjum męskim od r. 1879—1897. Adamczewski znany był wśród nas i całego społeczeństwa z tego, że za czasów Hurki redagował wydawany przez kancelarję gen. gubernatora dwutygodnik „Oświata” (w jęz. polskim, za co podobno pobierał 1500 rb. rocznie), który miał na celu urabianie włościan w Kongresówce w duchu zamierzeń rządu i wzbudzania wśród włościan niechęci do szlachty i duchowieństwa katolickiego, uważanych przez ówczesny rząd za największych wrogów caratu. Jaka była praca i działalność Adamczewskiego w IV gimnazjum, niech na to pytanie odpowie następujący fakt: w dn. 19 maja 1904 r. byli maturzyści tego gimnazjum, do r. 1904 włącznie, urządzili ogólny zjazd w Warszawie, maturzyści zaś następnych lat jako tacy, którzy skończyli IV gimnazjum już w latach bojkotu nie mieli prawa brać udziału w tym zjeździe. Z nauczycieli byli zaproszeni: Stefan Cybulski, Włodzimierz Włodarski, jako nauczyciele przed strajkiem i piszący wspomnienia, chociaż był mianowany nauczycielem języka polskiego już po maturze 1904 r., jednakże otrzymał zaszczytne dla siebie zaproszenie na to bardzo liczne i świetne zebranie. Zgórą 300 osób wzięło udział w tym zjeździe. Kiedy podczas bankietu rozmaici mówcy przemawiali, wspominając swoje przeżycia i dawnych swoich profesorów, takich przezacnych ludzi, jak ks. Krupińskiego, Konopczyńskiego, Radlińskiego i innych, p. dyrektor Andrzej Wierzbicki, znany przemysłowiec i działacz społeczny, wystąpił z mową, w której zaczął wychwalać Adamczewskiego. W tej chwili podniosła się na sali nadzwyczajna burza. P. dyrektor Wierzbicki zmuszony był przerwać swoje przemówienie, a niektórzy z uczestników, chcąc uspokoić wzburzoną salę, wołali: *de mortuis nihil nisi bene*. Wówczas poprosił o głos p. adwokat Łabęcki i w nadzwyczaj mocnych słowach scharakteryzował całą działalność Adamczewskiego, nazywając rzeczy po imieniu, aby ostatecznie można było odróżnić ludzi godnych od niegodnych dobrego imienia Polaka. Taką zasłużoną karę poniósł ten zniechęcony człowiek, który jakby sprzedawał się za 1500 rb. rocznie.

W tym samym czasie nauczycielem języka polskiego w warszaw. III gimnazjum był Wichrowski, który wykład polskiego traktował urzędowo, t. j. wykładał po rosyjsku i zajmował się

tylko tłumaczeniem z polskiego na rosyjski. Toteż uczniowie szczerze go nie lubili, formalnie go bojkotowali i nie chcieli uczęszczać na lekcje, a na lekcjach na pytania—zadawane po rosyjsku—nie odpowiadali. Wichrowski odgrażał się, że pójdzie ze skargą do dyrektora, lecz skończyło się tylko na groźbach.

O ile wtenczas znaczyły dobre chęci, miłość ojczyzny i języka ojczystego, może posłużyć jako przykład Łoszewski, następca Wichrowskiego w III gimnazjum. Łoszewski był sekretarzem III gimn., lecz wobec rusyfikacji Apuchтина, nawet te skromne stanowiska, płatne rocznie 300 rb., musiały być obsadzone przez Rosjan. Łoszewskiemu groziła dymisja. Przez jakiś czas utrzymywał go swoim wpływem dyr. Sokołow, ale Apuchтин nalegał. Muszę zaznaczyć, że dyrektorzy bardzo niechętnie brali na sekretarzy Rosjan, bo wprawdzie były to skromne stanowiska, lecz bardzo odpowiedzialne pod względem finansowym, a sekretarze wobec lenistwa i nieznajomości buchalterji przez dyrektorów robili częste nadużycia, za które byli odpowiedzialni dyrektorzy. Dlatego też Sokołow w żaden sposób nie chciał się pozbyć Łoszewskiego nawet wobec nalegań Apuchтина. Ale okoliczności tak się złożyły, że w tym czasie umarł Wichrowski. Sokołow zaproponował na posadę nauczyciela języka polskiego Łoszewskiego. Apuchтин się zgodził. Wówczas Sokołow przyjął na posadę sekretarza Rosjanina, lecz jednocześnie główny nadzór nad kancelarią powierzył Łoszewskiemu. Tutaj wspomnę, że o tę posadę ja się starałem, zajmując już takie samo stanowisko w Częstochowie, lecz otrzymałem odpowiedź odmowną z nadmienieniem, że na to miejsce został mianowany ktoś inny. Łoszewski, jako nauczyciel języka polskiego, wywiązywał się bardzo sumiennie. Nie mając odpowiedniego przygotowania naukowego, zabrał się do pracy i w ten sposób zyskaną wiedzą dzielił się ze swymi uczniami, a, co najważniejsza, prowadził wykłady w języku polskim, czem zyskał wdzięczność uczniów, którzy do dnia dzisiejszego wspominają go z uznaniem i wdzięcznością. To się tyczyło wyższych klas, bo uczniowie klas niższych robią poważne zastrzeżenia co do pracy osoby Łoszewskiego.

Taki rozpaczliwy stan wykładów języka polskiego trwał do r. 1882. Na zarzuty, robione nauczycielom przez rodziców lub przez rozmaite osoby, zajmujące wybitne stanowiska w społeczeństwie, ci zwykle bronili się zakazem wykładów w języku polskim, brakiem programu, kontrolą władzy. Na to odpowiem,

iż w ten sposób mogli się tylko bronić tchórze, próżniacy i wogóle ludzie oportunistycznych poglądów. Bać się nie było czego, gdyż ze swojej praktyki i z tego, co słyszałem od kolegów i od uczniów, wiem że dyrektorzy z małymi wyjątkami wcale albo mało wtrącali się do wykładów języka polskiego. Przestrzegali tylko, żeby na lekcjach polskiego nie zajmowano się polityką, to jest żeby nie mówiono o naszej przeszłości, o naszej potędze, o naszych bohaterach i walkach o niepodległość. Wiadomo, że w owych czasach nie wolno było drukować żadnego podręcznika historii polskiej. Lecz to nic nie pomagało, bo gorąco miłujący swoją Ojczyznę i jej świetną przeszłość nauczyciele języka polskiego i prefekci, nauczyciele religii, bez względu na następstwa zawsze znajdowali sposobność czyto przy wykładzie literatury polskiej (gdzie ją wykładano), czyto historii kościoła, żeby zatrzeć o dzieje ojczyste, z czego wywodziła się dyskusja i wielka chęć ze strony uczniów brania w niej udziału, a ci z uczniów, którzy w takiej dyskusji dla braku wiadomości nie mogli brać udziału, brali się do książki, do czytania historycznych powieści Kraszewskiego, żeby mogli brać udział w dyskusjach. I nie było wypadku, żeby którykolwiek z uczniów wyniósł z klasy to, co się tam dzieje. Czasami złośliwi dyrektorzy, nie chcąc sami osobiście kontrolować, co się dzieje w klasie na lekcji języka polskiego, kazali wszystkim nauczycielom podczas lekcji otwierać drzwi na korytarz. Ale ten środek nie utrzymał się, bo wogóle nauczyciele, a zwłaszcza Rosjanie, którzy nie zawsze byli gorliwymi na lekcjach, protestowali, że przy drzwiach otwartych wszyscy sobie wzajemnie przeszkadzają i udało się czasem przeprowadzić zamykanie drzwi.

Lecz niejednen z przeglądających te moje wspomnienia może powiedzieć: dobrze, zbyt surowo sądzisz innych, a cóż ty sam zrobiłeś w tych czasach będąc nauczycielem języka polskiego? Dlatego też, w imię zasady, którą już wypowiedziałem, że dzisiaj nie zależy mi na przedstawieniu swoich zasług, będę opowiadał swoje własne dzieje jako nauczyciela i wszystkie swoje przeżycia, mające związek z ówczesnem szkolnictwem pod zaborem moskiewskim. Zanim do tego przystąpię, muszę jeszcze zwrócić uwagę na wybitny fakt, jaki zaszedł w wykładach jęz. polskiego w 1882 roku.

W Warszawie w tym czasie był gen.-gubernatorem gen. Al-

bedyński, który w swoich memorjałach zwrócił uwagę cesarza Aleksandra II, że w zarządzanym przez niego kraju muszą nastąpić pewne zmiany i że Polacy swoim zachowaniem się zasłużyli na nie. Najwięcej palącą sprawą było szkolnictwo, a zwłaszcza wykład języka polskiego i religii w trzech gimnazjach, o czym już na początku swoich wspomnień mówiłem. Jakie były zamierzone reformy i ulgi dla nas, Polaków, pozostało to tajemnicą, gdyż Aleksander II zginął od rzuconej bomby na ulicach Petersburga 13 marca 1881 r. i nie wprowadził żadnej z zamierzonych reform, a jak wówczas utrzymywano, chwila dla nas była sprzyjająca dzięki życzliwości i rozumnej polityce Albedyńskiego. Wiemy, że następca Aleksandra II, syn jego Aleksander III, poszedł inną drogą. Nietylko nie wprowadził żadnych reform, któreby ulżyły naszej niedoli, lecz przeciwnie jeszcze więcej zaczęto nas uciskać. Aleksander III uszanował tylko wolę ojca względem Polaków w sprawie wykładu języka polskiego w gimnazjach b. Kongresówki. Rozkazem cesarskim z dn. 2 lutego 1882 r. liczba godzin polskiego z 14 (razem z klasą wstępną) została powiększona o 5 godzin w ten sposób, że w klasach wstępnej, I i II dodano po jednej godzinie, a nanowo wprowadzono po jednej godzinie wykład języka polskiego w kl. VII i VIII (usunięty przez reformę Tołstoja); oprócz tego utworzono katedrę języka i literatury ojczystej w Uniwersytecie Warszawskim. Lecz, niestety, pomimo powiększenia liczby godzin i wprowadzenia lekcji polskiego do klas VII i VIII nie opracowano żadnego programu, ani też nie zmieniono podręczników i języka wykładowego. Wielką pomocą dla nauczycieli polskiego były wydane w tym czasie przez Wierzbowskiego, profesora języka i literatury polskiej w Uniwersytecie Warszawskim „Wypisy historyczne do nauki języka polskiego”, z początku zatwierdzone przez kuratorjum do użytku szkolnego, lecz, gdy potem władze rosyjskie bliżej zorjentowały się w ich układzie, zabroniły ich używania w gimnazjum. Rzecz polegała na tem, że Wierzbowski przed tekstem pisarzów od najdawniejszych do najnowszych czasów podawał o nich krótkie wiadomości biograficzne i bibliograficzne każdego autora i tym sposobem dawał możność nauczycielowi zająć się historją literatury. Te wiadomości były podane w jęz. rosyjskim. Dlatego początkowo „Wypisy” były zatwierdzone przez władzę, lecz jednocześnie spotkały się z surową krytyką niektórych ówczesnych

przedstawicieli społeczeństwa, głównie przez wybitną niechęć do osoby Wierzbowskiego, której przyczynę muszę wyjaśnić.

Po utworzeniu katedry języka i literatury polskiej w U. W. upatrzono jako kandydata do objęcia tego stanowiska znanego krytyka i historyka literatury Piotra Chmielowskiego, który miał wyklądać po polsku, na co jakoby miał się zgodzić Apuchtin, ten jeszcze pierwotny z czasów Albedyńskiego i miano przesłać odpowiednie przedstawienie do Petersburga. Lecz po śmierci Aleksandra II sprawa języka wykładowego przybrała zupełnie inny obrót, dla nas niepomysłny. Władza wyższa na wykłady literatury w języku polskim nie zgodziła się, kandydatura Chmielowskiego eo ipso upadła. Wtenczas zgłosił swoją kandydaturę Teodor Wierzbowski, który powrócił z zagranicy po odbyciu głębokich studjów historycznych, gdzie wysłany przez Uniwersytet Warszawski jako stypendysta im. Młockiego przebywał 4 lata. Wierzbowski zgodził się na wykład literatury w języku rosyjskim i katedrę otrzymał. Smutna bardzo była prelekcja wstępna Wierzbowskiego. Zwykle pierwsza prelekcja nowomianowanego profesora odbywała się wobec kuratora, władz uniwersyteckich, wszystkich profesorów, studentów i wogóle wszystkich życzących sobie być obecnymi. Studenci Polacy zbojkotowali tę prelekcję, tak że odbyła się ona wobec szczupłej garstki studentów Rosjan, wówczas jeszcze nielicznych w Uniwersytecie Warszawskim.

Utworzenie tej katedry miało tylko teoretyczne znaczenie, lecz praktycznego prawie żadnego. Stosownie do postanowienia wydziału filologicznego prof. Wierzbowski prowadził swoje wykłady tylko dla garstki studentów Rosjan, którzy uczęszczali na sekcję słowiańsko-rosyjską wydziału filologicznego. Prof. Wierzbowski przez zgodzenie się na wykłady w języku rosyjskim zyskał wśród społeczeństwa polskiego wielką niepopularność, która mu towarzyszyła do śmierci. Prof. Wierzbowski wielokrotnie podkreślał, że kandydatura Chmielowskiego upadła dlatego, że on nie miał stopnia naukowego. Według mego głębokiego przekonania w r. 1883 t. j. w czasie największych represyj rządu nie tylko u nas, ale i w całej Rosji było nie do pomyślenia, żeby rząd zgodził się na prowadzenie wykładów literatury w jęz. polskim. Mogło i nastąpiło to w r. 1906, kiedy w b. Królestwie urzędowo było dozwolone wykładanie języka i literatury polskiej w języku ojczystym. Wówczas prof. Wierzbowski ogłosił swoje wykłady dla studentów wszystkich wydziałów uniwersytetu. Na jego wykłady

uczęszczały tłumy studentów Polaków jak i Rosjan. Wiem, że jego słuchacz z tego okresu Czesław Jędraszko, dyrektor gimn. prywatnego w Warszawie, zajmuje się historią Uniwersytetu Warszawskiego w czasie bojkotu, a specjalnie działalnością prof. Wierzbowskiego, rezultaty swej pracy ma niebawem ogłosić drukiem.

Drugim faktem, który odegrał b. ważną rolę w historii wykładów języka polskiego w b. Kongresówce było zupełnie wyraźne i zdecydowane wrogie stanowisko Apuchtina, jakie on zajął względem Polaków. Jak już nadmieniałem, Apuchtin od r. 1884 przestał zupełnie mianować Polaków jako nauczycieli języków starożytnych i matematyki. Tym sposobem młodzi ludzie, kończący wydział filologiczny Uniwersytetu Warszawskiego, zgłaszali swoje kandydatury na zbyt skromne, lecz bardzo zaszczytne i odpowiedzialne stanowiska nauczycieli języka polskiego i w miarę wymierania staruszków, wysługujących emerytury, byli mianowani nauczycielami języka polskiego tak w Warszawie, jak i na prowincji. Niektórzy młodzi ludzie tej kategorii woleli jednakże jechać do Rosji na posady, gdzie otrzymywali znacznie lepsze warunki materialne, które im dawały możliwość jadanania chleba z masłem, jak Aleksander Gantner, Julian Rzędzian. Tylko mała garstka nas kolegów: Ignacy Chrzanowski, Szczepan Nowakowski, Bolesław Dobrowolski, Zygmunt Wolski, Dulęba, Kazimierz Zieliński i ja pozostaliśmy w kraju mając zapewniony suchy kawałek chleba. Jeden tylko z Polaków Stefan Cybulski, nauczyciel języków starożytnych w warsz. IV gimnazjum męskim, będąc w kraju materialnie zupełnie zabezpieczonym, gdyż oprócz wyższej pensji, jaką pobierał jako nauczyciel języków starożytnych, prowadził jeszcze pensjonat, wyjechał do Carskiego Sioła na nauczyciela w tej nadziei, że tam zostanie dyrektorem gimnazjum. Lecz te nadzieje zawiodły Cybulskiego. Wrócił on do Warszawy już za czasów bolszewickich.

Po audjencji u Apuchtina w Puławach w r. 1892, o czym już pisałem, otrzymałem nominację na nauczyciela języka polskiego w gimnazjum częstochowskim po śmierci osławionego eks-księdza, eks-katolika Krąkowskiego. Do Częstochowy przybyłem 16 października tegoż roku i następnego dnia, pomodliwszy się gorąco na Jasnej Górze u stóp Najświętszej Panny o pomoc i opiekę w tak trudnej mojej rozpoczynającej się pracy, udałem się do gimnazjum, aby przedstawić się dyrektorowi i rozpocząć wykłady. Na samym wstępie spotkała mnie niechęć ze strony dyrektora

gimnazjum, który wprost zapytał się, dlaczego przyjechałem do Częstochwy, kiedy z początkiem roku szkolnego on rozdzielił lekcje języka polskiego pomiędzy nauczycieli Polaków, wykładających języki starożytne, następnie oświadczył mi, że małe wynagrodzenie (680 rb. rocznie) nie wystarczy mi na utrzymanie się w Częstochowie. Sucho i krótko odpowiedziałem dyrektorowi:

„Przyjechałem do Częstochowy dla objęcia posady nauczyciela języka polskiego, bo taka była wola Jego eksc. pana kuratora; o niedostatecznem utrzymaniu zgóry wiedziałem, jeżeli panu dyrektorowi nie podoba się mój przyjazd, proszę o urlop, abym mógł udać się do Warszawy do pana kuratora i prosić o takie stanowisko w innem mieście“.

Moje oświadczenie o tyle podziało na dyrektora, że zaczął spokojniej rozmawiać i wypytywać o moją przeszłość. Po chwili rozmowy zaproponował mi rozpoczęcie zajęć i zaprowadził mnie do II klasy, bo tak z planu lekcyj wypadało. Po wejściu do klasy dyrektor przedstawił mnie uczniom, zapowiedział im, żeby się poprawnie zachowywali na lekcjach i wyszedł. Zostałem sam, przeczytałem listę uczniów, żeby się z nimi zapoznać i rozpocząłem lekcję, naturalnie, wykładając po polsku, co uczyniłem we wszystkich klasach. Można sobie wyobrazić, jaki to efekt zrobiło u uczniów i w całym mieście, gdyż dotychczas ani eks-ksiądz Krąkowski, ani jego poprzednicy po polsku nie wykładali i nic więcej oprócz tłumaczeń z polskiego na rosyjski nie robili i uczyli tylko nieco gramatyki. Zaraz pierwszego dnia po lekcjach spotkał mnie specjalnie jeden z kolegów Polaków. Przez życzliwość przestrzegał, żebym nie wykladał po polsku, gdyż to mi grozi dymisją. Ale ja postanowiłem wytrwać na raz obranem stanowisku i nie zmieniać języka wykładowego polskiego na rosyjski, gdyż wstrętnem i wprost niezrozumiałem dla mnie było, żeby Polak mógł uczyć polskie dzieci języka ojczystego w obcym języku. Sprawa zaś materialna nie odgrywała u mnie żadnej roli, gdyż byłem młody, samotny, zdrow i silny, zawsze mogłem zarobić te głupie 600 rb., jakie nauczycielowi jęz. polskiego płacono rocznie. Dlatego też z całym zaparciem się zacząłem pracować nad sobą, żeby potem z korzyścią prowadzić wykłady w gimnazjum. Wprowadziłem w niższych klasach wypisy Łyszkowskiego, a w wyższych Wierzbowskiego przy wykładzie literatury, nie pytając władzy o żadne pozwolenie. Lecz na samym wstępie doznałem rozczarowania. W gimn. częstochowskiem, po-

mimo rozkazu cesarskiego z r. 1882, wykłady języka polskiego kończyły się na kl. VI, a w kl. VII i VIII nie były wprowadzone. Naturalnie niezwłocznie zwróciłem się do dyrektora z zapytaniem, dlaczego w gimnazjum częstochowskim nie ma wykładów polskiego w kl. VII i VIII, lecz ten odpowiedział mi wymijająco i dał do zrozumienia, że dopiero w końcu roku szkolnego może być o tem mowa.

Mój przyjazd do Częstochowy i rozpoczęta przeze mnie praca stały się powodem wielkiej popularności mojej osoby. Ze szczególną serdecznością i uznaniem przyjęli mnie do swego grona wybitni obywatele ziemscy z okolic Częstochowy, znani działacze patriotyczni, do których należeli: pp. Steinhagen, Dzierzbicki, Wojde, sędzia Jasiński i inni. Ci panowie podkreślali moją odwagę cywilną i życzyli owocnej pracy, o której już słyszeli od swoich synów. Ten fakt był dla mnie wielką przyjemnością i zachętą do rozpoczętej pracy. Byłem przecież młody, miałem 29 lat, zajmowałem jakieś stanowisko, wprawdzie skromne, ale bardzo zaszczytne, a to wystarczało, że byłem pożądanym gościem w częstochowskim towarzystwie. Po raz pierwszy debutowałem w miejscowej resursie w listopadzie tegoż roku na wieczorze tańczącym. Pomimo że resursa była już zreformowana w sposób urzędowy, jak to już wcześniej zaznaczyłem, zbierało się w niej tylko towarzystwo polskie. Tak też było i na tym wieczorze. Tutaj zapoznałem się ze wszystkimi i bardzo życzliwie, a nawet serdecznie byłem traktowany i zapraszany. Jak to było w owe czasy nakazem grzeczności, ja, jako młody człowiek, złożyłem liczne wizyty i zacząłem bywać. Lecz jakież było moje rozczarowanie i zdziwienie, kiedy prawie we wszystkich domach polskich znajdowałem mieszane towarzystwo, t. j. spotykałem Rosjan. Do takich stosunków nie byłem przyzwyczajony i przyznam się otwarcie, nabrałem niechęci do bywania w takich domach, tembardziej, że w innych prowincjonalnych miastach, jak w Płocku, gdzie się wychowywałem, i Kielcach, gdzie już byłem na stanowisku, nic podobnego nie było. Przeciwnie, oprócz czysto urzędowych obowiązkowych stosunków, żadnych innych towarzystwo polskie z Rosjanami nie utrzymywało. Toteż przepędzenie czasu w takim mieszanym towarzystwie sprowadzało się do suto zastawionych stołów, pijaństwa i kartograjstwa. Niby to podtrzymywano stosunki z władzą gimnazjalną dla protekcji dzieci. Ale to niewiele pomagało. Pan dyrektor jadł,

pił, a synowie nieuki musieli opuszczać gimnazjum, bo nie mogli sobie dawać rady w naukach. W taki sposób prowadził dom jeden z notarjuszów, który miał olbrzymie dochody, a po śmierci z tego tyle się zostało, że żona zaledwie miała skromne utrzymanie.

Z początku bywałem w tych towarzystwach, a że nieźle grałem w karty, wówczas w winta, doszło to do dyrektora, który był zapalonym winciarzem. Ta okoliczność odegrała pewną rolę w mojej pracy nauczycielskiej.

Wkrótce po rozpoczęciu wykładów zauważyłem, a i uczniowie na to zwrócili moją uwagę, że podczas mojej lekcji na 6-ej godzinie dyrektor spaceruje pod drzwiami, obserwuje zachowanie się uczniów i podsłuchuje, co się dzieje w klasie. Kazałem uczniom nie przejmować się tem, a pilnie uważać na to, co się dzieje w klasie. Sam nie zmieniałem języka wykładowego i nadal wykładałem po polsku, czyto gramatykę czy też literaturę. Parę dni trwały spacerdy dyrektora pod moją klasą, aż nareszcie jednego dnia, kiedy skończyłem lekcję i wychodziłem z klasy, przystąpił do mnie dyrektor i zagadnął: „*Panie Wołyński, mówią, że pan bardzo dobrze gra w winta, niech pan dzisiaj wieczorem przyjdzie do mnie, to zagramy*”.

Spadł mi kamień z serca, bo naprawdę myślałem, że spacerdy dyrektora pod moją klasą mają inny, mianowicie kontrolujący charakter. Za zaproszenie uprzejmie podziękowałem i wieczorem poszedłem. Dyrektor miał trzy córki na wydaniu, niezbyt nadobne, ale miłe panny. Zrozumiałem, od kogo należy zacząć. Chociaż panny dyrektorówny były otoczone rojem oficerów, bo innej młodzieży rosyjskiej w Częstochowie nie było, zbliżyłem się do nich i zacząłem je bawić tak, jak się tego nauczyłem, bywając za czasów studenckich w warszawskich towarzystwach. Dyrektor parę razy podchodził z kartami, ażebym ciągnął i szedł do stolika, ale panny prosiły ojca, żeby mnie nie zabierał, choć coprawda miałem dosyć rozmowy z temi moskiewkami. Nareszcie stary ojciec podszedł do mnie, wziął mnie pod rękę a do córek odezwał się tak: „*Pan Wołyński nie zostanie waszym narzeczonym*”. Podczas kolacji dyrektor posadził mnie przy swojej żonie, a sam stanął za mną (sam wieczorem był tylko na mleczku) i oboje pilnowali, abym nie wyszedł głodny z ich domu. Stół ugiął się pod potrawami i trunkami, które gospodarza nic nie kosztowały, bo pan dyrektor łapówek w gotówce nie przyjmował, ale panie, utrzymujące stancje uczniow-

skie, i rodzice uczniów, a zwłaszcza bogaci przemysłowcy Żydzi obficie zaopatrywali spiżarnię i piwnicę pana dyrektora. W innej formie dyrektor robił nadużycia, z których ciągnął zyski i to znaczne. Np. sprowadzano węgiel wagonami, a w klasach było przeważnie zimno, tak że nauczyciele i uczniowie zmuszeni byli siedzieć podczas lekcji w paltach. Dostawcy węgla i rzemieślnicy wystawiali rachunki na znacznie wyższe sumy, których nie otrzymywali, a różnica szła do kieszeni dyrektora i sekretarza gimnazjum, który tego rodzaju delikatne sprawy załatwiał.

Tutaj nadmienię, że w sąsiednim Piotrkowie dyrektor gimnazjum Rozanow brał łapówki w gotówce, po produkty zaś i trunki rozsyłał woźnych i służbę po mieście w sposób zupełnie otwarty, a potrzebował dużo, bo miał przystojną żonę i córkę na wydaniu i prawie codziennie wyprawiał lukullusowe uczyty, na których bywało liczne towarzystwo rosyjskie, bo Piotrków był pierwszym miastem w b. Kongresówce zrusyfikowanym przez gubernatora Kachanowa, tak że wszystkie urzędy były obsadzone przez Rosjan. Za to palestra w Piotrkowie była nadzwyczaj liczna, gdyż sąd piotrkowski co do ilości spraw był trzecim w państwie rosyjskiem i ona stanowiła rdzeń polskość i podtrzymywała polski charakter Piotrkowa. Ażeby skończyć z tym osławionym Rozanowem powiem, że po objęciu rządów w kuratorjum warszawskiem przez Ligina, on był pierwszym, którego Ligin wyrzucił ze stanowiska dyrektora. Po powstaniu prywatnych szkół polskich Rozanow wykładał w nich język rosyjski.

Zawiązany towarzyski stosunek, a właściwie wieczory wintowe u dyrektora, znacznie mi ułatwiały pracę. Dyrektor zupełnie nie wtrącał się do moich wykładów i miałem swobodę w prowadzeniu lekcji.

Muszę wspomnieć, że w karty grywało nas czterech: dwóch nauczycieli Polaków i jeden Rosjanin. Polak Wejs miał w gimnazjum pięciu synów, więc jak mógł zabiegał o względy dyrektora i przy kartach zaczął go tytułować „*wasze prewoschoditelstwo*”. Chociaż ten tytuł mu przysługiwał, dyrektor pod adresem Wejsa powiedział, że niepotrzebnie on to robi, bo przecież znacznie młodszy wiekiem Wołyński tego nie czyni. Dyrektora gimnazjum nauczyciele nie tytułowali „*wasze prewoschoditelstwo*” (jaśnie panie), bo był on uważany jako primus inter pares, a wreszcie ten tytuł przysługiwał tylko tym, którzy mieli rangę rzeczywistego radcy stanu. — Drugi partner Rosjanin Dobrowolskij,

chcąc sobie zaskarbić względy dyrektora, bo ubiegał się o mającą zawakować posadę inspektora, celowo przegrywał. Gdy dyrektor to zauważył, wprost zwymyślał go przy nas, oświadczając, że mu niczyje pieniądze niepotrzebne.

Dyrektor Dachnowicz był to „chachoł” (Małorus), człowiek prosty, względem Polaków możliwy, chorobliwie tylko nienawidził katolicyzmu i w walce z nim padł.

Kiedy się zbliżał upragniony przeze mnie koniec roku i miała być podniesiona sprawa powiększenia liczby godzin języka polskiego w gimn. częstochowskim, dyr. Dachnowicz dostał dymisję i musiałem czekać następnej nominacji. Dyrektorem został inspektor gimn. częstochowskiego Gejewskij, a więc miejscowy, z którym łączyły mnie poprawne stosunki służbowe. Od mego przyjazdu do Częstochowy Gejewskij wyrażał mi pewne uznanie, że ja ułatwiłem mu pracę. Przy Krąkowskim, moim poprzedniku, Gejewskij musiał codziennie siedzieć w gimnazjum do godz. 3 $\frac{1}{2}$ popoł., to jest do skończenia się lekcji języka polskiego i pilnować porządku i spokoju na lekcji Krąkowskiego, gdyż uczniowie zachowywali się niesfornie i wyprawiali rozmaite awantury, nie wyłączając kocięj muzyki przy jego wyjściu z klasy. Na moich zaś lekcjach uczniowie zachowywali się wzorowo i obecność inspektora była zbyteczna, tak że zaraz po lekcjach wychodził i ja sam zostawałem z uczniami.

Wśród wielu Rosjan, jakich spotykałem w ciągu 28 lat swojej służby, nie znałem człowieka, któryby więcej był zdemoralizowany: pijanica, łapownik, karciarz, próżniak, słowem zgnilizna moralna. I taki człowiek przez trzy lata stał na czele gimnazjum! Dobrze, że personel nauczycielski składał się z przeważającej liczby Polaków, ludzi trzeźwych, uczciwych i sumiennych w spełnianiu swoich obowiązków. Wśród personelu oprócz dyrektora, inspektora i nauczyciela języka rosyjskiego pozostali byli Polacy.

Wobec nowego dyrektora postanowiłem przeprowadzić powiększenie liczby godzin języka polskiego i w tym celu zwróciłem się do niego z odpowiednim żądaniem. Chociaż dyrektor w gruncie rzeczy przyznawał słuszność mojemu żądaniu, opartemu na prawie, bał się zaraz po nominacji występować z podobną sprawą do Apuchtina i wręcz mi odmówił. Miałem zatem ręce rozwiązane i sam napisałem prośbę do Apuchtina, w której przedstawiłem, że we wszystkich gimnazjach liczba godzin języka polskiego wynosi 19, a w Częstochowie tylko 14 razem

z klasą wstępną i dlatego proszę p. kuratora o wejrzenie w tę sprawę. Apuchtin kazał mi odpowiedzieć przez kancelarię, że sprawy nauczania w gimnazjach należą do dyrektora, dlatego moja prośba zostaje załatwiona odmownie. Muszę tu zaznaczyć, że my, nauczyciele, mieliśmy prawo zwracania się wprost do władzy wyższej. Działo się to w końcu roku szkolnego. Nie wtajemniczałem w moją sprawę dyrektora ani któregośkolwiek bądź z kolegów, a postanowiłem czekać rozpoczęcia roku szkolnego, kiedy każde gimnazjum obowiązane było przedstawić do zatwierdzenia kuratora podział zajęć pomiędzy poszczególnych nauczycieli, ilość godzin każdego przedmiotu i plan lekcyj. Wybrałem tę chwilę jako najodpowiedniejszą i posłałem do Apuchtina drugie podanie następującej treści:

„Do Jego Ekscelencji p. Kuratora Warsz. Okręgu Naukowego. Na podstawie rozkazu cesarskiego z dn. 2 lutego 1882 r. liczba godzin języka polskiego w gimnazjach warsz. okręgu naukowego została powiększona o 5 w ten sposób, że w klasach wstępnej, I i II dodano po jednej godzinie, w klasach VII i VIII nanowo przeznaczono po 1 godzinie. Gimnazjum częstochowskie do dnia dzisiejszego nie wprowadziło w wykonanie powyższego rozkazu cesarskiego. Komunikuję o powyższym i proszę p. kuratora rozkazać gimn. częstochowskiemu wprowadzić w wykonanie wyżej wzmiankowany rozkaz cesarski”.

Na drugi dzień, już po wysłaniu tego podania pocztą, zakomunikowałem jego treść dyrektorowi, a ten wyraził mi swoje niezadowolenie, że ja to uczyniłem bez jego wiedzy, że on nie pozwoliłby mi tego uczynić i uchroniłby mnie od niechybnej dymisji. Krótko odpowiedziałem, że przyjmuję na siebie wszelkie konsekwencje, bo w ten sposób tylko mogłem raz doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia tej nader dla mnie ważnej sprawy. Moje wystąpienie, z którego już teraz nie robiłem tajemnicy, stało się głośnem wśród kolegów i w całym mieście. Wszyscy z największym napięciem oczekiwaliśmy rezultatu, który na siebie nie dał długo czekać. Po upływie dwóch tygodni przyszło zatwierdzenie rozkładu zajęć z uwagą: *„Od roku szkolnego powiększyć liczbę godzin języka polskiego o 5 godzin tygodniowo, a nauczyciela wynagrodzić ze specjalnego funduszu gimnazjalnego (z wpisów szkolnych)”*.

Kiedy dyrektor to otrzymał, wściekły wpadł do pokoju nauczycielskiego i zakomunikował o zatwierdzeniu planu, dodając, że nauczyciel języka polskiego „zabrał” nam 300 rb. Działo się to w mojej obecności, więc prosiłem dyrektora, żeby jaśniej wytłumaczył, co ma oznaczać jego powiedzenie pod moim adresem.

Doszło do dosyć ostrego przemówienia się pomiędzy nami, oświadczyłem, że natychmiast zwrócę się do kuratora, a to uspakajająco działało na tych panów i ostatecznie sprawa pokojowo załatwiła się pomiędzy nami w gabinecie.

Można sobie wyobrazić, jaki efekt ta sprawa wywołała wśród uczniów, kolegów i w mieście. Przypisywano mi jakieś specjalne wpływy i protekcję wysokich dygnitarzy. Nikogo z tego błędu nie wyprowadzałem, bo to było mi potrzebne dla utrwalenia pozycji mojej w gimnazjum. Nic podobnego nie było. Moja odwaga i powołanie się na rozkaz cesarski — to była moja jedyna protekcja. Sam Apuchtin i jego doradcy przyszli do przekonania, że w razie odmowy ten marny nauczyciel „polaczyszka” może zwrócić się z prośbą i ze skargą na najwyższe imię (do cesarza). Trzeba wiedzieć, że prośby, podawane do cesarza pocztą krajową, o ile nie były wybitnej treści, nie dochodziły jego rąk, lecz były załatwiane przez kancelarię przyboczną. Tylko prośby przysłane z zagranicy były rozpatrywane i decydowane osobiście przez cesarza. Widocznie tego obawiał się Apuchtin, żebym, w razie odmowy, mieszkając nad granicą, w odległości 16 wiorst i mając bardzo ułatwiony przejazd przez granicę, nie użył powyższego sposobu. Słowem, dla tych czy innych powodów sprawę wygrałem dla siebie i moich kochanych uczniów, co mi dodało bodźca do dalszej pracy. Obecnie czułem się dosyć pewnym na swoim stanowisku i wprowadziłem już otwarcie w niższych klasach gramatykę Małeckiego, a w wyższych na każdą lekcję literatury układałem konspekt wykładów, który po skończonej lekcji oddawałem uczniom, a oni uzupełniali robione na lekcji notatki i układali kurs moich wykładów.

Zdarzyło się raz, że jeden z uczniów VII kl. Alfred Kon, syn wybitnego przemysłowca, zapomniał po mojej lekcji schować do ławki kajet z notatkami. Następną lekcja była języka rosyjskiego. Gdy wszedł do klasy nauczyciel tego przedmiotu Dobrowolskij, zauważył kajet, podszedł do ławki i zabrał go. Wykładałem wtenczas literaturę za czasów Ks. Warszawskiego w związku z historją Polski. Mówiłem o Staszicu, jako zwolenniku Aleksandra I, w którym Staszic pokładał wielkie nadzieje, gdyż Aleksander I istotnie w początkach swego panowania pod wpływem Adama Czartoryskiego ufundował kilka bardzo pożytecznych instytucyj w kraju zabranym. W tym duchu przyjaznym dla Aleksandra I i dla Rosji Staszic wydał broszurę polityczną:

„Myśli o równowadze politycznej Europy”. Gdy Dobrowolskij przeczytał ten tytuł, zwrócił się do uczniów, jak przystało na szpiega, a nie kolegę nauczyciela: „*Cóż to wy na lekcjach języka polskiego zajmujecie się polityką*” i kajetu uczniowi nie oddał. Uczniowie, przeczuwając, że w powietrzu wisi awantura i wielka nieprzyjemność, oczami się porozumieli i, po upływie 15 minut, jeden z nich poprosił o pozwolenie wyjścia na dwór. Dobrowolskij, niczego się nie domyślając, pozwolił wyjść. A tymczasem uczeń przyszedł pod drzwi klasy, w której ja miałem lekcję, i dał mi do zrozumienia, że chce ze mną mówić. Wyszedłem i dowiedziałem się wszystkiego. Wzburzyłem się bardzo zachowaniem w każdym razie kolegi i obmyśliłem plan działania, bo wiedziałem, że Dobrowolskij odda kajet dyrektorowi i ja będę wezwany do tłumaczenia się. Tak się też stało. Po skończonej lekcji przyszedłem do pokoju nauczycielskiego, lecz Dobrowolskiego nie zastałem. Po chwili przyszedł woźny i oświadczył, że p. dyrektor wzywa mnie do gabinetu. Tym woźnym był Szymon Planeta, zwany przez nas Szymkiem, człowiek bardzo uczciwy, serdecznie oddany sprawie polskiej i katolickiej, a mój powiernik i całem sercem mi oddany. Na korytarzu szepnął mi, że u dyrektora jest Dobrowolskij i czytają coś wspólnie z kajetu.

Gdy wszedłem, dyrektor w uroczystym tonie zwrócił się do mnie, dlaczego ja na lekcjach języka polskiego zajmuję się polityką, i przy tych słowach wskazał mi na tytuł w kajecie. Ja na to odrzekłem, że, zanim p. dyrektorowi dam odpowiednie wyjaśnienie, muszę zwrócić się do kolegi Dobrowolskiego i wyrazić mu moje zdziwienie, że on tak nie po koleżeńsku postępuje względem mnie, bo przede wszystkim do mnie powinien był się zwrócić i mnie oddać kajet, w którym były notatki z mego przedmiotu, a wreszcie mógł mnie prosić o zakomunikowanie treści dziełka o tak niebezpiecznym tytule. Oświadczyłem, że p. Dobrowolskij naraża p. dyrektora na niepotrzebne prowadzenie śledztwa i kontrolowanie moich wykładów. Następnie wyjaśniłem, dlaczego zwracałem uwagę uczniów na Staszicą, jako na tak miernego poetę, który w literaturze nie odgrywał ważniejszej roli, za to zaś jako pisarz polityczny i działacz społeczny miał wielki wpływ na ówczesne społeczeństwo polskie, chociaż był zwolennikiem Rosji. Po moim oświadczeniu dyrektor uspokoił się i rzekł mi krótko: „*Niech pan pamięta, żeby pan się nie naraził*” i kazał mi iść na lekcje. Pożegnałem się

z dyrektorem i wyszedłem z gabinetu, nie zwracając uwagi na Dobrowolskiego. Po skończonych lekcjach pożegnałem się ze wszystkimi kolegami, a Dobrowolskiego potraktowałem jak u dyrektora w gabinecie, wyszedłem nie podawszy mu ręki.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po południu przyszedł do mnie do mieszkania Dobrowolskij. Naturalnie w imię gościnności przyjąłem go, ale ręki nie podałem. Gdy znaleźliśmy się w pokoju, Dobrowolskij zaczął mnie przeproszać i tłumaczyć się, że on zbyt pośpiesznie i nierozważnie postąpił, przytem prosił na wszystko, żebym o tem absolutnie nikomu nie mówił. Przyrzekłem i słowa dotrzymałem, bo chciałem mieć Dobrowolskiego w pewnej zależności. Może czytelnicy będą się dziwili, że nauczyciel języka rosyjskiego, a więc ważna figura w gimnazjum do pewnego stopnia, upokorzył się przede mną—nauczycielem języka polskiego, z którym w wielu gimnazjach nie liczone się wcale. Dobrowolskij uczynił to bynajmniej nie z sentymentu dla mnie, lecz z własnego interesu. Utrzymywał on stancję uczniowską i miał pensjonarzy, synów najzamożniejszych okolicznych obywateli, zależało mu zatem na pewnej opinii wśród Polaków, a wiedział dobrze, że ja jestem popularny i mogę mu zaszkodzić. Dla moskali była przedewszystkiem brzęcząca moneta. Brał on za jednego ucznia po 800 rb. rocznie. Lecz za mnie los zemścił się na nim. Coś w rok po opisanem zdarzeniu Dobrowolskij musiał zamknąć stancję, gdyż został przeniesiony do Radomia wśród następujących okoliczności.

W tym czasie inspektorem w gimn. częstochowskiem był eksunita Redka, który przyjechał z Siedlec, gdzie był znany jako wybitny łapownik. Gdy po przyjeździe do Częstochowy zauważył, że wszystkie placówki (źródła dochodu) zajęte, zajął stanowisko obserwacyjne i od czasu do czasu posyłał do kuratorjum „donos”. Takie „donos” (denuncjacja) zwykle był przysyłany do dyrektora dla przeprowadzenia śledztwa i wyjaśnienia. Te donosy tyczyły się głównie Dobrowolskiego, ale były i przeciwko dyrektorowi. Na śledztwo przyjechał Rudenski, wizytator okręgu. Po przeprowadzeniu śledztwa stało się rzeczą pewną, że autorem anonimowych donosów był inspektor Redka. Przeciwnie mu tedy sprzysięgli się dyrektor i Dobrowolskij i postanowili go wygryźć, a miejsce jego miał zająć Dobrowolskij. Redka, chcąc obniżyć znaczenie stancji Dobrowolskiego, zaczął prześladować i wprost znęcać się nad uczniami tej stancji. Takie

postępowanie rosyjskich pedagogów było na porządku dziennym. Wśród uczniów stacji był Wąsowicz, syn znanego ziemianina z Lipnowskiego, uczeń VI kl., młodzieniec nerwowy i bardzo trudny do prowadzenia. Był on przedtem w gimnazjum plockiem, gdzie mu dali „consilium abeundi” i przez protekcję dostał się do warsz. IV gimn. męskiego, skąd już formalnie został wydany. Ponieważ każde wydalenie ucznia wymagało zatwierdzenia Apuchtina, ten, dzięki protekcji hr. Wielopolskiego, wyrok zmienił i kazał Wąsowicza za karę zamknąć na dwie godziny do kozy. Wąsowicz odsiedział kozę, lecz gimnazjum opuścił i został przyjęty do gimn. częstochowskiego, naturalnie głównie zawdzięczając temu, że stanął na stacji u Dobrowolskiego. Lecz i tutaj Wąsowicz dawał dowody niesforności i lekceważenia inspektora Redki. Toteż Redka upatrzył go sobie jako ofiarę, która miała służyć do załatwienia porachunków z Dobrowolskim. Muszę zaznaczyć, że Wąsowicz dla mnie pod każdym względem był wzorowym uczniem, na tyle miał poczucia patriotycznego i miłości do języka ojczystego. Innym nauczycielom, zwłaszcza moskalom, dokuczał, a Redki nienawidził. Nienawiść do Redki miała dwa źródła: primo, że Redka za byle przewinienie zamykał Wąsowicza na parę godzin do kozy; secundo, że żona Dobrowolskiego, wtajemniczona w intrygę męża, chcąc zostać p. inspektorową, podsycala nienawiść w Wąsowiczu i wprost wyrażała się przy innych w ten sposób: „*Pan powinien go spoliczkować*”. Zachęta nie dała długo czekać na siebie. Po przesiedzeniu w ostatki 6 godzin kozy Wąsowicz na drugi dzień przyszedł do gimnazjum zdenerwowany i podczas dużej pauzy wśród największego ruchu uczniów, kiedy Redka schodził schodami z I piętra, Wąsowicz szedł za nim, odpiął pasek, którym przepasywano bluzkę, i silnie uderzył nim Redkę przez twarz wobec masy uczniów. Powstało wielkie zamieszanie, dano znać dyrektorowi, który po libacjach poprzedniego dnia (fakt miał miejsce w ostatni wtorek) nie zdążył jeszcze wstać, chociaż to była już 12 godzina. Wąsowicz opuścił gmach gimnazjum. Wieczorem była zwołana nadzwyczajna sesja, Wąsowicz był wydany z „wilczym biletem” i oddany pod sąd, który skazał go jako szlachcica na 3 dni domowego aresztu. W końcu roku inspektor Redka został zemerytowany, a Dobrowolski, jak już wspominałem, przeniesiony do Radomia. Redka pozostał w Częstochowie, otworzył szkołę prywatną i prowadził ją przez parę lat, a wkońcu zbankrutował.

Kiedy piszę o „donosach”, muszę przytoczyć jeszcze jeden nadzwyczaj charakterystyczny fakt, który pokaże, do jakich niegodnych sposobów uciekali się donosiciele Rosjanie.

Działo się to w Płocku, mniejwięcej w tym samym czasie. Dyrektor gimnazjum otrzymał z kuratorjum do wyjaśnienia „donos” na inspektora tegoż gimnazjum Abramowicza, tego samego który niedawno wykrył bibliotekę uczniowską. „Donos” był pisany bardzo niewprawną ręką (maszyn jeszcze wtenczas nie znano) i to zwróciło uwagę i naprowadziło na myśl, że to musiał pisać jakiś uczeń z niższej klasy, wciągnięty do tej niecnej sprawy przez autora „donosu”. O autorstwo podejrzewano Preobrażeńskiego, nauczyciela języka rosyjskiego, bardzo „godną osobę” (!!)

Przeprowadzenie śledztwa polecono Abramowiczowi, gdyż on wykazał już swoje zdolności policyjne przy wykryciu biblioteki. Abramowicz zabrał się do tej sprawy z całą znajomością rzeczy. Domyślano się, że Preobrażenskij wciągnął do tej sprawy ucznia swej klasy, t. j. w której był wychowawcą, i dlatego Abramowicz zwrócił szczególną uwagę na sprawowanie uczniów II klasy (Preobrażeńskiego). Klasa II była niesforna, więc Abramowicz wyłowił najgorzej się sprawujących i zostawił ich w kozie. Był zaś przepis, że uczniowie pozostawieni w kozie, musieli wykonywać przymusowe roboty, najczęściej zaś pisali dla wprawy rosyjskie dyktando. Tym razem sam Abramowicz zaopiekował się pozostawionymi w kozie i zaczął im dyktować: *„Jewo prewoschoditielstwu, gospodinu popieczitielu Warszawskawo Uczebnawo Okruga”* (Do Jaśnie wielmożnego p. kuratora Warszawskiego Okręgu Naukowego). Jeszcze uczniowie nie skończyli tego zdania, gdy jeden z malców zaczął się kręcić i podnosić rękę na znak, że chce coś powiedzieć. Zauważył to Abramowicz i spytał: „Czego chcesz?” Ten mu odpowiedział: *„Panie inspektorze, ja już takie dyktando pisałem”*. Abramowicz uradowany, że piszącego „donos” znalazł, przestał dyktować i pod jakimś pozorem zwolnił wszystkich malców, tylko kazał pozostać temu, który już takie dyktando pisał. Kiedy już nikogo nie było, malec opowiedział, że Preobrażenskij zostawił go w kozie, dał mu arkusz papieru i kazał mu pisać takie samo dyktando, jak pan inspektor zaczął. Abramowicz o wszystkim zdał sprawę dyrektorowi, a ten ze swej strony Apuchtinowi i na dowód załączył jeden z kajetów malca, który miał świadczyć o tożsamości pisma. Rezultat całej sprawy był

taki, że Preobrażenski natychmiast został zdegradowany i przeniesiony na nauczyciela języka rosyjskiego do seminarjum nauczycielskiego na Syberji polskiej, jak wówczas nazywano gubernię Suwalską.

Nauka języka polskiego i wizytacje.

Po wprowadzeniu języka polskiego do klasy VII i VIII systematycznie wykladałem literaturę nowszych czasów romantyków: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, przyczem naukę literatury oparłem na czytaniu naszych arcydzieł w klasie. Dzieła cenzurowane czytali uczniowie, ustępy zaś niecenzuralne czytałem sam, gdyż obawiałem się, żeby w razie wejścia dyrektora do klasy, uczeń nie zdradził się jakimś nerwowym ruchem. Po przeczytaniu całego utworu uczniowie szczegółowo musieli opowiadać treść, w czem specjalnie wyróżniał się Jerzy Gościcki, obecnie wybitny ziemianin i za czasów już niepodległości minister rolnictwa. W specjalny rozbiór krytyczny nie wdawaliśmy się, ograniczaliśmy się tylko do charakterystyki osób i wypadków historycznych, na tle których powstał utwór.

Raz na kwartał było wypracowanie klasowe na jakiś opracowany w klasie temat, które skrupulatnie poprawiałem i przy oddawaniu uczniom krytykowałem. W niższych klasach zwracałem specjalną uwagę na ortografię, tak że uczniowie III kl. pisali niemal bez błędu, w klasach zaś IV i V kazałem streszczać przeczytane urywki lub zadawałem samodzielne opisy, tak że w gimnazjum częstochowskiem nauka języka polskiego odbywała się normalnie i naturalnie zawsze w języku polskim, a moi kochani uczniowie nadzwyczaj pilnie przykładali się do nauki języka ojczystego i otrzymanie złego stopnia ode mnie wywoływało straszny lament ucznia, wizyty rodziców, tłumaczenie się i t. p. Raz jeden tylko zdarzyło się, że do VI kl. wszedł na lekcję dyrektor Gejewskij, więc z chwilą jego wejścia do klasy zacząłem mówić po rosyjsku. Kiedy zaś już za czasów Ligina w r. 1897 był mianowany nowy dyrektor Chabarow z Petersburga i zwiedzał moje lekcje, nie krępowałem się jego osobą i wykladałem po polsku. Pó skończonej lekcji Chabarow spytał mię, w jakim języku podług przepisów powinien być wykładany język polski. Zupełnie otwarcie odpowiedziałem, że po rosyjsku i na tem przerwała się nasza rozmowa na ten temat.

Ale przedtem jeszcze miałem groźniejsze wizyty samego Aleksandra Lwowicza Apuchtina i jego pomocnika inspektora okręgowego Dobrowolskiego, największego rusyfikatora.

Gdy przyjeżdżał na wizytację Apuchtin, dyrektor zgóry był o tem zawiadomiony, gdy zaś przyjeżdżali jego zastępcy, czynili to zwykle incognito. Lecz my w Częstochowie byliśmy o tem zawiadamiani natychmiast po pojawieniu się ich w hotelu i przedstawieniu swoich dowodów w kantorze. Właściciel hotelu, jako ojciec naszego ucznia, znał swoją powinność i spełniał ją sumiennie. Cała noc lub parę godzin po przyjeździe kurjerskiego pociągu z gościem do Częstochowy wystarczały w gimnazjum do przygotowań się zgrubsza na przyjęcie wizytacji. A więc była zapowiedziana wizyta Apuchtina, ważna dla wszystkich, zwłaszcza dla mnie, który mocno byłem w niezgodzie z wymaganiami prawa i obawiałem się, czy Apuchtin nie zechce mi w jakiś sposób przypomnieć mego podania z powołaniem się na rozkaz cesarski.

Zacząłem się przygotowywać do tej wizyty w ten sposób, że kazałem uczniom wszystkich klas wyszukać przepisane wypisy Dubrowskiego. We wszystkich klasach znalazło się 22 egzemplarze. Było to mało, ale więcej w żaden sposób nie można było nawet kupić, bo miejscowa księgarnia nie trzymała ich na składzie. Dla każdej klasy wybrałem odpowiedni tekst, sam przetłumaczyłem go na język rosyjski i kazałem uczniom dobrze się nauczyć. Wybrałem kilku przytomniejszych z wyższych klas, którym poleciłem sprawę dostarczania wypisów do tej klasy, w której ja miałem mieć lekcję, a po skończonej mojej lekcji uczniowie mieli książki natychmiast zebrać i oddawać następnej klasie, w której podług planu wypadała moja lekcja. Tłumaczenia kazałem się uczyć uczniom dopiero od II klasy, wstępniakom zaś i uczniom I kl. kazałem się nauczyć bajek Jachowicza i Krasickiego, sam opowiedziałem treść bajek po rosyjsku i kazałem malcom dopóty powtarzać, dopóki nie zauważyłem, że możliwie po rosyjsku streszczają. Nareszcie po tygodniu zjawia się „jewo prewoschoditielstwo” (Apuchtin) i wypadek zrządził, że wprost przyszedł na moją lekcję do I klasy. Przedstawiłem się i zdałem relację o treści lekcji. Na to otrzymałem odpowiedź: „Ja pana pamiętam”. Żle, pomyślałem sobie, i zdałem się na wolę Bożą. Apuchtin kazał trzem uczniom powiedzieć wiersze. Malcy z wielką swadą deklamowali, a w duchu myślę, co

dalej będzie. Po deklamacji Apuchtin zwrócił się do klasy, że on nie rozumie po polsku, więc kto może mu opowiedzieć treść bajki po rosyjsku. Wówczas prawie cała klasa podniosła ręce (tak ich nauczyłem). Apuchtin znowuż trzem uczniom kazał opowiedzieć, a ja myślę, co dalej będę robić na lekcji. Lecz Apuchtin wybawił mnie z tego kłopotu, bo spytał uczniów, czy mają rosyjską książkę (wypisy). Wszyscy jak jeden mąż odpowiedzieli „mamy”. Wtedy Apuchtin zaczął prowadzić lekcję języka rosyjskiego, a ja mu czynnie pomagałem, zwłaszcza w poprawianiu w akcentach, w czym byłem bardzo biegły. Skończyła się lekcja, Apuchtin podszedł do mnie i rzekł te słowa: „*Ja widzę, że pan dobrze prowadzi swoje wykłady i że pan gruntownie zna język rosyjski*”. Te słowa uznania, wypowiedziane wobec dyrektora, bardzo wzmocniły moją pozycję w gimnazjum, tembardziej, że jednocześnie Apuchtin wyraził w dosadny sposób niezadowolenie pod adresem nieobecnego w klasie nauczyciela języka rosyjskiego, że uczniowie I klasy są za mało zaawansowani w języku rosyjskim. Tak się skończyła groźna dla mnie wizyta Apuchtina w roku 1896.

Tego nie mogę powiedzieć o wizytacji wyżej wzmiankowanego v.-kuratora Dobrowolskiego. Ten na moje szczęście na żadnej mojej lekcji nie był, tylko kazał sobie przedstawić kajety uczniów z wypracowaniami. Los zrządził, że przeglądał kajety uczniów V klasy, gdzie było kilku uczniów nowoprzyjętych z progimnazjum pińczowskiego z bardzo słabem przygotowaniem z języka polskiego, bo jak już zaznaczyłem, w tych zakładach język ojczysty był traktowany więcej niż po macoszemu. Pomiędzy uczniami był Olszewski, syn nauczyciela języka polskiego tego progimnazjum — wprost analfabeta, jak przystało na syna nauczyciela. Dobrowolskij, przeglądając kajet Olszewskiego, zauważył, że z wypracowania postawiłem mu ocenę 1 (jedynek) za nieudolną treść i takie błędy ortograficzne, jak: „Borze muj”. Podczas konferencji po odbytej wizytacji Dobrowolskij zwrócił się do mnie: „jak ja mogę być tak wymagającym z nieobowiązującego przedmiotu. Takie oceny można dawać tylko z głównego przedmiotu rosyjskiego, tembardziej, że ja wogóle nie mam prawa zadawać wypracowań piśmiennych”. Na to odrzekłem: „*P. v.-kuratorze, dla mnie język polski jest tak ważny jak dla nauczyciela języka rosyjskiego — język rosyjski*”. P. v.-kurator nic na to nie odrzekł, lecz wkrótce po jego wyjeździe otrzy-

małem papier z kuratorjum tej treści: „Komunikuje się nauczycielowi języka polskiego, że on podczas wizytacji v.-kuratora nie zachował się z należnym dla niego szacunkiem i że stawia zbyt surowe wymagania z nieobowiązkowego przedmiotu”. Na tem skończyła się cała historia.

Zwiedzali również gimnazjum częstochowskie warszawscy gen.-gubernatorowie. Wspomnę o wizycie hr. Szuwałowa, która miała znaczenie formalne, ale w mieście pozostawiła wielki niesmak.

Szuwałow wracał z Sosnowca, gdzie go gościł tamtejszy bogaty przemysłowiec Dytel. Na przyjazd Szuwałowa Dytel przygotował się tak, jak mógł to uczynić taki bogaty dorobkiewicz, jakim był Dytel. Ponieważ oświetlenie ulic Sosnowca pozostawiało dużo do życzenia, Dytel sprowadził lampę morską, a ulice, prowadzące od stacji kolei do jego pałacu, kazał wysłać dywanami. Całe przyjęcie, składające się z najwyszukańszych potraw, sprowadził z Berlina. Słowem, wyprawił lukullusową ucztę. Szampana nie żałował. Szuwałow i jego świta bawili u Dytla 24 godziny. Po sutem śniadaniu i nadzwyczajnych libacjach wszyscy pojechali do Częstochowy. Było to popołudniu. Prosto z dworca udali się na Jasną Górę. Dla nich specjalnie został odsłonięty cudowny obraz Matki Bożej, który zwykle zamyka się o 12 w południe. Zachowanie się w kaplicy może nie tyle Szuwałowa, bo pilnowała go towarzysząca mu żona*), ile świty było wprost skandaliczne. Jeszcze jako tako wszyscy zachowywali się podczas modłów za cesarza, które odprawił smutnej pamięci przeor Rejman, lecz po skończeniu modłów, gdy Rejman oprowadzał ich po kaplicy i głównym kościele, zachowaniem swoim przypominali zachowanie się Szwedów, kiedy ich na Wawelu oprowadzał kanonik krakowski Starowolski w XVII w. Wprost z klasztoru Szuwałow przybył do gimnazjum. My wszyscy wraz z uczniami byliśmy zebrani w sali i tam oczekiwaliśmy na niego. Kiedy dyrektor wprowadził Szuwałowa, ten zaczął dowcipkować, zwracając się do niektórych nauczycieli i uczniów. Chór uczniowski wykonał patriotyczną pieśń rosyjską: „Niech będzie wysławiany nasz rosyjski car”, a na zakończenie „Boże cesarza chroń”. Po skończeniu tego „koncertu” Szuwałow chciał wychodzić, lecz żona szepnęła mu coś do ucha i Szuwałow zarządził trzydniową przerwę

*) Wówczas powszechnie mówiono, że w p. Szuwałowej kochał się cesarz Wilhelm i to było powodem, że Szuwałow porzucił stanowisko ambasadora w Berlinie i przeniósł się do Warszawy.

w naukach, co nam wszystkim najwięcej się podobało. Na tem skończyła się cała wizyta.

Tu muszę jeszcze parę słów powiedzieć o Dytlu. Czyto z motywów osobistych (miał dwóch synów), czyto przez ambicję Dytel własnym kosztem założył w Sosnowcu szkołę realną, gdzie dotychczas nie było żadnej szkoły średniej. Pobudował mieszkania dla nauczycieli, przerobił jeden z gmachów fabrycznych na gmach szkolny. Kiedy już wszystko było gotowe, poprosił na otwarcie i poświęcenie gmachu Apuchtina. Wszyscy nauczyciele i urzędnicy byli w mundurach, jak również urzędowi goście, a on musiał być po cywilnemu i to go mocno bolało. Ktoś z otoczenia szepnął o tem Apuchtinowi i ten mianował Dytla nauczycielem języka niemieckiego w otwartej przez niego szkole realnej. Takie stanowisko dawało możliwość otrzymania rang i orderów i noszenia munduru. Cała trudność polegała na tem, że Dytel, jako prosty człowiek, nie miał ani przygotowania pedagogicznego, ani odpowiednich kwalifikacyj. Lecz i na to znalazł się sposób. Dytel tylko nominalnie sprawował obowiązki nauczyciela, a faktycznie pełnił je pastor Utke, który stale z nim chodził na lekcję i prowadził ją, a Dytel przysłuchiwał się.

Opowiadają dosyć komiczny, lecz autentyczny fakt:

Kiedy Dytel otrzymał nominację na nauczyciela, pojechał do Warszawy podziękować Apuchtinowi za nominację i jednocześnie obstałował u pierwszorzędnego krawca warszawskiego vice-mundur (frak), jaki wówczas obowiązywał nauczyciela podczas lekcji w gimnazjum. Krawiec uroczyście zobowiązał się wykończyć ubranie na dzień, w którym Dytel miał oblewać swoją nominację. W oznaczonym dniu zebrali się wszyscy nauczyciele i goście, bawiono się wybornie do 9¹/₂ wieczorem (do przyścia pociągu pośpiesznego z Warszawy). Kiedy ta godzina minęła, gospodarz stracił na humorze, widocznem było, że wydawał jakieś dyspozycje. Zauważyli to goście i chcieli się rozchodzić, lecz Dytel nikogo nie puszczał do godz. 6-ej rano (do przyścia pociągu kurjerskiego z Warszawy). Po tej godzinie wyszedł na chwilę i wrócił od stóp do głów ubrany urzędowo we wszystkie szczegóły tualety męskiej. Wszyscy z tego byli b. radzi, składali mu życzenia i dopiero wtenczas, już o 7-ej rano rozeszli się do domu. I cóż się okazało? Krawiec nie przysłał pierw-

szym pociągiem ubrania i uczynił to dopiero po otrzymaniu terminowej depeszy Dytla.

W każdym razie Dytel dokonał b. pożytecznego dzieła dla Sosnowca i całego Zagłębia otwierając szkołę realną, którą w parę lat potem z bardzo bogatym urządzeniem oddał na własność rządu. Dytlowi jako pamiątka pozostała ranga radcy stanu i 3 ordery.

I n t e r n a t y.

Do rusyfikacyjnych zarządzeń Apuchtina w ostatnich latach jego rządów należało otwarcie internatów (wspólnych stancyj) we wszystkich miastach prowincjonalnych. W Warszawie już przedtem istniał internat przy I gimnazjum męskim (rosyjskim) tylko dla prawosławnych, żeby ułatwić kształcenie się synom niższych funkcjonariuszy państwowych, policjantów, żandarmów i t. p. Dlatego wyższe sfery rosyjskie niechętnie posyłały swych synów do I gimn., lecz przeważnie do VI, a potem od r. 1880 również do III, V i VI, t. zw. polskich, do których przedtem Rosjan nie przyjmowano, tak że nawet w tych gimnazjach nie było wykładów religii prawosławnej w pierwszych latach przyjmowania Rosjan i uczniowie prawosławni na religję zbierali się do gimn. III. W roku 1882 uznano, że III gimn. jest zbyt oddalone (!?—dawniej na Berga, dzisiejszej Traugutta), i we wszystkich wyżej wymienionych polskich gimnazjach wprowadzono wykłady religii prawosławnej bez względu na liczbę uczniów.

Chociaż otwieranie internatów miało cel wybitnie rusyfikacyjny, muszę przyznać, że dyrektorzy gimnazjów niechętnie przyjęli to rozporządzenie, bo to był dla nich nowy i przytem niespodziewany kłopot, wielka odpowiedzialność połączona z dużą pracą. Jeszcze jeden ważny szczegół wpływał na niechęć dyrektorów — sprawa finansowa. Przypuszczali oni bowiem, że internaty nie będą samowystarczalne i trzeba będzie dopłacać ze specjalnych funduszy gimnazjum (z wpisów), a te były źródłem dochodu dla wielu tych panów, lecz bynajmniej nie powiem — dla wszystkich.

Zanim opowiem dzieje internatów, pokrótce przedstawię historię dawnych stancyj uczniowskich. Wszyscy uczniowie zamiejscowi, o ile nie mieli bliskich krewnych w mieście, musieli stać na „stancjach” uczniowskich, które były dwojakiego rodzaju:

stancje utrzymywali nauczyciele gimnazjów, a nawet (rzadko się to zdarzało) inspektorzy, albo też osoby prywatne. Tak jedni jak i drudzy musieli mieć pozwolenie władzy szkolnej, przyczem osoby nie należące do składu nauczycielskiego musiały dla uzyskania pozwolenia na otwarcie stancji przedstawić dowód prawomysłności władzy administracyjnej. Utrzymywanie stancji dla nauczycieli było źródłem znacznych dochodów, bo zamożniejsi rodzice, chcąc się pozbyć kłopotów i rozmaitych przykrości, połączonych z pobytem synów w gimnazjach, chętnie korzystali z tej kategorii stancji, tembardziej, że umieszczanie na takiej stancji dawało pewną gwarancję promocji i nieczepiania się takich uczniów w życiu codziennem. Ale to wogóle był ciężki i przykry kawałek chleba.

Pamiętam, taką stancję w Częstochowie miał Bronisław Grabowski nominalnie, a właściwie pani Grabowska, b. dzielna i energiczna osoba. Na tej stancji stał uczeń Dobiecki, syn ś.p. Dobieckiego, prezesa Dyrekcji Kredytowej Ziemskiej w Kielcach. Po śmierci męża pani Dobiecka wyszła za Chisticza, znanego dyplomatę serbskiego, i zamieszkała w Belgradzie, a syna oddała na stancję do p.p. Grabowskich. Uczeń Dobiecki był niesfornym chłopcem i za rozmaite figle był często karany przez wychowawcę moskala. Niedosć, że wychowawca często karał chłopca, ale i ordynarnie wymyślał mu, a słownik języka rosyjskiego obfituje w tego rodzaju wyrażenia. Zniecierpliwiony chłopiec, a przytem wychowany w tradycjach szlacheckich, ubliżył moskalowi-wychowawcy w klasie. Stąd awantura. Wychowawca zwrócił się do Grabowskiego, lecz ten odparł, że stancję utrzymuje żona i nie chciał rozmawiać. Gdy pani Grabowska dowiedziała się o tem, przyszła do gimnazjum i przy wszystkich nauczycielach w energiczny sposób wypowiedziała wychowawcy *verba veritatis*, które ten musiał schować do kieszeni, bo wobec kobiety był bezbronnym. Pani Grabowska poszła jeszcze ze skargą do dyrektora. Dyrektor zwołał sesję, anonimowo opowiedział o wypadku, bo ta sprawa tyczyła nauczyciela języka rosyjskiego, a więc osoby ważnej w gimnazjum, i stanowczo zapowiedział, że, dopóki on będzie w gimnazjum, nie ścierpi takiego postępowania z uczniami. Tutaj dodam nawiasem, że dyrektorem był wówczas Chabarow, petersburski liberał, a nie kreatura Apuchtina.

Stancje nauczycielskie naogół nie były kontrolowane, zato

prywatne podlegały ścisłej kontroli ze strony władzy gimnazjalnej. Stancje prywatne niezawsze odpowiadały nawet prymitywnym warunkom higienicznym. W jednym pokoju mieszczono tytu uczniów, ile można było ustawić łóżek; w tym samym pokoju wszyscy wspólnie przy jednym stole uczyli się i jadali. Proszę wyobrazić sobie dziesięciu tęgich chłopców z niższych i średnich klas, uczących się głośno tak, że jeden drugiego starał się przekrzyknąć. A pomimo to wszystko nauka szła. Takie stancje były często utrzymywane przez biedne wdowy, które z tego czerpały środki do życia. A jaka była opieka u takiej wdowy! Pan Bóg się nami opiekował. Ale były to stancje dla niezamożnych chłopców po 105 rb. rocznie, co się równa dzisiejszym 525 zł. pol. rocznie. Zamożniejsi uczniowie mieli większe wygody i lepsze życie.

Za idealne dla mniej zamożnych uważało się stancje u rodzin urzędniczych, bo pan domu miał pewien autorytet i opieka była większa, chociaż autorytet i opieka, utrzymującego stancję to były rzeczy względne. Uważano, że najlepszą opiekę zapewniali pedagodzy, utrzymujący stancję. W Płocku za wzorową stancję uważano stancję Bachurskiego, nauczyciela szkół powszechnych, a jednakże na tej stancji w latach 70-ych, kiedy byłem uczniem klas niższych, zdarzyła się straszna tragedia...

Nam, uczniom surowo było wzbronione latem kąpać się na otwartym miejscu w Wiśle. Ten przepis dosyć ściśle był przestrzegany przez uczniów. Wiadomem nam było, że stancja Bachurskiego wyłamywała się z tego przepisu. Donoszono o tem Bachurskiemu i przestrzegano go, ale p. B. był głuchy na to, bo często zaglądał do kieliszka. Toteż pewnego dnia w połowie czerwca zrobił się w mieście gwałt. Kilku uczniów z lamentem biegło przez ulicę i wołało pomocy. Z początku trudno się było dowiedzieć, co się stało. Gdy nareszcie dowiedziano się, że pięciu uczniów utonęło w Wiśle, w mieście powstało oburzenie i nadzwyczajny żal. Wiele osób udało się na miejsce katastrofy, ale woda uniosła topielców i dopiero w kilka dni po wypadku rybacy wyłowili ciała nieszczęśliwych. A rzecz tak się miała: ze stancji Bachurskiego 8 uczniów poszło się kąpać w Wiśle na piaski o jakąś wiorstę powyżej mostu; dlatego tak daleko, że tam nikt z przedstawicieli władzy szkolnej nigdy nie chodził. Gdy uczniowie weszli do wody, trafili na głębokie miejsce; silny prąd wody porwał ich i wszyscy zaczęli tonąć.

Trzech się uratowało, gdyż prąd poniósł ich na niedaleki piasek, a inni utonęli.

Dziwna rzecz, że gdy w 30 lat później szkoła ks. Gralewskiego robiła statkiem wycieczkę, statek w tem samem miejscu zatrzzymał się, a uczniom pozwolono się wykąpać i również tutaj nastąpiła katastrofa: dwóch czy trzech chłopców utonęło.

Rezultat tragedji stancji Bachurskiego był taki, że władza szkolna natychmiast stancję zamknęła, a Bachurskiego oddano pod sąd i, o ile pamiętam, Bachurski surowo był skazany jeszcze wówczas przez sądy polskie, bo ten przypadek miał miejsce przed 1876 rokiem. Wszystko to, co powiedziałem o stancjach prywatnych, odnosi się do prowincji.

Kiedy postanowiono otworzyć internaty, wszystkie stancje prywatne zamknięto; w drodze wyjątkowej zostawiono stancje nauczycielskie. Internaty otwierano w gmachu gimnazjalnym, o ile na to pozwalało pomieszczenie, takie internaty z punktu widzenia polskiego były bardzo niebezpieczne, bo władza szkolna w osobach dyrektora czy inspektora, którzy zawsze mieszkali w gmachu gimnazjum, z łatwością mogła odwiedzać internat i kontrolować, co się tam dzieje. Mniej niebezpieczne były internaty, mieszczące się na mieście w wynajętych lokalach. Odrazu było rzeczą wiadomą, że rusyfikacja za pomocą internatów nie da spodziewanych rezultatów dla rządu. Kierownikami internatu chciano mianować kogoś z nauczycieli Rosjan, ale żaden z nich nie chciał się zgodzić, gdyż tego rodzaju obowiązki niebardzo zgadzały się z obowiązkami nauczyciela, wymagały dużej pracy i były bardzo odpowiedzialne, zysku zaś dawały mało, a to była czuła strona pedagogów moskali. Dlatego też kierownictwo powierzano często ludziom najnieodpowiedniejszym — nauczycielom rysunków, również moskalom, którzy, jako gorzej wynagradzani, chętnie te obowiązki przyjmowali. Wyjątkowo przez parę lat kierownikiem internatu w Częstochowie był nauczyciel matematyki Neapolitański, człowiek wysokiej kultury, życzliwie usposobiony dla Polaków, który pozostawił po sobie dobre wspomnienia, a wychowawcy jego internaccy zawsze otaczali go wielką życzliwością i wdzięcznością, które zachowali do dnia dzisiejszego i na każdym kroku dają mu tego dowody. Taki kierownik miał pomocnika, również Rosjanina, którym bywał jakiś były strażnik, jakiś wojskowy i tp. Oprócz tych stałych kierowników wszyscy nauczyciele gimna-

zjum byli obowiązani do odbywania stałych dyżurów i w czasie dyżurowania do pomagania uczniom w naukach, każdy ze swej specjalności. To rozporządzenie miało na celu zachęcanie i przyciąganie kandydatów do internatu, gdyż zapełnić internat była trudna sprawa. Od zamieszkania w internacie zależało przyjęcie nowych kandydatów do gimnazjum, a szczególnie tych, którzy przenosili się z innego gimnazjum. Do prowadzenia gospodarstwa powoływano Polki i to miało duże znaczenie, gdyż szczególnie uczniowie niższych klas mieli zapewnioną kobiecą opiekę, również służba niższa: lokaje i służba kuchenna, wszyscy z małymi wyjątkami byli Polakami, ponieważ na prowincji Rosjan chętnych do zajmowania takich stanowisk nie było. Był opracowany specjalny regulamin, któremu podlegali wszyscy uczniowie: a więc były wspólne modlitwy rano i wieczorem i wspólne spacery po mieście, wycieczki poza miasto i tp. Życie w takiej masie układało się rozmaicie, co zależało od uzdolnienia i dobrych chęci gospodyni i służby. Nie było specjalnego rozporządzenia, żeby wychowawcy internatu rozmawiali ze sobą po rosyjsku, chociaż władza zachęcała i nalegała na rozmawianie po rosyjsku, dla korzyści samych wychowawców. Internaty z rozmaitych powodów nie cieszyły się popularnością ani wśród młodzieży, ani wśród społeczeństwa, toteż młodzież wszelkimi sposobami starała się unikać tej niepożądaney na naszym gruncie instytucji. Zaznaczyłem, że kierownikami byli ludzie bez żadnych kwalifikacyj wychowawczych. Nic też dziwnego, że bywały częste scysje pomiędzy kierownikami i wychowankami.

Opiszę tutaj fakt, jaki za moich czasów zdarzył się w internacie w Częstochowie. Kierownikiem internatu był niejaki Iwanow, nauczyciel rysunków, człowiek bez wykształcenia, niekulturalny i mający o sobie, jako o artyście, bardzo wysokie mniemanie, co często zaznaczał w przystępie dobrego humoru w rozmowach z wychowankami internatu. Tego tylko brakowało. Wszyscy uczniowie internaccy (tak zwykle ich nazywano) zaczęli panu wychowawcy dokuczać i wyśmiewać się z jego megalomanji. Iwanow mścił się na swoich wychowankach, szukał ich, urządzał rewizje w kufrach i walizach, szukając przeważnie polskich książek, a także tytoniu i kart do gry, bo kartograjstwo w internatach było mocno rozpowszechnione. Wśród takiego naprężenia wzajemnych stosunków internaccy uczniowie postanowili się zemścić i urządzili spisek przeciwko

Iwanowowi. O 10-ej wieczorem wszyscy uczniowie obowiązkowo musieli być w łózkach, a sam kierownik, lub jego pomocnik (zwany diad'ką) musieli to sprawdzić. Otóż pewnego dnia już przed 10-ą wszyscy uczniowie byli w łózkach, a niektórzy udawali śpiących i chrapali. Kiedy po 10-ej wychowawca z diad'ką weszli do sypialni, zaraz ze wszystkich stron, o ile na to pozwalała nocna lampka, zaczęto rzucać zgniłemi jabłkami, jajkami, książkami, butami i tp. Przerażeni tem wychowawca i diad'ka uciekli jak zwarjowani. Diad'ka schował się do ubikacji i tam się zamknął, a Iwanow wybiegł z domu, w którym mieścił się internat, biegł przez ulicę bez czapki do dyrektora i głośno krzyczał: „zabili mnie”. Chociaż to była późna pora, byli jeszcze na ulicy przechodnie. W mieście zrobił się rumor. Przybiegła policja, ale jej do internatu nie puszczono. Gdy do internatu przybył dyrektor, nie można było się dobudzić żadnego ucznia, tak wszyscy twardo „spali”. Rezultat tej awantury był smutny. Po przeprowadzeniu śledztwa wydano kilku uczniów z V, VI i VII klasy, których uważano za sprawców całej awantury. W rok czy dwa lata po tej awanturze tenże Iwanow miał drugą, która wprawdzie nie była w żadnym związku z gimnazjum, ale w swoim czasie wywołała wielką sensację nie tylko w Częstochowie, lecz nawet w całym kraju, gdyż istotnie była niezwykłą.

W międzyczasie Iwanow ożenił się z młodą i przystojną osobą, która lubiła się bawić. Nic dziwnego, że w tym domu zaczęła się zbierać młodzież rosyjska (oficerowie). Zabawy przybierały taki charakter, że Iwanow robił żonie sceny zazdrości przy gościach, a już brutalnie obchodził się z nią po ich wyjściu. To doszło do wiadomości bywających tam oficerów, którzy pewnego majowego wieczora, po obfitych libacjach, zaproponowali Iwanowowi przejażdżkę za miasto linijką. Iwanow chętnie się zgodził i we trzech pojechali. Kiedy się wszyscy znaleźli za miastem, na szosie wieluńskiej, oficerowie kazali Iwanowowi zejść i udali się rowem w pole. Tam w pewnej odległości od szosy, spotkali trzech zgóry umówionych żołnierzy, którzy na rozkaz oficerów zdjęli Iwanowowi spodnie, położyli go na trawie i dali mu ze 25 batów. Gdy rozkaz został wykonany, oficerowie kazali Iwanowowi ubrać się i iść do linijki, pozostawionej na szosie, a następnie wszyscy trzej wsiedli do niej, przyjechali do miasta i stanęli na placu przed magistratem. Tu oficerowie kazali zejść Iwanowowi i iść do domu. Gdy Iwanow uczuł się wolnym,

znowu zaczął wołać: „zabili mnie”. Epilog tej sprawy był taki, że oficerów wydano z pułku i oddano pod sąd wojenny, który ich surowo skazał, a Iwanowa przeniesiono do progimnazjum w Sandomierzu, co było dla niego degradacją. Takich wychowanców miała nasza młodzież!

Internaty istniały od 1893 r. do r. 1905, t. j. do wybuchu strajku; dla braku kandydatów musiały być zamknięte. Była to instytucja, która pozostawiła po sobie bardzo smutną pamięć u tych, którzy musieli z niej korzystać.

Wizytatorzy z Petersburga.

W czasie rządów Apuchtina odbyła się wizytacja szkół Okręgu warszawskiego przez ministra Deljanowa w r. 1891. Ta rewizja miała poważny charakter nie dlatego, że brał w niej udział minister Deljanow, lecz że uczestniczyli w niej przedstawiciele wszystkich specjalności, którzy bardzo szczegółowo badali stan nauk w wizytowanych gimnazjach. Deljanow zwiedzał prawie wszystkie gimnazja warszawskie, a potem te gimnazja, które były w miastach przy kolei Wiedeńskiej i Dąbrowskiej, a więc w Piotrkowie, Częstochowie, Kielcach i Radomiu. Naogół rewizja udała się o tyle, że nigdzie poważniejszych braków nie zauważono, a jeżeli takowe gdzie były, to przytomność i doświadczenie nauczycieli ukrywała je.

W Kielcach rewizja znalazła poważne braki w nauce w gimnazjum żeńskim. Deljanow miał mieć na ten temat rozmowę z Apuchtinem po obiedzie, który wydał na cześć ministra i jego świty dyrektor gimnazjum męskiego Ławrowskij. Na deser po obiedzie podano gruszki — płockie kalebasy, które tak zasmakowały staruszkowi, że zapomniał o rozmowie z Apuchtinem, a tylko dopytywał się, skąd wzięto taki wyborowy owoc, którego sztuka w Petersburgu kosztowałaby najmniej 3 rb. Dopytywał się, skąd gruszki pochodzą i jakim sposobem znalazły się na stole. Gdy objaśniono go, że jednemu nauczycielowi, płoczaninowi, rodzina przysłała ten specjał, kazał sobie przedstawić tego nauczyciela na stacji i podziękował mu. Apuchtin również zapamiętał tego nauczyciela i, o ile jego zaciętość moskiewska pozwalała, nawet okazał mu pewną życzliwość. Tym nauczycielem byłem ja, piszący te wspomnienia, a swoją życzliwość

Apuchtin wykazał przy mianowaniu mnie nauczycielem języka polskiego w Częstochowie.

Z pobytu Deljanowa przytoczę jeszcze jeden charakterystyczny szczegół. Kiedy Deljanow po zwiedzeniu warsz. IV gimn. męskiego opuszczał gmach, na schodach spotkał ówczesnego prefekta gimn. znanego uczonego pijara ks. Krupińskiego i zwrócił się do niego ze słowami: „ite ad pacem” (prowadź do pokoju). Ks. Krupiński zmieszał się, nic nie odpowiedział i każdy poszedł w swoją stronę.

Czasami rewizje odbywali zupełnie nieoczekiwanie wysocy urzędnicy ministerjum z Petersburga. Byli to po większej części przedstawiciele wysokiej arystokracji rosyjskiej, którzy dla poprawienia swej sytuacji finansowej otrzymywali tego rodzaju delegacje, za które pobierali duże wynagrodzenie. Taki wizytator ks. Gorczakow przyjechał do Częstochowy. W hotelu nie wiedzieli, kto to jest, więc gimnazjum nie zawiadomili. Ks. Gorczakow przyszedł do gimnazjum i, nie meldując się nikomu, wszedł do klasy, jaką spotkał, usiadł w ławce pomiędzy uczniami i przysłuchiwał się lekcji. Woźny zauważył, że wszedł jakiś obcy pan do gimnazjum, zameldował dyrektorowi, że p. Hirszman przyjechał. Był to nowomianowany nauczyciel matematyki, którego przyjazdu z Warszawy codziennie oczekiwano. Dyrektor kazał oświadczyć p. Hirszmanowi, że go oczekuje w swoim gabinecie. Lecz woźny nie mógł wykonać tego polecenia, bo nie wiedział, gdzie ten domniemany p. Hirszman znikł. Dopiero jakiś uczeń, który zauważył obcego pana wchodzącego do klasy, wskazał woźnemu, dokąd się ma udać. Woźny wszedł do klasy i zwrócił się do obcego: „p. dyrektor prosi pana do swego gabinetu”. Lecz ten udał, że nie słyszy, i woźny wrócił do dyrektora z oznajmieniem, że p. Hirszman jest na lekcji i nie chce przyjść. Dyrektor posłał woźnego po raz drugi. Wtenczas domniemany Hirszman zwrócił się do woźnego: „Powiedz panu dyrektorowi, że ks. Gorczakow prosi do siebie dyrektora”. Można sobie wyobrazić, jak te magiczne słowa podziałały na dyrektora, z jaką uniżonością zjawił się przed osobą takiego dygnitarza. Po skończonej lekcji obydwaj przyszedli do pokoju nauczycielskiego, nastąpiło przedstawienie wszystkich nauczycieli, a potem sam ks. Gorczakow opowiadał to komiczne zdarzenie i wszyscy uśmieśliśmy się serdecznie. Naturalnie rewizja odbyła się tylko dla formy i tego samego dnia się skończyła, dygnitarz zjadł dobry obiad i odjechał w znakomitym humorze.

Dymisja Apuchtina i nowy kurator.

Wśród pracy i codziennego szarego życia, urozmaiconego czasem zdarzeniami, z których niektóre opisałem, nadszedł rok 1897, fatalny dla Apuchtina. W tym roku, jak zwykle w marcu, Apuchtin pojechał do Petersburga z raportem, mającym przedstawić stan szkolnictwa w kraju. Takie urzędowe podróże odbywali także najwyżsi dygnitarze rosyjscy, a więc: gen.-gub. Hurko i szef żandarmów, sławny Brok. Trzeba wiedzieć, że ten surowy Apuchtin podczas swego pobytu w Petersburgu, trwającego zwykle cały wielki post vet. styli, poza swoimi urzędowymi obowiązkami, bawił się bardzo wesoło i bynajmniej nie przypominał surowego Apuchtina warszawskiego. Interesanci tam go też znajdowali, lecz opowiadali, że bardzo trudno było zastać go w domu. Najpewniejsze godziny do załatwienia interesów były ranne, kiedy Aleksander Lwowicz wracał z nocnych zabaw. Mówiono, że jego przyjacielem i towarzyszem zabaw był Filipow, wówczas kontroler państwa. Była to osobistość, której Apuchtin niczego nie odmawiał. Filipow miał siostrzenicę, żonę prezesa sądu okręgowego w Królestwie. Przez nią załatwiano dużo spraw, niekiedy bardzo delikatnej natury.

Kiedy u nas nikt się nie spodziewał jakiegokolwiek zmiany na stanowisku kuratora, naraz przychodzi wiadomość, że Apuchtin podał się do dymisji. Była to bardzo sensacyjna wiadomość, gdyż nikt nie znał jej przyczyny. Już przedtem niejednokrotnie chodziły wiadomości o ustąpieniu Apuchtina, oparte na nieporozumieniu między nim i Hurką na punkcie działalności Apuchtina, lecz nie sprawdzały się. Tymczasem dymisja Apuchtina stała się rzeczą pewną, gdyż mający być mianowanym warszawskim gen.-gubernatorem w miejsce chorego Hurki ks. Imeretyński za warunek przyjęcia tego stanowiska postawił usunięcie Apuchtina. Taka była geneza nieuniknionej jego dymisji. Gdy o dymisji Apuchtina przyszła wiadomość do Warszawy, powstała ogólna panika pomiędzy nauczycielami moskalami, bo byli pewni, że nastąpi zmiana systemu rusyfikacyjnego i oni stracą intratne posady. Wprost nie chciano wierzyć tej wiadomości, ogólnie bowiem sądzono, że Apuchtin do śmierci będzie zajmował swoje stanowisko. Można sobie natomiast wyobrazić, jaka radość zapawała w społeczeństwie polskim i nadzieja na lepszą przysz-

łość, gdyż ks. Imeretyńskiego poprzedzała opinia liberalnego działacza. Spodziewano się też zmiany w rządach Królestwa.

Dziwna rzecz, że po dymisji Apuchтина nic więcej o nim nie było słyhać: nie żegnano go uroczyście, nie zmuszano nas do żadnych składek na upominek dla niego, co było bardzo rozwinięte u moskali. Słowem, przepadł w niepamięci nawet swoich — sic transit gloria mundi! Opowiadają — i to jest rzeczą pewną — że Apuchтин zamieszkał w swoich donacyjnych dobrach w Grodzieńskim i tam umarł. Rzecz charakterystyczna, że Apuchтин, jako kurator, prześladował Polaków i nie dopuszczał ich do żadnych stanowisk, a jako dziedzic ziemi grodzieńskiej utrzymywał oficjalistów i całą służbę polską. Mówią również, że jest pochowany na Woli, ale nigdy nie słyszałem, żeby ciało jego było sprowadzane do Warszawy. Tu zachodzi nieporozumienie. Istotnie, na Woli jest pochowany Apuchтин. Takiego samego nazwiska był nauczyciel Instytutu głuchoniemych, zdaje się, kuzyn prawdziwego Apuchтина.

Z dymisją Apuchтина właściwie kończy się okres gwałtownej rusyfikacji. Stąd wcale nie wynika, żeby rusyfikacja i nadal nie była prowadzona w gimnazjach, tylko straciła już swój dawny niezwykle ostry charakter.

Czasy Ligina.

Razem z nominacją ks. Imeretyńskiego nastąpiła nominacja nowego kuratora Ligina, dotychczasowego prezydenta m. Odessy, który też zaraz po Wielkiej Nocy przybył do Warszawy, objął urządowanie i zaczął czyścić Królestwo od łapowników i zgnilizny moralnej. Na pierwszy ogień poszedł dyrektor gimnazjum częstochowskiego tylekrotnie wspominany przeze mnie Gejewskij, który został zwolniony 1 maja zaraz po przybyciu Ligina do Warszawy i objęciu rządów, co nigdy się w owe czasy nie praktykowało przed końcem roku szkolnego. Temu zaś łapownikowi nie pozwolono nawet skończyć roku szkolnego i przeprowadzić egzaminów maturalnych. Potem zostali zwolnieni: dobrze już nam znany dyrektor gimnazjum piotrkowskiego Rozanow, a w rok potem Kriwaksin, dyr. szkoły realnej w Warszawie, o którym muszę parę słów powiedzieć.

Kriwaksin, z wykształcenia przyrodnik, dla braku lekcyj tego przedmiotu po reformie tołstojowskiej wykładał matematykę

w gimnazjum plockiem, a potem został przeniesiony do Warszawy. Był to wyjątkowo gładki i dobrze wychowany człowiek, miał bardzo przystojną żonę i córkę, ładnie grał na fortepianie i znany był wśród Rosjan z organizacji życia towarzyskiego. Dzięki tym warunkom Kriwaksin prędko wszedł w stosunki z wybitnymi rodzinami rosyjskimi w Warszawie. W jego domu bywał naczelnik kancelarii kuratorjum Ejmont, chrześniak Apuch-tina, a syn serdecznego jego przyjaciela Ejmonta, dyrektora Instytutu Agronomicznego w Puławach. Dzięki takim stosunkom Kriwaksin został mianowany dyrektorem warszawskiej Szkoły Realnej, która w owe czasy była najmodniejszym zakładem naukowym w Warszawie. Zająwszy takie stanowisko, Kriwaksin prowadził otwarty dom, na co pensja, chociaż wysoka (30,000 zł. rocznie) z bezpłatnem mieszkaniem światłem i opałem, nie wystarczała. Trzeba było więc zyskiwać fundusz inną drogą. Znalazł się pośrednik w osobie nauczyciela religii żydowskiej. Wtedy płynęły łapówki drzwiami i oknami, tembardziej, że w ówczesnych latach Szkoła Realna stała się bardzo modna i wszyscy najzamożniejsi kupcy oraz przemysłowcy nie tylko z Warszawy, ale i z prowincji starali się za wszelką cenę tam umieszczać swoich synów. Dużo o tem mogliby powiedzieć pp. Pfeifrowie, Brunowie, Schielowie i inni. Dokładnie znam jeden epizod z czasów mojego pobytu w Częstochowie.

Jeden z tamtejszych fabrykantów Grossman nie mógł umieścić swego syna w gimnazjum częstochowskiem dla braku odpowiedniego uzdolnienia i porobił starania, żeby go umieścić w Warszawie w Szkole Realnej. W tym celu Grossman zapewnił sobie stancję u Delacroix, nauczyciela jęz. francuskiego tejże szkoły, co już było ważnym atutem. Jako Żyd łatwo odszukał pośrednika swego współwyznawcę i, pomimo wielkich trudności, jakie stanowiło procentowe ograniczenie Żydów, syn Grossmana został przyjęty do I klasy. Mówili w Częstochowie, że ta impreza kosztowała Grossmana 5000 rb. Jeżeli był przyjęty Grossman, to dłaczego miał być nie przyjęty syn drugiego fabrykanta Markusfelda, właściciela dwu fabryk, który był w tem samem położeniu w następnym roku. Tą sprawą zajęła się matka, która przywiozła syna do Warszawy i, gdy załatwiła wszystkie „przedwstępne czynności”, oświadczał jej Kriwaksin, że syn jej został przyjęty. Uszczęśliwiona matka umundurowała syna, a że było jeszcze parę dni wolnych do rozpoczęcia lekcyj, przywiozła go

do Częstochowy, ażeby go pokazać i zaimponować swoim współwyznawcom. Wśród takiej radości Markusfeldowa otrzymuje terminową depezę, żeby natychmiast przyjechała do Warszawy i widziała się z dyrektorem w sprawie syna. Kiedy Markusfeldowa przysłała do dyrektora, ten jej oświadczył, że syn jej nie może być przyjęty i że to może nastąpić dopiero za rok ze względu na jego pochodzenie żydowskie. Markusfeldowa, usłyszawszy taką decyzję, zemdliała w gabinecie dyrektora. Pośrednik chciał jej zwrócić część wpłaconego przez nią kapitału, który, jak mówili, miał wynosić 6000 rubli. Ciekawszem zaś było, dlaczego Markusfeld nie został przyjęty.

Gdy zwołano specjalną sesję w sprawie przyjęcia Żydów, dało się wyczuć, że nauczyciel języka rosyjskiego Kosorotow, kozak z pochodzenia, miał również swego kandydata, którego chciał koniecznie przeforsować. Dyrektor nie lubił konkurencji i oparł się przyjęciu tego kandydata, który w takich warunkach przepadł. Kosorotow zemścił się i nie chciał Markusfeldowi wyprowadzić odpowiedniego stopnia z języka rosyjskiego, tak że Markusfeld pozostał poza konkursem i również przepadł. Ale dyrektor odwzajemnił się Kosorotowowi, że ten w końcu roku szkolnego został przeniesiony na prowincję. Ten Kosorotow, mój kolega z Uniwersytetu Warszawskiego, miał tak wielkie zdolności lingwistyczne, że w dwa miesiące po przyjeździe z nad Donu zupełnie swobodnie władał językiem polskim w mowie i piśmie.

Tutaj wtrącę nawiasem, że pomiędzy bogatymi Żydami w Częstochowie na punkcie edukacji dzieci była największa zazdrość, przechodząca nawet w złośliwość. Na dowód tego przytoczę taki fakt. Ginsberg, syn fabrykanta, skończył politechnikę zurychską ze stopniem doktora filozofji, z czego bardzo cieszyła się uszczęśliwiona matka. Drugi zaś słuchacz z tego okresu Kon, również syn bogatych rodziców, spowodu pewnych braków w egzaminach, został zawieszony na jakiś czas i musiał czekać swego terminu. Matka ukryła ten fakt głosząc, że jej syn jest również doktorem filozofji. Gdy o tem dowiedzieli się inni współwyznawcy, nazwali go „felczerem filozofji”. Pomimo, że później Kon otrzymał doktorat, do dnia dzisiejszego wszyscy nazywają go „felczerem filozofji”.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Kriwaksina. Dopóki naczelnikiem kancelarii kuratorjum był zakochany po uszy w córce

Kriwaksina Ejmont, a kuratorem Apuchtin, wszystko się pomyślnie układało i łapownictwo w warsz. Szkole Realnej kwitło. Lecz Ejmont, człowiek żonaty, postrzelił się w wagonie i musiał opuścić swoje stanowisko, a kuratorem został, jak wiemy, Ligin. Kriwaksin szybko zorjentował się w sytuacji, że grozi mu niebezpieczeństwo, więc postanowił się zabezpieczyć. W tym celu na wakacje wynajął willę pod Petersburgiem w tej miejscowości, gdzie zwykł był zamieszkiwać ówczesny minister oświaty, a dawny kurator Okręgu warszawskiego Zenger, aby przebywając w tak bliskim sąsiedztwie, wejść w bliższe stosunki z Zengerem i w ten sposób zyskać jego względy na wypadek, gdyby Ligin przedstawił go do dymisji. Lecz to nic nie pomogło. Ligin, jako kandydat Imeretyńskiego, nie liczył się z żadnymi względami, przedstawił Kriwaksina do dymisji, którą Zenger pomimo znajomości zatwierdził. Tutaj zaznaczam, że mianowanie i zwalnianie dyrektorów gimnazjalnych w owych czasach zależało od ministra, a inspektorów i nauczycieli — od kuratora. Dyrektor w tych sprawach nie miał żadnych uprawnień, mógł tylko prosić i wyrazić swoje życzenie, a spełnienie jego życzeń zależało od opinii, jaką się cieszył u kuratora. Dzięki takiej procedurze stanowisko nauczyciela w gimnazjum było trwałe.

Walka o język polski.

W drugim roku rządów Ligina w 1898 r. zupełnie nieoczekiwanie ogłoszono rozporządzenia ministra oświaty w sprawie odmawiania modlitwy przed i po lekcjach w języku polskim. Dotychczas ta modlitwa była odmawiana po rosyjsku dla wszystkich wyznań chrześcijańskich w klasie. Za rządów Apuchtina były porozwieszane ikony (obrazy) w każdej klasie w rogu, jak jest zwyczajem u prawosławnych. W tych czasach do tego stopnia starano się uczynić zewnątrz nasz kraj prawosławnym, że nie tylko we wszystkich biurach, ale nawet na stacjach kolejowych kazano pozawieszać w rogach ikony. Z chwilą wprowadzenia odmawiania modlitwy w języku polskim dla katolików porozwieszano w klasach we właściwym miejscu obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej. Odmawianie modlitwy odbywało się w uroczysty sposób. W niektórych gimnazjach prawosławni wszystkich klas zbierali się na sali i tam modlili się, a katolicy to samo

czynili — każda klasa w swojej sali, albo też uczniowie wszystkich wyznań odmawiali modlitwę w klasie w ten sposób, że wpieryw odmawiali modlitwę prawosławni, potem katolicy, a w końcu ewangelicy po niemiecku, gdyż władza rosyjska nie uznawała ewangelików za Polaków. Tekst modlitwy dla katolików i ewangelików był ułożony przez odpowiednie władze kościelne. Sprawa języka modlitwy była pierwszym zwiastunem od wielu lat jakiegoś przebłyску naszych aspiracyj narodowych. Toteż nasza młodzież i my, nauczyciele Polacy, przyjęliśmy ten fakt z nadzwyczajną radością. Ówczesny dyrektor gimnazjum częstochowskiego Chabarow, przybyły z Petersburga, w poufnej rozmowie ze mną wyraził zdziwienie, że on wprost nie rozumie, jak można było zmuszać dzieci polskie do odmawiania modlitwy w obcym języku.

Tenże Chabarow wkrótce na sobie doświadczył dobroczynnych rządów rosyjskich. Na Boże Narodzenie 1898 r. jako nowomianowany dyrektor pojechał do Warszawy zdać sprawozdanie kuratorowi Liginowi o stanie gimnazjum. Stał w hotelu Saskim, jako najbliższym kuratorjum. Miał naznaczoną audjencję 24 grudnia, t. j. w dniu odsłonięcia pomnika Mickiewicza. Chabarow wyszedł z hotelu i, nie znając porządków warszawskiej policji, chciał przejść przez ulicę Trębacką. Lecz w tejże chwili został otoczony przez pieszą i konną policję i tak poturbowany, że musiał wrócić do numeru, żeby się oczyścić i przebrać na zapowiadzaną audjencję. Po powrocie do Częstochowy Chabarow opowiadał o tym fackie, nie mając słów dla wyrażenia swego oburzenia.

Przy tej sposobności muszę tutaj wspomnieć o składkach na pomnik Mickiewicza na terenie gimnazjum częstochowskiego. Jak wszędzie, tak i w Częstochowie kursowały listy składek na pomnik Mickiewicza. My, Polacy, nauczyciele i wogóle wszyscy mieszkańcy Częstochowy składaliśmy ofiary w mieście. Kiedy wiadomość o tem doszła do gimnazjum, zainterpelował mnie w tej sprawie jeden z nauczycieli Rosjan, dlaczego takiej listy nie przyniesiono do gimnazjum. Na drugi dzień przyniosłem listę i kilku Rosjan młodszego pokolenia dało po 2 rb., lecz starsi, jak również młodszy karjerowicze składek nie dali i na ten temat pomiędzy nauczycielami Rosjanami nastąpiła dosyć ostra wymiana słów.

Kiedy mowa o składkach, muszę wspomnieć, że ówczesne

gimnazja otrzymywały urzędowo przez kuratorjum listy składek na najrozmaitsze cele, ale pro honore domus podpisywali się zwykle dyrektor, inspektor i kilku nauczycieli. Czasami cele, na które urzędowo zbierano ofiary, a działo się to na sesjach, wprost wzbudzały, a przynajmniej powinny były wzbudzać wstręt. Gdy wznoszono w Wilnie pomnik Murawiewowi-Wiesza-tielowi, rozesłano listy na zbieranie ofiar do wszystkich instytu-cyj w całej Polsce i Rosji. Taką listę otrzymało i gimnazjum częstochowskie. Na najbliższej sesji dyrektor oznajmił, że listę daje radzie pedagogicznej do składania ofiar. Naprzód on sam podpisał się na 15 rb., następnie podsunął listę popu. Ponieważ dalej siedziało nas 3 Polaków, pop chciał nas pominąć i podał listę następnemu Rosjaninowi, który siedział za mną. Lecz jeden z nauczycieli Polaków, cofnął listę i podpisał się również na 15 rb. Trzeba wiedzieć, że w domu tego nauczyciela nieraz brak było funduszków na najpotrzebniejsze rzeczy dla rodziny. Nauczyciel ten siebie nie uważał za złego Polaka, przeciwnie chciał, że-by inni wzorowali się na nim. Chodził na wszelkie prawosławne nabożeństwa, odprawiane w gimnazjum, i przez to stawiał nas, którzy tego nie praktykowaliśmy, w dziwnie nieprzyjemnej sytu-acji wobec władzy. O opisanym przeze mnie fakcie (złożenia ofiary) nikt z nas słowa w mieście nie powiedział. Na ucztach zawsze ten nauczyciel zabierał głos i wygłaszał takie zdania: „Pa-nowie, język i religja—drobiazgi”. Chociaż byłem znacznie młod-szy, wyrobiłem sobie odrazu zdanie o tym nauczycielu, że to nie-szczęśliwy człowiek, że to specjalny okaz psychopaty i swego zdania do obecnej chwili nie zmieniłem. Rzadko spotykało się takie typy w świecie nauczycielskim.

Dążenia do pewnych ulg w szkolnictwie.

Z przyjazdem Ligina do Warszawy ożywiła się akcja, mająca na celu uzyskanie pewnych ulg w szkolnictwie, a zwłaszcza w sprawie wykładów języka polskiego w szkołach średnich b. Królestwa. Jednocześnie „Kraj”, tygodnik wydawany w Pe-tersburgu przez Spasowicza, coraz energiczniej występował w tej sprawie. Spasowicz przyjeżdżał do Warszawy, aby z miej-scowymi działaczami narodowymi, do których należeli Franci-szek Nowodworski, Jan Popławski, radca Godlewski, Roman Dmowski, Stanisław Libicki i wielu innych, naradzić się i współ-

nie wystąpić. Zredagowano memoriał w sprawie szkolnej i postanowiono go wręczyć Liginowi. O ile pamiętam, br. Kronenberg urządził u siebie raut, na który zaprosił Ligina, oraz wybitnych działaczy narodowych, którzy skorzystali z tej sposobności, ażeby Liginowi przedstawić sprawę szkolną w Polsce i wręczyć mu powyższy memoriał. Ligin odniósł się życzliwie do przedstawionej mu sprawy. Po porozumieniu się z ks. Imereżyńskim utworzył komisję dla opracowania programu języka polskiego i literatury dla średnich szkół. W skład tej komisji wchodził: Dobrowolskij, pomocnik kuratora, jako przewodniczący z urzędu, Władimirow, inspektor okręgowy, Szymanowskij, nauczyciel języka rosyjskiego w IV gimn. męskim, Teodor Wierzbowski, profesor literatury polskiej w Uniwersytecie Warszawskim i Michał Rowiński, nauczyciel warsz. Szkoły Realnej, głęboki znawca języka i literatury ojczystej. W tej komisji mieli bardzo trudne zadanie dwaj członkowie Polacy wobec nieprzejednanego stanowiska takich rusyfikatorów i działaczy apuchtinowskich, do jakich należeli Dobrowolskij i Szymanowskij, ale, wobec woli władzy wyższej, komisja opracowała program języka i literatury ojczystej, przystosowawszy go naturalnie do tej nieznacznej liczby godzin, jakie były przeznaczone na wykład polskiego (16 g. oprócz klasy wstępnej), i przedstawiła go Liginowi. Naturalnie, komisja utrzymała język rosyjski jako wykładowy, gdyż przewodniczący w tej sprawie nie dopuścił do żadnej dyskusji, pomimo że była ona energicznie podnoszona przez członków Polaków. Następnie projekt komisji z rozporządzenia Ligina został przesłany do wszystkich gimnazjów, w których był wykładany język polski dla rozpatrzenia i porobienia wniosków.

Muszę tutaj przytoczyć jako curiosum, jaki obrót wzięła sprawa rozpatrywania powyższego programu w gimn. częstochowskim. W tym celu została zwołana rada pedagogiczna, która już wtenczas (1898) składała się z większości Rosjan. Gdy rozpatrywano program wykładów w niższych klasach, najniespodziewaniej inspektor Stefanowicz (z rodu znanych rusyfikatorów apuchtinowskich) podniósł kwestję, w jakim języku (!!) ma uczeń opowiedzieć przeczytany przez niego z wypisów tekst polski i sam pierwszy na swoje pytanie odpowiedział, że naturalnie uczeń ma opowiadać po rosyjsku, ponieważ ten język jest wykładowym. Zdumiałem się na takie postawienie sprawy i w sposób bardzo energiczny zaprotestowałem przeciwko temu. Wy-

więzała się dyskusja. My, Polacy, a było nas pięciu, broniliśmy sprawy wykładu języka ojczystego. Z Rosjan tylko jeden się znalazł, który przyłączył się do nas i stanowczo nas popierał swemi argumentami. Był to nauczyciel matematyki Sergjusz Neapolitański, ożeniony z Polką, o którym już powyżej wspominałem. Lecz to nie pomagało. Wówczas użyłem takiego argumentu: wyobraźcie sobie, panowie, że Rosja dotychczas znajduje się w niewoli tatarskiej i nauczyciel języka rosyjskiego Rosjanin byłby zmuszony uczyć dzieci rosyjskiego ojczystego języka w języku tatarskim, gdyż byłby to język urzędowy. Cóż panowie powiedzielibyście na to? Za tę uwagę zostałem przywołany do porządku. Nastąpiło głosowanie. Były dwa wnioski: mój — opowiadanie przeczytanego tekstu ma się odbywać w języku polskim, i inspektora Stefanowicza — w języku rosyjskim. Za moim wnioskiem głosowało nas 5 Polaków i Rosjanin Neapolitański, za wnioskiem Stefanowicza — pozostali Rosjanie, którzy byli w znacznej większości. Sprawa zatem została przesądzona. Nie mogłem dopuścić, żeby takie curiosum doszło do ogólnej wiadomości i zgłosiłem votum separatum. Sesja się skończyła, ja poważnie zabrałem się do umotywowania wniosku. Gdy na drugi dzień przyszedłem do gimnazjum z gotowemi motywami swego wniosku, doniósł mi Szymek (zaufany woźny Polak), że dyrektor w swoim gabinecie odbywa konferencję z nauczycielami Rosjanami i w tym celu każdego z nich oddzielnie wzywa. Po tej konferencji zostałem wezwany do gabinetu dyrektora. Gdy przyszedłem i chciałem przedstawić swój wniosek, dyrektor mi oświadczył, że wniosek mój zbyteczny, gdyż niektórzy nauczyciele Rosjanie cofnęli swoje zdanie i w ten sposób sprawa opowiadania przeczytanego tekstu polskiego została załatwiona w myśl mojego wniosku, t. j. przeczytany tekst polski ma być opowiadany po polsku. Ta sprawa miała tylko teoretyczne znaczenie, gdyż ja cały wykład języka i literatury prowadziłem pomimo wszelkich przepisów stale po polsku.

Do rozpatrzenia i porobienia zmian w przesłanym przez kuratorjum programie byliśmy delegowani: ja, jako nauczyciel tego przedmiotu, i Bronisław Grabowski, jako rzeczoznawca. Po skończeniu tej pracy program z odpowiedniami uwagami został przesłany do kuratorjum. Komisja zaś warszawska, opierając się na poczynionych uwagach poszczególnych gimnazjów, opracowała swój program, który jako tymczasowy (na 3 lata) został zatwier-

dzony przez ministra oświaty i wprowadzony do szkół średnich męskich i żeńskich kuratorjum warszawskiego. Tym sposobem tylko zostało ulegalizowane to, co już konspiracyjnie oddawna czynili niektórzy nauczyciele. Ligin nie doczekał się tego, gdyż w czasie opracowywania tego programu umarł.

Ostatecznie program języka polskiego został opracowany i dopełniony w roku 1904 przez naszą komisję, w której skład wchodził: inspektor okręgowy Władimirow, jako przewodniczący, i członkowie: Bolesław Dobrowolski, nauczyciel jęz. polskiego warsz. II gimnazjum męskiego, Jan Wołyński wówczas już nauczyciel warsz. IV gimnazjum męskiego i p. Grabowska, nauczycielka jęz. polskiego warsz. II gimnazjum żeńskiego. Ten program, opracowany w ostatecznej formie, obowiązywał po zatwierdzeniu przez ministra oświaty do końca naszej niewoli t. j. do sierpnia 1915 r., przyczem od początku roku szkolnego 1906/7 urzędowo był wprowadzony do wykładu języka polskiego — język ojczysty już bez żadnych zastrzeżeń.

W r. 1899 ówczesny gen.gub. ks. Imeretyński zwiedzał Zagłębie. W powrotnej drodze zatrzymał się na parę godzin w Częstochowie. Na przyjęcie ks. Imeretyńskiego kazano nam, nauczycielom, wyjść na kolej. Tego zaszczytu dostąpili tylko wyżsi urzędnicy innych urzędów. Po wyjściu z wagonu ks. Imeretyński podchodził do każdego z nas i podawał rękę. Następnie, po zwiedzeniu cerkwi, ks. Imeretyński udał się na Jasną Górę, gdzie zachowywał się z całą godnością. Z jasnej Góry Imeretyński przybył do gimnazjum, gdzie nauczyciele i uczniowie razem zebrani oczekiwali go na sali. Tutaj ks. Imeretyński każdego z nas wypytywał, co wykłada i stosownie do odpowiedzi zamieniał kilka słów. Kiedy przystąpił do mnie i dowiedział się, że wykładam język polski, spytał czy jestem zadowolony ze swego stanowiska. Krótko odpowiedziałem: *Nie, pożądane są zasadnicze zmiany*. Ks. Imeretyński nie odpowiedział i poszedł dalej. Na zakończenie tej wizyty ks. Imeretyński oświadczył, że zwalnia wszystkich od lekcyj na dwa dni, na to uczniowie niższych i średnich klas na dany znak przez dyrektora krzyknęli „hura“, a chór uczniowski wykonał hymn: „Boże cesarza chroń“. Lecz wykonanie hymnu było tak nieudolne, że ks. Imeretyński skrzywił się i niezadowolony opuścił gmach szkolny, udał się na pociąg i odjechał wprost do Warszawy.

Można sobie wyobrazić, jaką awanturę zrobił dyrektor nauczy-

cielowi śpiewu za nieudolne wykonanie hymnu, tembardziej, że dyrektor w tym czasie starał się o przeniesienie go do Warszawy. Sprawa się wyjaśniła. Nauczyciel śpiewu był jednocześnie tak zwanym w gwarze uczniowskiej „szpiclem” (pomocnikiem gospodarza klasy). Jako taki zbyt gorliwie pełnił swoje obowiązki, donosząc władzy szkolnej o rozmaitych przekroczeniach uczniów. Uczniowie za te przekroczenia podlegali rozmaitym karom, więc postanowili się zemścić na nauczycielu śpiewu, sądzili bowiem, że tak nieudolne wykonanie hymnu przy wysokim dygnitarzu, jakim był ks. Imeretyński, pociągnie za sobą dymisję zniechwalonego nauczyciela. Tymczasem ten fakt nie pociągnął za sobą żadnych konsekwencji; nauczyciel śpiewu pozostał na swoim stanowisku, a dyrektor otrzymał awans, bo był przeniesiony do Warszawy, do gimnazjum praskiego.

Ligin był kuratorem zaledwie dwa lata, umarł bowiem na jesieni 1899 r. a na jego miejsce mianowano kuratorem warszawskiego okręgu naukowego Zengera, jak nadmieniałem (pobocznego syna Aleksandra II), profesora Uniwersytetu Warszawskiego, znakomitego znawcę Horacjusza. Był to człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu europejski, ale administrator żaden. Niby dla Polaków przychylny, lecz w praktyce tej przychylności nie wykazywał*). Przy nim to powstała sprawa języka wykładowego religii rzymsko-katolickiej na Podlasiu, o czym już wspominałem, i pomyślnie była załatwiona. Przy Zengerze były formalne bunt w niektórych gimnazjach powodu obchodów jubileuszów niektórych uczonych i poetów rosyjskich nam, Polakom, wybitnie niechętnych.

W dniu 26 lutego vet. styli 1902 r. z polecenia wyższej władzy wszystkie gimnazja obchodziły 50-lecie śmierci Hohola, a 23 kwietnia tegoż roku — 50-lecie śmierci Żukowskiego. W te dni lekcje nie odbywały się, a wieczorem były urządzane akademje literackie na cześć zmarłych. Szczególniej silny protest wywołał ze strony naszej młodzieży obchód na cześć Hohola. Znane mi są fakty takiego protestu w gimnazjach płockim i warszawskim II męskim, który się wyraził w ostrej formie. Uczniowie wyższych klas opuścili salę aktową podczas odbywającej się

*) Zenger miał żal do Polaków, że nie mógł wygłosić mowy pogrzebowej po śmierci znanego historyka, profesora Uniwersytetu Warszawskiego Adolfa Pawińskiego. Rodzina, chcąc uniknąć mowy rosyjskiej na pogrzebie, oświadczyła, że nie życzy sobie żadnych mów. Tak też było. Od tego czasu żaden z Rosjan nie występował z podobną propozycją.

akademii, porozlewali na korytarzach cuchnący płyn i powybijali szyby w gmachu szkolnym. Rzecz dotychczas niebywała. Awantura stała się bardzo głośna, tembardziej, że takie fakty chociaż w mniejszych rozmiarach miały miejsce i w innych miastach. Przeprowadzono surowe śledztwo, odnaleziono winnych i wydano ich z gimnazjum na zasadzie 17 punktu, t. j. bez prawa wstępu do gimnazjum w tem samym mieście. Toteż niektórzy z wydalonych nawet roku nie stracili, gdyż jako eksterni zdali matury w innych miastach. Najwięcej może na tem ucierpiał dyrektor II gimnazjum, u którego stała się ta wielka awantura. Tym dyrektorem był Chabarow, osobistość dobrze znana z mego opowiadania, petersburski liberał, a przez to nielubiany przez warszawskich dygnitarzy, otaczających Zengera. Na nieszczęście Chabarowa Zenger w tym czasie opuścił swoje stanowisko warszawskiego kuratora i został mianowany vice-ministrem oświaty, a okręgiem czasowo zarządzali inspektorzy okręgowi Władimirow i Ochremenko. Ci właśnie działacze z czasów Apuchtina postanowili wygryźć Chabarowa z Warszawy i przenieść go na prowincję do Piotrkowa. Tę sprawę Władimirow i Ochremenko przeprowadzili w tak wielkiej tajemnicy, że absolutnie nikt o tem w okręgu nie wiedział, a sam Chabarow dowiedział się o swoim przeniesieniu z „Kurjera Warszawskiego“, który mu zwykle podawano jeszcze do łóżka, gdy popijał herbatę i palił pierwszego papierosa. Ówczesny „Kurjer“ w drodze telegraficznej otrzymywał wiadomości z Petersburga o zaszyłych nominacjach na wyższe stanowiska w Królestwie i takowe drukował zwykle w rannem wydaniu. Dlatego też bardzo wielu Rosjan prenumerowało „Kurjer“, gdyż z tego źródła mieli prędzej wiadomości, niż drogą urzędową.

Fakty, jakie zaszyły w niektórych gimnazjach, przerażały wielu „istinnych Rosjan“, którzy dobrze pamiętali czasy apuchtinowskie i ubolewali nad tem, że z ustąpieniem Apuchtina nastąpiło rozluźnienie subordynacji i z tego powodu stawiali niewesołe horoskopy dla sprawy rosyjskiej w naszym kraju. Mieli zupełną rację pod tym względem, a my, Polacy, dobrze o tem wiedzieliśmy i w duszy żywiliśmy najśmielsze nadzieje, że doczekamy się szkoły polskiej państwowej.

W tym czasie wybuchła wojna japońska. Wszystkim znane są nastroje, jakie spoczątku panowały wśród Rosjan. „Zarzucimy ich czapkami“, mówili oni. Dopiero, gdy sprawa oręża rosyjskiego

od początku wojny tak stanęła fatalnie, Rosjanie mocno spuścili z tonu, a my, Polacy, podnieśliśmy uszy do góry. W Częstochowie mieliśmy pewne wiadomości z pierwszego źródła, bo wielu z nas prenumerowało gazety niemieckie, które bez cenzury otrzymywaliśmy codziennie przez pograniczną komorę Herby. Toteż Rosjanie częstochowscy mówili: „Poco mamy czytać gazety, dla nas wystarczy, jeżeli wyjdziemy na ulicę i zaczniemy obserwować Polaków; jeżeli oni mają dobre miny, to naszych biją”. A wówczas zawsze mieliśmy dobre miny, bo „naszych” dobrze bili.

Nominacja i działalność Szwarca.

Przed wybuchem wojny japońskiej w r. 1903 został mianowany kuratorem warszawskim Szwarz, proferor literatury rzymskiej Uniwersytetu Moskiewskiego, osobistość b. znana w historii szkolnictwa w naszym kraju, gdyż przy nim wybuchł i został przeprowadzony strajk szkolny. Był to człowiek bardzo niezależnego zdania i nadzwyczaj arbitralny. Swoich podwładnych trzymał w przyzwitoj odległości od siebie i w wyrażeniach był uszczypliwy. Zwłaszcza krótko trzymał Rosjan, bo Polaków pozostała za ledwie nieznaczna garstka, wielu bowiem starszych ludzi powymierało, a nowych żaden kurator nie mianował. Dla podwładnych prawie był niedostępny. Kto miał do niego interes, musiał się ściśle trzymać terminów, t. j. dni przyjęć, kiedy taki Apuchtin „swoich ludzi” przyjmował o każdej porze. Na dowód tego, jak Szwarz przyjmował i traktował dyrektorów gimnazjów, przytoczę następujący fakt. Przy kuratorze była rada kuratorska, którą stanowili najwyżsi przedstawiciele hierarchji szkolnej: niektórzy profesorowie uniwersytetu wydziałów filologicznego i matematycznego i dyrektorzy gimnazjów z wyboru kuratora. Takie posiedzenia rady odbywały się b. poważnie, nikt w obecności kuratora nie śmiał się odezwać. Toteż razu pewnego, gdy dyrektor Szwaczka zaczął rozmawiać ze swoim sąsiadem, Szwarz na cały głos odezwał się: „Panie Szwaczka, proszę nie rozmawiać”. Ten sam Szwaczka znany był ze swoich komicznych zajęć w mieście. Kiedy jako student przyjechał z Nieżyna do Warszawy do uniwersytetu, poszedł szukać mieszkania z kolegą, który już od roku mieszkał w Warszawie i mógł się porozumieć po polsku. Obydwaj przyszli do jakiejś starszej osoby, która miała pokój do wynajęcia.

Kiedy rozmowa o wynajęcie pokoju miała się już ku końcowi, kolega oświadczył, że będzie mieszkał razem ze Szwaczką. Pani, wynajmująca pokój, za nic nie chciała się zgodzić. Nie pomogły przekonywania, że Szwaczka to nazwisko obecnego kolegi. „Znam ja takich kolegów”, odrzekła gospodyni, i pokoju nie wynajęła. Nadomiar złego, gdy obydwaj koledzy wychodzili, zastali drzwi prowadzące na schody automatycznie zamknięte i nie umieli sobie otworzyć. Pokładaliśmy się ze śmiechu my, koledzy tych panów, gdy nam o tych przygodach opowiadali.

O nietakcie Szwarca i jego brutalności jako kuratora niech świadczy następujący fakt. Wkrótce po swojej nominacji Szwarz zaczął wizytować warszawskie i prowincjonalne gimnazja. Przybył on też w listopadzie 1904 r. na wizytację gimnazjum częstochowskiego. Jako klasyk specjalnie wizytował lekcję łaciny, którą wykładał prof. Wigurski. Jak zwykle w takich razach prof. Wigurski zapoznał kuratora z treścią lekcji i czekał jego decyzji. Szwarz polecił dalej prowadzić lekcję, a sam uważnie się przysłuchiwał. Uczniowie tłumaczyli mowę Cicerona „in Catilinam”. Lekcja szła bardzo kulawo, lecz Szwarz się nie wtrącał. Dopiero, gdy jeden z uczniów, czytając tekst łaciński, postawił dobrze akcent nad wyrazem *revérti*, a Wigurski poprawił go i postawił akcent na pierwszej sylabie — *réverti* — Szwarz się odezwał, że uczeń dobrze akcentował wyraz *revérti* i, zwracając się do Wigurskiego, kazał mu wytłumaczyć, dlaczego trzeba czytać *revérti* a nie *réverti*. I tutaj nastąpiła katastrofa. Wigurski nie umiał tego objaśnić. Wówczas Szwarz wstał, objaśnił uczniom odpowiednie правило i sam do końca lekcji egzaminował uczniów. Z tego przekonał się, że uczniowie bardzo mało byli zaawansowani w łacinie i po skończonej lekcji odezwał się w te słowa do uczniów: „*Nie dziwię się, że wy nic nie umiecie, bo i wasz nauczyciel nie wiele więcej od was umie*”. Obydwaj z dyrektorem poszli do gabinetu i Szwarz oświadczył, że Wigurskiego przeniesie do progimnazjum, co byłoby dla niego degradacją, połączoną ze stratą materialną, gdyż Wigurski za dwa lata kończył swoją służbę i miał wyjść do emerytury. Ledwie dyrektor uprosił Szwarca, żeby tego nie czynił, gdyż to byłoby wielką krzywdą dla Wigurskiego na stare lata. Szwarz przychylił się do tej prośby i pozostawił Wigurskiego na miejscu. Po powrocie do Warszawy Szwarz opowiadał na radzie kuratorskiej, że nigdy jeszcze nie widział takiej menażerji, jak w Częstochowie (zupełnie autentyczne).

W tym czasie 1904 r. zawakowała posada nauczyciela języka polskiego w Warszawskim IV gimnazjum męskim, gdyż od niedawna, zajmujący tę posadę młody lingwista polski i współredaktor „Słownika Polskiego” Taczanowski, zginął na wojnie japońskiej. Ponieważ mojem marzeniem było przenieść się do Warszawy, postanowiłem starać się o to miejsce. Pod pozorem załatwienia jakiegoś interesu, wziąłem urlop i udałem się do Warszawy. W dniu przyjęć przybyłem do kuratorjum, żeby Szwarcowi osobiście przedstawić swoją prośbę. Na sali już było dużo interesantów. Przez dyżurnego urzędnika prosiłem o oddzielną audjencję, lecz Szwarc odmówił i nawet wogóle nie chciał mnie przyjąć, gdyż dla osób pozostających na służbie, był przeznaczony inny dzień. Ustąpił tylko dlatego, że przyjechałem z prowincji. O tej audjencji piszę nieco szczegółów, gdyż dadzą one pewną charakterystykę tego satrapy.

Po wyjściu z gabinetu na salę przyjęć, Szwarc kolejno podchodził do każdego interesanta i pytał, w jakiej przybywa sprawie. Pierwszym był jakiś kierownik gimnazjum żeńskiego z prowincji, który się żalił na przełożoną, że pozwala nosić uczennicom spódnice nie podług przepisów. Szwarc ironicznie zmierzył go od stóp do głów i krótko powiedział: *„O tem, jakie spódnice mają nosić uczennice, niech decyduje przełożona, a pan zajmuj się sprawą naukową”*. Wobec takiej decyzji niefortunny kierownik śpiesznie opuścił salę. Następnie jakaś młoda nauczycielka, przybyła z Rosji na posadę, prosiła Szwarca, żeby wyjaśnił jej, z jakich przywilejów ona, jako Rosjanka, będzie korzystała w naszym kraju. Szwarc, nieco poirytowany, rzekł: *„Proszę pani, nie poto urządzam przyjęcia, żebym na nich miał zajmować się takimi drobiazgami. W tej sprawie najlepiej panią poinformuje bezpośredni zwierzchnik i zbiór praw”*. Audjencja skończona. Następnym interesantem był mieszczanin z Pyzdr (w Kaliskiem). Trzymał w ręku jakiś papier i w te słowa odezwał się po polsku: *„Jaśnie Panie, mój synek podobno, jak tu stoi w tym papierku, nie „wytrzymał” jakiegoś konkursu i nie został przyjęty do gimnazjum. Ja się na tem nie znam, ale chcę, żeby mój chłopak został księdzem i na ten cel sprzedam ostatnie bydło z obory. Słyszałem, że Jaśnie Pan kocha swoje dzieciaki, więc przybyłem, żeby go prosić o pomoc”*. Szwarc wziął papier, przeczytał, pokiwał głową i zaczął interesanta przekonywać, że miejsc niema i że dy-

rektor postąpił zupełnie prawidłowo. Lecz obywatel z Pyzdr nie ustępował i bardzo serdecznie prosił. Wtenczas Szwarc wyjął swój bilet wizytowy, kazał dyżurnemu urzędnikowi podać sobie pióro i na bilecie skreślił parę słów. Podając ten bilet obywatelowi z Pyzdr rzekł: *„Niech Pan odda ten bilet dyrektorowi, a syn pański będzie przyjęty poza konkursem”*. Ale obywatel z Pyzdr nie rozumiał tej decyzji. Widząc to, Szwarc zwrócił się do obok stojącej interesantki (Polki) z prośbą, żeby po polsku wytłumaczyła treść jego decyzji. Lecz i ta pani nie rozumiała dobrze po rosyjsku i wręcz przeciwnie przetłumaczyła, że syn nie może być przyjęty spowodu konkursu. Szwarc rozumiał błędne przetłumaczenie tej pani i powiedział, że po polsku rozumie, ale mówić nie może. Wtedy prosiłem kuratora, żeby pozwolił mi wyjaśnić sprawę. Szwarc pozwolił, więc wyjaśniłem obywatelowi z Pyzdr, że p. Kurator wysłuchał jego prośby. Ten uszczęśliwiony rzekł: *„Bóg zapłać Jaśnie Panu, dopiero się ucieszy moja stara, że nasz syn będzie księdzem”*. Nisko się uklonił i wyszedł.

Teraz przyszła moja kolej. Przedstawiłem krótko moją prośbę, że proszę o przeniesienie mnie na nauczyciela jęz. polskiego do IV gimnazjum męskiego w Warszawie. Z tego wywiązała się następująca rozmowa.

— *Ja na to miejsce mianowałem już kogo innego.*

— *Ekscelencja może powstrzymać swoją decyzję i zmienić ją.*

— *Dlaczego ja mam zmieniać swoją decyzję?*

— *Ekscelencja wie, że ja, jako Polak i katolik, jestem pozbawiony wszelkiego awansu, a każdy człowiek za swoją pracę wymaga pewnej nagrody. Otóż dla mnie przeniesienie do Warszawy będzie taką nagrodą za przeszłą pracę i zachętą na przyszłość. O zmianę jego decyzji dlatego proszę Ekscelencję, że ja, mieszkając na prowincji, nie mogę w swoim czasie przedstawić swojej prośby i zawsze ktoś z Warszawy może mnie ubiec.*

— *Dlaczego wy wszyscy dążycie do Warszawy?*

— *Tej zasady nie może Ekscelencja zastosować do mnie, gdyż, ja, po skończeniu uniwersytetu, pojechałem tam, dokąd mnie władza posłała. Obecnie zbliża się ta chwila, że muszę kształcić swoje córki. W Częstochowie niema gimnazjum*

żeńskiego, a jako nauczyciel języka polskiego nie mam środków, aby je posłać do innego miasta.

— W Częstochowie będzie otwarte gimnazjum żeńskie.

— Zamim w Częstochowie gimnazjum będzie otwarte, moje córki nie będą go już potrzebowały. Wreszcie, Ekszelencjo, ostatnim, bardzo ważnym dla mnie motywem przeniesienia do Warszawy, jest ten, że moja żona jest warszawianką, tutaj ma całą rodzinę i, po siedmiu latach pobytu na prowincji, pragnęłaby znowu wrocić do Warszawy i znaleźć się wśród swojej rodziny.

— *Panie profesorze* (w stosunkach rosyjskich taki zwrot zakrawał na ironję), *pan dobrze broni swojej sprawy, postaram się spełnić pańską prośbę. Niech pan wraca do Częstochowy i powinszuje swojej żonie przeniesienia do Warszawy, a pan panie urzędniku, zaraz po skończonem przyjęciu przedstawi mi sprawę mianowania nauczyciela języka polskiego w IV gimnazjum dla zmiany mojej decyzji.*

Podziękowałem i chwilkę zatrzymałem się, gdyż nie wypadało mi, jako urzędnikowi, wychodzić i przeszkadzać podczas przyjęcia. Dzięki temu byłem świadkiem bardzo drażliwej sprawy. Zwróciła się do Szwarca jakaś młoda i bardzo elegancka dama o wyglądzie semickim i prosiła o przyjęcie jej syna poza konkursem. Szwarz spojrzął na damę i spytał, jakiego wyznania jest jej syn. Gdy usłyszał, że jest Żydem, stanowczo powiedział, że dla Żydów niema miejsc i zaczął rozmawiać z następnym interesantem. Dama zaś głośno powiedziała: „*Taką decyzję może wydać tylko ten, kto z Żydów pochodzi*”, odwróciła się i, szleszcząc jedwabiami, opuściła salę. Szwarz napozór bynajmniej się tem nie zdetonował i dalej przyjmował interesantów.

Czy Szwarz pochodził z Żydów, nie wiem, ale że w Moskwie łączyły go zbyt bliskie stosunki z Żydówką, było faktem stwierdzonym. Z tego nielegalnego związku miał syna, którego sprowadził do Warszawy i mianował naczelnikiem kancelarii okręgu naukowego. Był to sławny Agranowski, któremu się należy specjalne wspomnienie.

Po audjencji u Szwarca, około godz. 7-ej wieczorem, udałem się do hotelu. Tam jak nieżywy leżałem do godz. 12 w nocy t. j. do odejścia pociągu do Częstochowy, nie mogłem przełknąć nawet łyżeczki herbaty, takie czułem zdenerwowanie i przemę-



Grupa nauczycieli Warszawskiego IV gimn. męskiego w r. 1905.

I rząd: Własow, Neroux, Lebediew, Trocewicz, Tarasiuk, Wilow, Peltyn, Dementjew, Worobjew (sekr.).
 II rząd: Błagowieszczeńskij, Michalski (insp.), pop Hołskiewicz, Kościński (dyr.), ks. Perkowski, Wołyński,
 Aleksiejew (poseł mniejszości), Teodorowicz.

czenie. O mojej odbytej batalji wieść się rozniosła po całej Warszawie.

W 2 tygodnie po audjencji objąłem swoje nowe obowiązki w IV gimnazjum. Było zwyczajem, że nowomianownny nauczyciel musiał osobiście podziękować kuratorowi za swoją nominację. Tak też i uczyniłem. Gdy nadszedł dzień przyjąć, przeznaczony specjalnie dla osób, pozostających na służbie, odpowiednio ubrawszy się, a właściwie udekorowawszy się, przybyłem na salę, gdzie już byli zebrani: rektor uniwersytetu, profesorowie, dyrektorowie i inspektorzy gimnazjów, a z nauczycieli byłem ja i moja znajoma nauczycielka języka polskiego gimnazjum żeńskiego p. Zadarnowska. Trzeba było widzieć tych dygnitarzy szkolnych, tak wielkich na swoich stanowiskach, często nieprzystępnych i opryskliwych, a nawet brutalnych dla rodziców uczniów, jak oni się tutaj pokornie zachowywali, czekając na wyjście z gabinetu Jego Ekscelencji. Tem więcej z pewnem niezadowolaniem przyglądali się mnie, jakiemuś małemu pionkowi, nauczycielowi jęz. polskiego, że swobodnie spacerowałem po pokoju i rozmawiałem z p. Zadarnowską po polsku. Nareszcie z gabinetu wyszedł dyżurny urzędnik i kolejno prosił do gabinetu jego eksc. naprzód rektora i profesorów uniwersytetu. Kiedy się skończyła audjencja tych dygnitarzy, Szwarc wyszedł na salę, podszedł do mnie pierwszego i powiedział: „*A co! przyrzekłem i zrobiłem*”. Ja mu odpowiedziałem: „*Z całego serca w imieniu swoim i rodziny dziękuję waszej eksc. za przeniesienie i awans. Wprawdzie pańscy poprzednicy obiecywali mi, ale słowa nie dotrzymali, od tej zatem chwili nauczyłem się cenić kuratorskie słowo*”. Szwarc życzył mi powodzenia na nowem stanowisku. Audjencja skończyła się. Nigdy więcej już nie byłem u Szwarca, a on, widząc się z moim nowym dyrektorem, powiedział mu, żeby zwracał na mnie uwagę, gdyż to „*zubastyj gospodin*” (b. wymowny pan).

Muszę tutaj koniecznie wspomnieć, że Szwarc w życiu prywatnem nie był szczęśliwy: miał dwie córki, koniecznie chciał je wydać za swoich podwładnych, lecz pomimo, że otaczał się na wyższych stanowiskach kawalerami i awansował ich, żeby sobie przygotować zięciów, nie udawało mu się to. Tem się tłumaczy wyjątkowe stanowisko inspektora okręgowego (wizytatora) Władimirowa, który przy Szwarcu miał wielkie wpływy, a mimo to z córką się nie ożenił. Wtenczas zaczął bywać w do-

mu Szwarca niejaki Górski, którego ojciec dla kariery przyjął prawosławie. Otóż ten Górski został zięciem Szwarca i sprawiał w swoim czasie teściowi dużo przykrości. Górski, jako hulaka, potrzebował sporo pieniędzy i à conto teścia robił duże nadużycia: wyrabiał posady nauczycielskie, ułatwiał przyjęcia kandydatów do gimnazjów i przeprowadzał inne sprawy zależne od teścia, a ci, od których to zależało, ułatwiali Górskiemu jego działalność, nie chcieli bowiem narazić się kuratorowi. Naturalnie Górski za wszystko brał grube łapówki. Lecz sprawki kuratorskiego zięcia wydały się. Szwarc przez stosunki wyrobił Górskiemu posadę w sądownictwie w Rosji. Tym sposobem uwolnił się od kompromitacji. Była to w swoim czasie wielka awantura, bo nawet w sferach rosyjskich zaczęto mówić, że i Szwarc w tych sprawach brał udział, ale te podejrzenia okazały się z gruntu fałszywymi.

Działalność Szwarca, jako kuratora, zaznaczyła się przed strajkiem dla naszego kraju nadzwyczaj doniosłym faktem, z którego ówczesne społeczeństwo nie zdawało sobie sprawy. Przed strajkiem prywatne szkolnictwo średnie męskie jakby nie istniało, gdyż redukowało się do kilku szkół w kraju, więc garstka nauczycieli prywatnych zupełnie wystarczała. Wreszcie byli to nauczyciele lub nauczycielki, którzy pokończyli rządowe gimnazja, mieli wymagany przez rząd cenzus naukowy dla uzyskania t. zw. świadectw nauczycieli domowych, dających prawo nauczania w szkołach prywatnych w czterech klasach niższych. Rzecz się zupełnie inaczej przedstawiała z tymi kandydatami na nauczycieli, którzy nie mieli matury. Otóż tacy kandydaci lub kandydatki, oprócz egzaminu ze specjalnie przez siebie obranego przedmiotu, musieli zawsze zdawać egzamin z języka rosyjskiego z pełnego kursu 8 klasowego męskiego gimnazjum, co stanowiło nieraz nieprzewyciężone trudności wobec ówczesnych wprost monstrualnych wymagań. Było to bezprawie, wprowadzone w swoim czasie przez Apuchтина, bo odpowiednie przepisy ministerjalne, najwyżej zatwierdzone dla całego państwa, a więc i dla naszego kraju, od tego rodzaju kandydatów wymagały znajomości języka rosyjskiego tylko w zakresie 4-ch klas. co stanowiło kolosalną różnicę. Nie wiem, z jakich pobudek, ale wkrótce po objęciu władzy Szwarc wydał okólnik (cyrkularz, jak się wówczas mówiło) do wszystkich władz szkolnych, w którym „Warszawski Okręg Naukowy” zrównał z całym imperjum ro-

syjskiem w sprawie wymagań znajomości języka rosyjskiego od kandydatów, zdających egzamin w celu uzyskania świadectwa domowego nauczyciela z danego przedmiotu. Niniejsze rozporządzenie znakomicie ułatwiło zdobywanie tego rodzaju świadectw w czasach strajkowych kandydatom, kończącym szkoły prywatne polskie, w których język rosyjski dla zupełnie zrozumiałych powodów nie mógł i nie powinien być postawiony na tak wysokim stopniu, jak w szkołach rządowych.

Drugim czynnem Szwarca była zmiana zasady dotychczasowych kuratorów, pod żadnym pozorem niedopuszczania nauczycieli-Polaków do zajmowania posad nauczycielskich w rządowych gimnazjach. Apuchtin od 1884 do 1897 r. t. j. do swojej dymisji nie odstępował od tej zasady. Ligin zbyt krótko był kuratorem, a Zenger, pomimo że nieomal płakał nad naszym losem, wszystko obiecywał, a gdy znalazł się w swoim gabinecie, również nie odstępował od tej zasady i podpisywał nawet wrogie rozporządzenia dla naszego kraju. Szwarc zaczął jeszcze przed strajkiem mianować Polaków na posady nauczycieli matematyki i języków starożytnych. Oprócz tego Szwarc wydał rozporządzenie w sprawie wypracowań maturalnych z języka rosyjskiego.

Jak już nieraz nadmieniałem, wymagania co do powyższych wypracowań były nadmierne. Żądano bowiem od uczniów kl. VIII literackiego wykończenia prac, ażeby w tych pracach nie było ani błędów stylistycznych, jak również nie wolno było używać polonizmów. Szwarc wydał okólnik, w którym uznał jednak, że używanie polonizmów przez Polaków maturzystów w ich wypracowaniach może tylko obniżyć wartość wypracowania, ale nigdy nie może wpływać na niedostateczną ocenę. Kardynalnym warunkiem dla otrzymania dostatecznej oceny z maturalnego wypracowania rosyjskiego musiało być prawidłowe używanie znaków pisarskich i ortografii bez zarzutu. To rozporządzenie nie miało już praktycznego zastosowania dla maturzystów gimnazjów, gdyż wkrótce wybuchł strajk.

Czy Szwarc otrzymał pod tym względem jakąś wskazówkę z Petersburga, czy to wynikało z jego samodzielnego charakteru — nieliczenia się z nikim i z niczem, czy też na tę zmianę wpłynęła jeszcze i ta okoliczność, że w tym czasie okazał się duży brak sił nauczycielskich, sprawa nie została wyjaśniona. My, Polacy, objaśnialiśmy ten fakt tem, że jednocześnie agito-

wała się sprawa unitów i aktu tolerancyjnego, który urzędowo dopiero był ogłoszony w kwietniu 1906 roku. Nigdy nie zapomnę, gdy po ogłoszeniu tego aktu spotkał mnie dyrektor Kościński, jeden z najprzychylniejszych Rosjan owych czasów, i prawie ze łzami w oczach z radości rzekł do mnie: „*Jak jestem szczęśliwy, że ta hańba Rosji (sprawa unicka) nareszcie została uregulowana*”.

Represje i dręczenia młodzieży.

Obecnie wypada mi powiedzieć o tych represjach i udręczeniach, jakim podlegaliśmy my, uczniowie, pobierający naukę w gimnazjach rządowych w owych czasach. Zacznę od tego, ile kosztowało starań, zachodów, a często i pieniędzy, żeby ulokować syna w gimnazjum. W latach 70-ych, po wprowadzeniu języka wykładowego rosyjskiego do gimnazjum, dostanie się ucznia Polaka do gimnazjum z każdym rokiem stawało się trudniejsze z trzech przyczyn: 1. liczba szkół średnich została zmniejszona, zamknięte bowiem zostały szkoły wydziałowe, których było w każdej gubernji od 2 do 3, pozostawiono tylko w mieście gubernjalnem jedno gimnazjum i kilka progimnazjów, jakoto: w Pułtusk, Pińczowie, Sandomierzu i specjalnie dla b. unitów w Hrubieszowie i Zamościu. 2. Od kandydatów do klasy wstępnej wymagano znajomości języka rosyjskiego w słowie i piśmie, przyczem skala wymagań była tak wielka, że tylko dzieci rodziców zamożniejszych przy pomocy nauczycieli specjalistów, naturalnie za wysokie wynagrodzenie, mogły zdawać ten trudny egzamin i dostać się do gimnazjum. 3. Z biegiem lat, w miarę postępów rusyfikacji w kraju i ściśle związanego z tem stałego powiększania się urzędników Rosjan, kandydatom Polakom coraz trudniej było dostać się do gimnazjum. Toteż t. zw. wstępny egzamin do gimnazjum, który się odbywał przez długie lata w połowie sierpnia, w każdym mieście gimnazjalnem był naprawdę sądnym dniem dla młodzieży polskiej i ich rodziców. Często dochodziło do takich smutnych faktów, że rodzice, chcąc żeby ich dzieci były wyćwiczone do egzaminu w języku rosyjskim, przestawali je uczyć języka ojczystego, żeby nie psuć im „udarieni” (akcentu), co zwłaszcza bardzo często zdarzało się u Żydów. Lecz nie wystarczało dosyć dobrze przygotować

dzieci do egzaminów, ale trzeba było jeszcze zapewnić im protekcję, gdyż wszyscy dobrze wiemy, w jakim psychicznym nastroju znajduje się każdy egzaminowany, a zwłaszcza dziecko, któremu niepotrzebnie kładziono w głowę, że ma zdać dobrze, bo to jest egzamin konkursowy. Tak rzeczywiście było. Zdarzały się takie wypadki, że o jedno miejsce walczyło nieraz pięciu i więcej kandydatów. Należy wiedzieć, że kandydaci Rosjanie wszyscy byli przyjmowani, a Polakom pozostawało 2/3, a czasami i mniej miejsc w klasie. Toteż w każdym mieście, głównie za czasów Apuchtina, byli specjaliści, którzy zajmowali się umieszczaniem kandydatów w gimnazjach. Takimi pośrednikami byli przeważnie Żydzi i to ci, którzy zajmowali się handlem i dostarczali do domów panów dyrektorów, inspektorów i innych nauczycieli produkty spożywcze, bo przy tych operacjach handlowych bardzo łatwo mogli wejść w bliższe stosunki z panią domu, a ta już wiedziała, jaki bieg nadać sprawie u swego męża. Na poparcie tego wspomnę głośny w swoim czasie fakt, w jaki sposób było łatwo przeprowadzić niejedną sprawę przez żonę dyrektora VI gimnazjum męskiego w Warszawie—Elmanowicza, Wierę Michajłownę. Ta pani dyrektorowa była osobą o bardzo ordynarnym wyglądzie i znaną plotkarką wśród towarzystwa rosyjskiego, a jednocześnie chciała odgrywać rolę wielkiej patriotki rosyjskiej i rusyfikatorki i z tego powodu pewnego razu spotkała ją zasłużona kara.

Było to w r. 1904, podczas wojny japońskiej. W Ciechocinku na jednej z ławek w parku siedziała p. Elmanowiczowa z jakąś drugą damą i prowadziła z nią bardzo żywą rozmowę. Wówczas przechodziłem i p. Elmanowiczowa zaproponowała mi, żebym z niemi usiadł. Chętnie to uczyniłem, chociaż nie lubiłem jej, ale szukałem sposobności, żeby w jaki sposób jej dokuczyć, gdyż kiedyś oskarżyła mnie przed swoim mężem, a moim nauczycielem. Rozmowa potoczyła się o wojnie i p. E. zaczęła dowodzić, że Rosjanie tak sromotnie przegrywają, ponieważ inżynierowie polscy umyślnie źle pobudowali kolej syberyjską, żeby rząd rosyjski nie mógł przesłać na daleki wschód dostatecznej ilości wojska. Wówczas towarzyszka nasza zabrała głos i opowiedziała następujący fakt: „Przed kilku miesiącami znalazłam się w klubie oficerskim w jednym z miast na południu Rosji, gdzie kilku oficerów w mojej obecności, rozprawiając o toczącej się wojnie, pozwoliło sobie wyrazić się o Polakach w wysoce

niewłaściwy sposób. Usłyszawszy tę rozmowę, krótko powiedziałam: „milczeć”, gdyż jestem żoną waszego dowódcy pułku i przytem Polką. Oficerowie zaprzestali rozmowy i cicho wynieśli się z klubu. Ja zaś krótko dodałam: „Wiera Michajłowna, powinna pani wiedzieć, że bardzo wielu Rosjan, zajmujących wybitne stanowiska w naszym kraju i noszących wysokie tytuły nigdyby do tego nie doszło, gdyby nie istnieli Polacy, bo wówczas musieliby pozostać w Rosji i pełnić właściwe sobie funkcje”. Po tak cierpkiej rozmowie wszyscy rozeszliśmy się i przez szereg lat nie byłem „zaszczycony” rozmową z p. Elmanowiczową. Lecz po upływie kilku lat — *mirabile dictu* — ta rusyfikatorka przyszła do mnie z córką i prosiła dla niej o lekcje języka polskiego, gdyż bez znajomości tego przedmiotu córka nie mogła otrzymać odpowiedniego świadectwa na Bestużewskich Kursach w Petersburgu. Lekcje dawałem, lecz żadnego wynagrodzenia przyjmując nie chciałem.

W innych gimnazjach pośrednikami między dyrektorami i rodzicami byli, jak wyżej zaznaczyłem, Żydzi, nauczyciele religii tego wyznania lub nauczyciele klas wstępnych. Ci zajmowali się przygotowywaniem kandydatów do gimnazjum, dawali zbiorowe lekcje po bardzo wygórowanej cenie i otrzymanymi zyskami dzielili się z egzaminatorami. Pewien udział w sprawie przyjmowania do gimnazjum brali również nauczyciele Polacy, utrzymujący stancję. Ten sposób był najodpowiedniejszy i najmniej kompromitujący dla rodziców, ale dla nauczycieli, utrzymujących stancję, był wysoce krępujący, bo w imię zasady *do ut des* wysoce ich pozbawiał niezależności w działalności pedagogicznej, a oprócz tego taki nauczyciel był zmuszony przyjmować u siebie cały personel z dyrektorem na czele przynajmniej raz na rok w swoje imieniny, lub z okazji otrzymania orderu czy gratyfikacji (remuneracji). Jeżeli jest tutaj mowa o łapówkach za przyjmowanie do gimnazjum, to niemniej praktykowały się łapówki przy promowaniu uczniów z klasy do klasy i te były dwójakiego rodzaju: zagrożony z jakiegoś przedmiotu uczeń (najczęściej z rosyjskiego), o ile miał na to, brał lekcje prywatne tego przedmiotu od innego nauczyciela tej samej specjalności nie wykładającego w tej samej klasie, co było przez prawo dozwolone. Tutaj nadużycia często polegały na tem, że koledzy wzajemnie chcieli sobie pomagać, umyślnie stawiali złe stopnie i wówczas radzili zgłaszającym się rodzicom, aby ich synowie brali lekcje

od wskazanych przez nich osób, niekoniecznie od nauczycieli, lecz naturalnie za wysokie ceny. W tych wypadkach lekcje odbywały się rzeczywiście i uczniowie korzystali. Lecz byli tacy specjaliści nauczyciele, którzy swoich uczniów zamożniejszych rodziców teroryzowali i umyślnie stawiali im złe stopnie, zmuszając do brania lekcji od siebie, co niezgodne było z prawem. Ta nauka odbywała się w ten sposób, że uczeń przychodził na lekcję do prywatnego mieszkania nauczyciela, który zwykle był zmęczony albo spał, albo wychodził na sesję, bąknął coś pod nosem do ucznia i kazał przyjść na następną lekcję. W rezultacie nauczyciel każde przyjście ucznia liczył za daną lekcję i kazał sobie płacić honorarium, które wynosiło od 5—10 rb. (25—50 zł.) za lekcję. Taki uczeń mógł już być pewny promocji i wszelkich względów. Również często zdarzało się, że rodzice przez pośredników wprost dawali łapówki w gotówce. Dotychczas mówiłem tylko o Rosjanach, z których największe łapówki brali tacy znani dyrektorzy, jak niebezpieczny rusyfikатор w Lublinie Siengalewicz, w Warszawie Kański i Kriwaksin, o którym już mówiłem, Rozanow w Piotrkowie, Gejewskij w Częstochowie, nauczyciele zaś Rosjanie brali łapówki pod wszelkimi postaciami.

O naszych Polakach nauczycielach muszę powiedzieć, że i oni dawali lekcje, ale uczciwie pracowali i honoraria otrzymywali za rzeczywistą i sumienną pracę. Znam tylko dwa wypadki, że nauczyciele Polacy brali łapówki w gotówce, co z przykrością stwierdzam.

Jeżeli Polacy chrześcijanie mieli tak wielkie trudności w umieszczaniu swoich dzieci w gimnazjum, o wiele trudniejsze warunki mieli w podobnych okolicznościach Żydzi od czasu wstąpienia na tron Aleksandra III, gdyż oprócz ogólnego konkursu, musieli podlegać konkursowi wyznaniowemu. Żydów podług prawa można było przyjmować 10%. Dla Żydów przyjęcie do gimnazjum było nadzwyczaj trudne, ale oni umieli bronić nawet tak ograniczonych swoich praw i najmniejsze uchybienie od istniejących przepisów w sprawie przyjęcia Żyda było przedmiotem skarg nie tylko do kuratora, ale nawet do ministra. To też władze szkolne bardzo ściśle stosowały istniejące przepisy. Byli tacy członkowie rad pedagogicznych, którzy się w tej sprawie specjalizowali, żeby nie dopuszczać do skarg. A specjalizacja była potrzebna, bo nie było roku, żeby Żydzi nie wy-

robili sobie jakiejs ulgi, tak że zapamiętanie wszystkich przepisów w różnych czasach wydawanych nie było rzeczą łatwą.

Żydzi zwykle zdawali egzaminy oddzielnie po skończonym egzaminie chrześcijan. Przedewszystkiem sprawdzano tożsamość osób i po tej czynności nieraz znajdowano wodę na sali, — pod takim strachem byli młodzi delikwenci. Egzamin Żydów odbywał się w zwiększonej komisji zawsze pod przewodnictwem dyrektora, który nawet na chwilę nie opuszczał sali. Po skończonym egzaminie odbywała się konferencja, na której ustalano stopnie. Ciekawe były te konferencje, gdyż tutaj członkowie komisji starali się w taki sposób popierać swoich kandydatów, żeby tego nie zauważyli inni, a zainteresowani w całej pełni mieli możność wykazywać swoją sztukę dyplomatyczną. Po ustaleniu stopni egzaminacyjnych na konferencji odpowiedni kandydaci byli przyjmowani przez radę pedagogiczną, co już należało tylko do formalności. Naturalnie kwestja przyjęć Żydów do gimnazjum była niewyczerpanem źródłem dochodów dla władz szkolnych, a stawki liczyły się bardzo wysokie, zwłaszcza w Warszawie i w miastach o rozwiniętym przemyśle fabrycznym. Lecz czasami zdarzały się ohydne wymuszania ofiar „w naturze“. Znany mi jest wypadek, że pewna matka Żydówka poszła do nauczyciela języka rosyjskiego w Warszawie, żeby go prosić o względy dla jej syna przy egzaminie. Ponieważ interesantka była młoda i bardzo przystojna, nauczyciel zgodził się popierać jej syna pod warunkiem, że matka odda się mu. Matka zgodziła się i syn, dzięki tej ofierze matki, został przyjęty do Warszawskiej Szkoły Realnej. Ten fakt stał się znany wśród Żydów; nie omieszkano go wyzyskać w inny, lecz również skuteczny sposób. Teraz już nie chodziły same matki, a wynajmowały odpowiednie „specjalistki“, które odgrywały rolę matek i skutecznie wywiązywały się ze swego zadania. Ten fakt w swoim czasie stał się głośny w warszawskich sferach pedagogicznych, doszedł do wiadomości władzy, bohater został zdegradowany i przeniesiony na głęboką prowincję.

Praktykowano jeszcze i takie fakty w Warszawie przy przyjmowaniu Żydów do gimnazjum. Od r. 1882 zabroniono przyjmować Żydów, jak również chrześcijan Polaków do I gimnazjum, zwanego rosyjskiem, mieszczącego się w gmachu Staszica. Żydzi, uważając że podobne rozporządzenie jeszcze więcej uszczupli ich i tak już ograniczone prawa, wystąpili ze skargą do ministra

i, dzięki swoim przemożnym wpływom, uzyskali decyzję, że ta liczba kandydatów, jaka powinna być przyjęta do I gimnazjum, ma być rozmieszczana w innych gimnazjach warszawskich. Rozmieszczaniem kandydatów Żydów do gimnazjów warszawskich zajmowało się kuratorjum. Ta sprawa w taki sposób była załatwiana przez szereg lat i tem tłumaczy się, że w warszawskich gimnazjach, pomimo 10 procentowego ograniczenia, liczba Żydów była zbyt wysoka, gdyż zawsze pewną liczbę kandydatów udawało się przemycić, a to w dużej mierze zależało od zrzeczności dyrektora kancelarii i sumienności pomocnika kuratora.

Sprawa ta nabrała wielkiego rozgłosu, kiedy naczelnikiem kancelarii był znany łapownik Agranowski, a pomocnikiem kuratora Posadskij. Pierwszy potrzebował dużo pieniędzy na karty i rozpusztę, drugi miał cel wytknięty: zebrać gotówkę i wracać do Rosji. Obydwaj ci panowie milcząco porozumieli się. Kiedy Agranowski przynosił papiery do podpisu, a w ich liczbie była lista przyjętych Żydów à conto I gimn., Posadskij niby czytał i podpisywał podawane papiery. W ten sposób podpisał i rozporządzenie o przyjęciu Żydów, których liczba była już niepomiernie wysoka. Wszystkie gimnazja warszawskie, które otrzymały rozporządzenie o przyjęciu Żydów, bez protestu spełniły rozkaz kuratorjum. Oparł się temu Szymanowski, dyr. VI gimnazjum, i na radzie pedagogicznej, składającej się w tem gimn. z samych Rosjan, postawił wniosek, aby nie przyjmować Żydów, przysyłanych przez kuratorjum. Stał się skandal. Rada pedagogiczna nie wykonała rozporządzenia kuratorjum. Skasować decyzji rady pedagogicznej kurator nie mógł swoją władzą, tylko minister, a tymczasem dyrektor Szymanowski wykazał, że w całej tej sprawie kryją się duże nadużycia, gdyż liczba Żydów, zakwalifikowanych do przyjęcia, nie odpowiada 10% kandydatów, mających prawo być przyjętymi do I gimnazjum, lecz przeciwnie znacznie ją przewyższa. Rzeczywiście, przeprowadzone śledztwo wykryło dużo nadużyć, prowadzonych, przez szereg lat, i tym Żydom, którzy mieli być umieszczeni w VI gimnazjum, przyjęcia odmówiono, gdyż rada pedagogiczna stanowczo na to się nie zgodziła, kandydatów zaś przyjętych do innych gimnazjów w nadmiernej liczbie, pozostawiono w spokoju. Lecz kuratorjum w osobach naczelnika kancelarii Agranowskiego i pomocnika kuratora Posadskiego, wpłynęło na ówczesnego kuratora Bielajewa, że ten po-

starał się o przeniesienie dyrektora Szymanowskiego gdzieś na Ural, gdzie ten -- może jeden z najokrutniejszych rusyfikatorów i prześladowców młodzieży polskiej -- wkrótce zmarł, a jego dawni uczniowie jeszcze dzisiaj, w niepodległej naszej ojczyźnie ze wstrętem go wspominają.

Z za kulis Okręgu Naukowego.

Wspominałem, że kurator Szwarc sprowadził na stanowisko naczelnika kancelarii Okręgu Naukowego, osobistości najbliższej stojącej kuratora, a przez to bardzo wpływowej, por. rezerwy Agranowskiego, który był nielegalnym jego synem i jakiegoś Żydówki. Temu osobnikowi należy poświęcić parę słów.

W owych czasach było wielu działaczy zdeprawowanych, nikczemnych i łapowników, lecz ten nie miał sobie równych, chociaż w pewnej mierze mógł mu dorównać dyrektor gimnazjum częstochowskiego -- Gejewskij. Agranowskij miał szeroką naturę, lubił żyć i używać, a to wymagało dużo pieniędzy. Pensja 3.200 rb. (16.000 zł.) rocznie, mieszkanie, światło i opał -- wszystko było za mało. Trafił on na ciężkie czasy -- czasy strajkowe, młodzież polska opuściła gimnazja i rodzice nie potrzebowali opłacać się w kuratorjum jak dawniej, kiedy trzeba było starać się o przyjęcie do gimnazjum u kuratora, gdzie te sprawy referował naczelnik kancelarii Agranowskij, a jakim był referentem, przekonał się ze sprawy przyjmowania Żydów à conto I gimn. rosyjskiego w Warszawie. Sprawa przyjmowania Żydów do gimnazjum po wybuchu strajku przestała istnieć, gdyż dla braku kandydatów Polaków, Żydom narozcież otworzono drzwi gimnazjów i przyjmowano wszystkich bez żadnego ograniczenia procentowego, -- trzeba więc było szukać innych źródeł dochodu. Agranowskij je znalazł.

Głośne w tym czasie były sprawy sprzedaży Ogrodu Pomologicznego i uszczuplenia terytorjum Instytutu Głuchoniemych. Agranowskij znalazł jakąś spółkę żydowską, która dla pozyskania wolnych placów pod budowę nowych domów uczyniła Okręgowi Naukowemu propozycję kupna Ogrodu Pomologicznego. Szwarc, ówczesny kurator, nie zgodził się na to i sprawa upadła.

Wówczas powstała sprawa nabycia części ogrodu głuchonie-

mych i przyłączenia go do sąsiedniej posesji (Frascati) hr. Brannickiego. Na tym interesie Agranowskij spodziewał się grubo zarobić. Wszedł też w ciche porozumienie ze swoim współnikiem Posadskim, pomocnikiem kuratora. Ci panowie zdołali przekonać kuratora Szwarca, że to bardzo korzystna transakcja dla Instytutu Głuchoniemych. Mówiono, że na tę transakcję była wyasygnowana duża suma, lecz instytut otrzymałby niewiele, a lwia część funduszu utonęłaby w kieszeniach cichej spółki. Zdawało się tym panom, że sprawa pójdzie gładko, trzeba było tylko zatwierdzenia jej przez radę pedagogiczną Instytutu Głuchoniemych. I tutaj kuratorjum niespodziewanie znalazło stanowczy opór. Rada pedagogiczna została zwołana specjalnie dla załatwienia tej sprawy. Na sesję przybyli Posadskij i Agranowskij, jak również radca prawny Okręgu Naukowego Ławrowskij, Rosjanin, członek warsz. sądu okręgowego. Sesję otworzył dyrektor Instytutu. Rozpoczęła się generalna dyskusja nadzwyczaj ożywiona i bardzo namiętna. Pomimo obecności tak wysokich dygnitarzy i podtrzymywania przez nich wniosku o sprzedaż, ci biedni nauczyciele instytutu, którzy w większości byli Polakami na bardzo skromnych posadach, dzielnie podtrzymywani przez popa, nauczyciela religii prawosławnej, nie zgodzili się na sprzedaż części ogrodu. W ten sposób uratowali naszą polską fundację, bo, jak zaznaczyłem, kurator nie miał prawa zmieniać decyzji rady pedagogicznej.

Wówczas Agranowskij wykombinował sobie inne źródło dochodu. W roku 1906 przy Okręgu Naukowym utworzono komisję egzaminacyjną pod przewodnictwem wizytatorów okręgu. Sekretarstwo w tej komisji objął Agranowskij, bo wiedział, że w komisji będą zdawali na świadectwa rządowe wychowawcy szkół prywatnych lub też ci, którzy kończyli wyższe studia zagranicą lub którzy mieli matury szkół średnich zagranicznych, przeważnie galicyjskich. Podobne matury trzeba było nostryfikować. Chociaż Agranowskij do członków komisji egzaminacyjnej nie należał, sądził, że sama jego obecność i wyrażenie życzliwości dla jakiejś zdającej osoby, będą dla komisji decydujące. Ale Agranowskij grubo się omylił. Jego sprawki były już dostatecznie znane komisji, tembardziej, że przewodniczący komisji wizytator Kosminskij wręcz poufnie oświadczył nam kilku: „*Panowie, bądźcie ostrożni, gdyż w wielu rozstrzyganych sprawach zawsze wyłazi na wierzch kawałek ręki lub nogi Agranowskiego*”. Ten wkrótce się przekonał,

że komisja egzaminacyjna nie może mu dawać spodziewanych dochodów, obrał zatem sobie jeszcze inne pole, ale przedtem zemścił się na wizytatorze Kościńskim i przeprowadził przeciw niemu piekielną intrygę, wskutek której Kościński narazie został zdegradowany.

Agranowski, nie mogąc brać łapówek ani od Polaków, ani od Żydów, postanowił brać łapówki od swoich. Jako bardzo wpływowy naczelnik kancelarii starał się przeprowadzić swoich kandydatów na wyższe stanowiska w szkolnictwie, jakimi były stanowiska dyrektorów gimnazjów i naczelników dyrekcji naukowych, opłacane rocznie wysokimi pensjami od 4—7 tys. rb. (20—35 tys. złotych). Otóż Agranowski brał za nominację dyrektora gimnazjum 1.500 rb. a naczelnika dyrekcji 2.000 rb. (7.500 i 10.000 zł).

W tym czasie nominację na dyrektora gimnazjum męskiego w Lublinie otrzymał Aleksander Anatoljewicz Skworec, inspektor VI warsz. gimnazjum męskiego, rodak i serdeczny przyjaciel Agranowskiego. Skworec pomimo wszystko zapłacił ustaloną takse, wyprawił dla Agranowskiego lukullusową ucztę i pojechał do Lublina, żeby objąć posadę dyrektora. Wiadomo zaś było, że Skworec był głupi człowiek „duraczek”, który nie dorósł do powierzonego mu stanowiska. Z tego właśnie skorzystał Agranowski, żeby przeprowadzić swoją piekielną intrygę i zemścić się na Kościńskim. Napisał on anonimową denuncjację do ministra oświaty na ówczesnego kuratora Bielajewa, w której go przedstawia jako człowieka bez zdania, zupełnie niedołęznego kierownika kuratorjum, powodującego się w ważnych sprawach podszeptami swego otoczenia, a na potwierdzenie tego wszystkiego podał wybór na tak ważną placówkę w Lublinie wielce nieudolnego człowieka, jakim jest mianowany Skworec.

Chociaż to był anonim, minister, jak to było we zwyczaju, przysłał go kuratorowi Bielajewowi do wykrycia autora anonimu i podania swoich wniosków w sprawie treści anonimu. Bielajew wezwał swego najbliższego współpracownika naczelnika kancelarii, a więc Agranowskiego, oddał mu anonim i kazał utworzyć komisję rzeczoznawców (kaligrafów), któraby przez porównanie charakteru pisma osób z otoczenia kuratora wysłedziła, kto był autorem tej denuncjacji. Agranowski ściśle wykonał rozkaz i tak zręcznie pokierował śledztwem i badaniem pisma, że komisja jednogłośnie przyszła do wniosku, że autorem anonimu był Ko-

śmińskij. Taki wynik śledztwa przedstawiono kuratorowi, a ten, bliżej rozpatrzywszy charakter pisma anonimu i porównawszy go z charakterem pisma Kośmińskiego, zgodził się z wnioskiem komisji. Trzeba wiedzieć, że istotnie pismo anonimu było ładząco podobne do pisma Kośmińskiego. Rezultat był taki, że Kośmińskiego usunięto z wizytatorstwa i przeniesiono na dyrektora VI gimnazjum męskiego i III żeńskiego (był wspólny dyrektor tych 2 gimnazjów), Agranowskij triumfował, bo sądził, że główna przeszkoda do brania łapówek została usunięta i że on sam pozostał na placu.

Tymczasem partja Kośmińskiego ani na chwilę nie uwierzyła, żeby ten uczciwy człowiek mógł na kogokolwiek pisać anonimy, a tembardziej na swego zwierzchnika, który go powołał na stanowisko wizytatora, idąc za ogólnym głosem, że Kośmińskij jest uczciwym człowiekiem, wysoko naukowc posuniętym i wybornie znającym się na sprawach szkolnictwa. Po długich i trudnych badaniach stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że autorem anonimu był sam Agranowskij i na potwierdzenie tego przedstawiono Bielajewowi (kuratorowi) kartki bruljonu anonimu, na których Agranowskij starał się wprawiać, aby naśladować charakter pisma Kośmińskiego. To ostatecznie zdecydowało o karierze Agranowskiego. Dzięki temu, że Szwarc wówczas był ministrem oświaty, Agranowskij otrzymał w Chełnie stanowisko inspektora szkół ludowych, z czem nigdy nie miał nic wspólnego.

Niemniej głośna i do pewnego stopnia nawet komiczna, była sprawa zbudowania specjalnego budynku na terytorjum, w którym mieściło się III gimnazjum męskie przy ul. Berga (dziś Traugutta). W tym budynku miały się mieścić dwie duże sale: gimnastyczna i aktowa (dzisiejsze Theologicum). Podług przepisów plany tego budynku miały być przygotowane przez budowniczego Okręgu Naukowego, którym był już wspomniany przeze mnie Pokrowskij. Ale ten pan, jak i inni wyżsi urzędnicy, sam planu nie wykonał, lecz kazał to wykonać swemu urzędnikowi. Ten przygotował plan, Pokrowskij, jako budowniczy okręgu, podpisał go, a Okrąg Naukowy, stosownie do przepisów, przesłał go do zatwierdzenia budowniczemu gubernjalnemu, a ten, otrzymawszy plan od instytucji rządowej, podpisał go bez bliższego badania. Na wykonanie robót ogłoszono licytację, przy której się utrzymał przedsiębiorca, wykonywujący zwykle wszelkie roboty w Okręgu Naukowym i będący z nim w ścisłym porozu-

mieniu. Na licytacji przedsiębiorca ofiarował zbyt niską cenę, gmach wzniosł w stosunkowo szybkim czasie i zażądał komisji do odbioru gmachu. Komisja zebrała się i mocno była zdziwiona, że skończony gmach był bez dachu. Zwróciła się do przedsiębiorcy, jak on śmiał coś podobnego uczynić. Wówczas przedsiębiorca przedstawił plan sporządzony przez budowniczego Okręgu Naukowego i zatwierdzony przez władzę administracyjną. Powstała zrozumiała awantura. Na dach trzeba było uzyskać nowy kredyt i t. d. Głośno wtedy mówiono, że ów pomocnik umyślnie sporządził plan bez dachu, aby wystawić na śmieszność swego zwierzchnika Pokrowskiego, a dogodzić Agranowskiemu, gdyż ci dwaj panowie, zainteresowani w wielu sprawach, nie mogli się między sobą pogodzić co do udziału w zyskach i prowadzili ze sobą cichą walkę. Pokrowski oddalił swego pomocnika, lecz Agranowski dał mu inną posadę i w dodatku sam na tym interesie grubo zarobił.

Jak wogóle Okrąg Naukowy wykonywał gmachy szkolne, mogą być tego dowodem warszawskie V gimnazjum męskie (dzisiaj wydział architektury Politechniki), gimnazjum łomżyńskie i wiele innych.

Stypendja dla uczniów szkół średnich.

Była to w swoim czasie bardzo paląca sprawa przyznawania stypendjów przez Okrąg Naukowy i wywoływała wielkie rozżalenie wśród osób zainteresowanych. Był czas, że urzędnicy Okręgu Naukowego robili wielkie nadużycia w interpretacji warunków zapisu, a szczególnie miało to miejsce po ustąpieniu margrabiego Wielopolskiego i utworzeniu Okręgu Naukowego. Postaram się krótko przedstawić tę sprawę,

Wszystkie zapisy stypendjalne dla szkół średnich czyniły osoby prywatne, zaczynając od XVI w. Najdawniejsze zapisy dla młodzieży szkół średnich uczyniły królowny Anna i Katarzyna Jagiellonki, ks. prymas Karnkowski, kilku biskupów krakowskich, a najwięcej w tym kierunku działał biskup Szaniawski. Najwięcej zapisów stypendjalnych odnosi się do w. XIX, a ostatni w roku 1906 był już przeznaczony na utworzoną w tym roku Macierz Szkolną.

Stypendja były rodzinne, lub też ogólne, o jakie mogła ubiegać się młodzież wszystkich szkół, o ile zapis nie wymieniał

ściśle zakładu naukowego, którego młodzież mogła wyłącznie korzystać ze stypendjum. O ile warunki stypendjalne ściśle określano, to jest że stypendjum było przeznaczone dla Polaka katolika lub ściśle oznaczano gimnazjum, dla którego wychowanców było przeznaczone, to stypendjum dostawało się do właściwych rąk. Taki względnie prawny stan istniał dopóki radcą prawnym Okręgu Naukowego był Polak Kinel, który bardzo ściśle przestrzegał warunków zapisu. Lecz kiedy zabrakło Kinela i na czele wydziału gospodarczego, w którego zarządzie była sprawa stypendjów, stanął Rosjanin Stepanow, zaczęła się istna orgja. Wówczas nikt nie otrzymywał stypendjum, o ile Stepanowowi nie dawał łapówki, a norma jej wynosiła całoroczne stypendjum, którego wysokość wahała się od 50—300 rb. (250—1500 zł.) rocznie. Jedno tylko stypendjum z zapisu senatorowej Tokarskiej wynosiło 750 rubli rocznie (3750 zł.) i było przeznaczone dla jej rodziny w ten sposób, że osoba mająca do tego stypendjum prawo otrzymywała przez cały czas pobytu w gimnazjum i uniwersytecie po 300 rb. rocznie (1500 zł.), a pozostałe 450 rb. (2250 zł.) kapitalizowało się i po skończeniu uniwersytetu obdarowana osoba otrzymywała skapitalizowaną sumę do ręki. Stypendjów z tego zapisu było pięć.

O ile, jak to zaznaczyłem, nie było w zapisie wyraźnie powiedziane, że stypendjum przeznacza się dla Polaka katolika, takie stypendjum otrzymywał Rosjanin. Głośna była sprawa, że stypendjum z zapisu arcybiskupa warszawskiego wyznania rzymsko-katolickiego Fijałkowskiego otrzymał student Uniwersytetu Warszawskiego Kowalewskij, prawosławny, syn popa unickiego renegata.

Szczególnie dużo było nadużyć, kiedy w Warszawie powstało rosyjskie gimnazjum i otrzymało nazwę pierwszego gimnazjum—Nr I. Tym sposobem inne gimnazja otrzymały zmienioną numerację. Zamiast dawnego I powstało II, zamiast II—III i t. d. Tak np. stypendjum było przeznaczone dla ucznia I gimnazjum jeszcze wtenczas, gdy nie istniało I gimnazjum rosyjskie, a więc było przeznaczone dla dawnego I gimnazjum, a później II i dla Polaka, gdyż wówczas prawosławnych uczniów nie było. Tymczasem kurator Bielajew przeznaczył to stypendjum uczniowi I gimnazjum prawosławnemu zamiast uczniowi II gimnazjum, któremu w myśl intencji zapisodawcy to stypendjum się należało. Jednakże ktoś z rodziny zapisodawcy dowiedział się o tem

i wniósł skargę do ministra, który, po rozpatrzeniu sprawy, kazał wypłacić stypendjum uczniowi II gimn., a że stypendjum było już wypłacone Rosjaninowi z I gimnazjum, Bielajew musiał wypłacić z własnej kieszeni nowemu kandydatowi równoznaczną sumę.

Dużo tutaj było winy osób zainteresowanych, które biernie zachowywały się wobec przyznawania stypendjów przez Warszawski Okręg Naukowy.

Przytoczony przeze mnie fakt dobrze zrobił, bo ośmielił osoby zainteresowane do wnoszenia zażaleń do ministerjum na decyzję kuratora w sprawie przyznawania stypendjów. Lecz ministerjum wobec tych skarg było bezradne, gdyż nie miało pod ręką tekstów zapisów stypendjalnych, które w odpisach notarialnych były dołączone do akt i przechowywane w archiwum Okręgu. Przesyłać takie akta do Petersburga było rzeczą ryzykowną, bo mogły przepaść w drodze, jak to już raz miało miejsce. Mówiono wtenczas, że te akta przepadły nie bez udziału urzędników, pracujących w wydziale stypendjów, którzy się bali odpowiedzialności za popełnione nadużycia. Dlatego też ministerjum kazało kuratorowi specjalnie zająć się uporządkowaniem przyznawania stypendjów w ten sposób, ażeby wszystkie zapisy stypendjalne z oryginałów były przetłumaczane na język rosyjski i przesłane do ministerjum (tłumaczenia), które mając pod ręką tekst zapisu, mogłyby wydawać ostateczną decyzję w razie zażalenia osób zainteresowanych. Tę pracę początkowo powierzono Bolesławowi Ślaskiemu, a gdy podane przez niego warunki wydały się zbyt wysokie, powierzono ją mnie. Niełatwe to było zadanie. Należało władać gruntownie 3 językami: polskim, łacińskim, niemieckim i naturalnie rosyjskim, bo na ten język dokonywano przekładów, a jeden zapis żony „radcy stanu” Jakubowiczowej był sporządzony nawpół w języku żargonowym i niemieckim. Każdy tekst trzeba było przetłumaczyć na język rosyjski i wygotować na maszynie 3 egzemplarze: kopię oryginału i 2 teksty w języku rosyjskim. Kopja oryginału i jeden tekst rosyjski pozostawały w kuratorjum, a drugi tekst przesłano do ministerjum.

Była to wdzięczna i ciekawa praca. Ile to sekretów życia prywatnego można było zbadać! Np. jeden z wybitnych fabrykantów warszawskich odsądza od czci i honoru jednego z bardzo znanych adwokatów, a dziś, gdy to piszę (w r. 1935), zaj-

mującego wybitne stanowisko w społeczeństwie. Córkę swoją, o ileby za niego wyszła zamaż, pozbawia sukcesji i mówi, że ciało jego przewróciłoby się wtenczas w trumnie.

Inny znowuż małżonek, jeszcze na łożu śmierci pisząc testament, nie darował żonie i ostrzegał spadkobierców, by jej nie wierzyli, bo to pani przewrotna i fałszywa.

Ale testamenty podobnej treści należały do wyjątków. Z innych można się było przekonać, ile Polska miała zacnych i poczciwych ludzi, którzy w czasie niewoli nie zapominali o młodzieży i fundowali stypendja, przeznaczając na ich cel znaczne fundusze, jak np. zapisy K. Rudzkiego, założyciela fabryki w Warszawie, ks. prałata Orzeszkowskiego z Płocka i wielu innych. W r. 1893 p. Łojko zapisał swoją kamienicę przy ul. Kopernika specjalnie dla studentek, o ile Uniwersytet Warszawski zacznie wogóle przyjmować kobiety. Zapis ten został wykonany już za naszych czasów w Niepodległej Polsce.

Nieraz było wiele trudności ze zrozumieniem intencji zapisodawcy, który, dla braku inteligencji, niedokładnie wyrażał swoje myśli, jak np. „stypendjum przeznacza się dla młodzieńca, przygotowującego się do gimnazjum”.

Fundusze stypendjalne przeważnie były lokowane w listach zastawnych ziemskich lub m. Warszawy. Te listy za czasów Apuchtina, z rozporządzenia ministerjum, sprzedawano i z otrzymanych sum kupowano 4% rentę rosyjską w celu podniesienia jej kursu.

Taka była gospodarka rządu rosyjskiego temi funduszami.

Wkońcu dodam, że kiedy postanowiono oddać mnie zapisy stypendjalne do przetłumaczenia, zostałem wzwany do kuratora Bielajewa, z którym umówiłem się o wysokość wynagrodzenia za moją pracę — fakt na owe czasy bardzo charakterystyczny.

Z martyrologji uczniowskiej.

Okropne to były czasy, lata 1873 — 1890, kiedy panował system tołstojowski.

Przy promowaniu uczniów z klasy do klasy decydował nie rozwój umysłowy, lecz rachunek arytmetyczny, t. j. uczeń musiał mieć z każdego przedmiotu wyciągnięty ogólny stopień roczny: o ile w niższych klasach z każdego poszczególnego przedmiotu uczniowi wypadał roczny stopień $2\frac{3}{4}$ a w VII kl. 3, taki uczeń był dopuszczany do piśmiennych egzaminów i, po dostatecznym ich wyniku, był promowany do wyższej klasy, a w razie wyniku niedostatecznego zostawiany na drugi rok albo otrzymywał poprawkę (ustny egzamin) przed lub po wakacjach. Uczniowie kl. IV i VI, które dawały już pewne prawa, po wykonaniu piśmiennych egzaminów, byli „filtrowani”, t. j. poddawani ustnemu egzaminowi, o ile piśmienne egzamininy ze wszystkich przedmiotów wykonali dostatecznie, w przeciwnym razie bezwarunkowo pozostawiano ich na drugi rok; również zostawali na drugi rok ci uczniowie, którzy chociażby tylko z jednego przedmiotu na ustnym egzaminie otrzymali ocenę niedostateczną. W wyjątkowych tylko wypadkach takich uczniów promowano, ale pod warunkiem, że opuszczą gimnazjum. Otrzymywali oni t. zw. „testimonium abeundi”. Z takim świadectwem mogli być przyjęci do innego gimnazjum. Tem się tłumaczy w owych czasach masowe przechodzenie uczniów z gimnazjum do gimnazjum. A co to kosztowało rodziców zabiegów i łapówek! Po r. 1890, wskutek protestów i narzekań całej Rosji, ten nadzwyczaj surowy przepis złagodzono o tyle, że uczeń, który z jednego przedmiotu na ustnym egzaminie otrzymał niedostateczną ocenę (2), mógł dalej zdawać i, o ile z reszty przedmiotów zdał dostatecznie, otrzymaną ocenę niedostateczną (2) poprawiano na dostateczną (3), i promowano do następnej klasy. W końcu zaś panowania u nas Rosjan, nastąpiła ważna reforma, zniesiono bowiem wszelkie egzamininy i promowano na zasadzie rocznych stopni. Tylko maturalne egzamininy odbywały się tak ustne, jak piśmienne i to z zachowaniem całego „ceremonjału”.

Toteż, gdy w maju od czasów reformy tołstojowskiej (1873 r.) zbliżał się termin egzaminów maturalnych, uczniowie przeżywali straszne chwile. Należy nadmienić, że nie tylko uczniowie bali się wyników egzaminów, ale bali się i nauczyciele: uczniom chodziło o promocję, a nauczycielom o opinię u władzy wyższej, gdyż każdy egzamin piśmienny przeglądali i oceniali 2 nauczyciele i dyrektor gimnazjum, słaby zaś wynik egzaminów odbijał się na karierze nauczycieli.

Zdawałoby się, że, wobec zbliżania się tak groźnych egzaminów, młodzież zabierze się do książki. Tak, byli tacy, którzy pracowali, lecz większość używała wiosny, a wszyscy dążyli do jednego celu: zdobycia tematów. Nie pytano się, w jaki sposób, gdyż w środkach nie przebiegano. I nauczyciele starali się przygotować uczniów do egzaminów, a czynili to w ten sposób, że np. nauczyciele matematyki przerabiali podobne zadania do tych, jakie mieli zamiar dać na egzaminie, nauczyciele języków kazali robić przekłady z języka rosyjskiego, przyczem układano tekst w ten sposób, że niektóre zwroty i wyrazy powtarzały się w tematach egzaminacyjnych.

W tym czasie był rozwinięty system dawania egzaminów „poprawkowych” przed lub po wakacjach tym uczniom, którzy na piśmiennych egzaminach otrzymali ocenę niedostateczną (2). Egzamin poprawkowy po wakacjach był bardzo uciążliwy dla uczniów i kosztowny dla rodziców, gdyż trzeba było na wakacje brać korepetytorów i ograniczać pewną swobodę dzieci. Lecz zato dla uczniów starszych klas, a zwłaszcza dla niezamożnych studentów uniwersytetu była to rzecz bardzo pożądana — wyjechać na „kondycję”, użyć świeżego powietrza, zarobić od — 30 — 150 rb. (150 — 750 zł.), a czasami nawet upatrzeć sobie kandydatkę na żonę. Naogół nasze obywatelstwo, a zwłaszcza panie, bardzo życzliwie i po ludzku traktowały korepetytorów, a służba nazywała ich dyrektorami i odnosiła się z wielką do nich życzliwością. Dla wielu młodych ludzi była to dobra szkoła, gdyż nabywali wyrobienia towarzyskiego i patriotycznego, o ile nie mieli możliwości nabycia go w domu rodzicielskim. Znałe mi są dosyć liczne wypadki, że niektórzy nauczyciele umyślnie dawali poprawkowe egzamina, żeby w ten sposób przyjść z pomocą materialną studentom uniwersytetu, dawnym swoim uczniom.

Egzaminy maturalne.

Jeżeli egzaminy przejściowe w owych czasach były bardzo trudne, to cóż dopiero powiedzieć o egzaminach maturalnych, wprowadzonych od r. 1873 przez reformę Tołstoja. Egzaminy przejściowe były prowadzone przez personel nauczycielski danego gimnazjum, piśmienne wypracowania egzaminacyjne pozostawały na miejscu w archiwum gimnazjalnem. Rzecz się miała zupełnie inaczej z egzaminami maturalnemi. Piśmienne wyprac-

wania maturalne, po skończonych egzaminach, były przesyłane do kuratorjum, gdzie je rozpatrywała komisja, złożona z profesorów uniwersytetu odpowiednich specjalności, badała postępy uczniów i badała prawidłowość wykazywanych przez nauczycieli gimnazjalnych błędów i wkońcu przedstawiała kuratorowi oficjalny protokół swej czynności, a kurator ten protokół kazał drukować w dzienniku urzędowym, który przymusowo musiało prenumerować każde gimnazjum, tak że niedostateczny rezultat maturalnych egzaminów każdego gimnazjum był wszystkim w Okręgu Naukowym znany.

Niedość tego jeżeli uczniowie jakiegoś gimnazjum wykazali słabe postępy z pewnego przedmiotu, to takie gimnazjum w osobach dyrektora i odnośnego nauczyciela otrzymywało piśmienną naganę, która również była drukowana w dzienniku urzędowym; bywały wypadki, że takim nauczycielom zabraniano wykładów w wyższych klasach lub też przenoszono ich do progimnazjum, co godziło już nie tylko w ambicję nauczyciela, ale i w jego kieszeń, gdyż w progimnazjum były niższe pobory. Najgroźniejszym zaś było dla nauczycieli, jeżeli komisja zauważyła, że wypracowania były niechlujnie wykonane przez uczniów, a — nie daj Boże — jeżeli błędy były nieprawidłowo poprawione lub przepuszczone; wtenczas dyrektor i nauczyciele mieli wielkie przykrości. Toteż, zanim nauczyciel przystąpił do poprawiania wypracowań piśmiennych, zwłaszcza przekładów z języka rosyjskiego na język grecki lub łaciński, starał się odnaleźć tekst autora, z którego był wzięty temat i trzeba było mieć duże odczytanie w tych autorach starożytnych, których dzieła nie weszły do programów szkolnych. Prawie zawsze nasi klasycy — a byli nimi Polacy — odnajdywali tekst, bo między nimi byli znakomici filolodzy, a jeżeli w jednym gimnazjum nie odnajdywano tekstu, czyniono to w innych gimnazjach i wzajemnie sobie komunikowano. Wogóle tak w tych sprawach, jak i w wielu innych pomiędzy nauczycielami Polakami panowała harmonja. Wszystko to, co dotychczas powiedziałem, bynajmniej nie wpływało na wydawanie matur uczniom, gdyż wszystko to miało miejsce już po skończeniu roku szkolnego, kiedy maturzyści byli studentami wyższych zakładów naukowych.

Niemniej trudne zadanie mieli uczniowie VIII klasy, gdyż nie tylko sami rozumieli powagę chwili, ale i nauczyciele dobrze ich uciskali, ponieważ, jak widzieliśmy, szło im o własną skórę.

Już od Bożego Narodzenia maturzyści dzielili się na grupki, żeby wspólnie przygotowywać się do egzaminów. Takie grupy uczyły się u tych kolegów, którzy mieszkali u rodziców, w przeciwnym razie wynajmowano oddzielne pokoje od rodzin dla wspólnej nauki. Pokoje te były poza kontrolą władzy gimnazjalnej, która nie chciała przeszkadzać matryzystom, więc poza nauką czas tam spędzano wesoło i mile i uprawiano grę w karty, śpiew i t. p. Ósmoklasiści byli przedmiotem zazdrości uczniów niższych klas, ponieważ faktycznie zaczęli już korzystać ze swobody uniwersyteckiej. W tych zakonspirowanych pokojach była kancelaria, do obowiązków której należało stałe komunikowanie się z kolegami innych gimnazjów w najżywotniejszej sprawie — wydobywania tematów egzaminacyjnych. Na ten cel przeznaczano zwykle pokój maturzysty, który mieszkał u rodziców i który najmniej był narażony na rewizje i tym podobne ewentualności. W tych sprawach istniała pewna praktyka: już w wielkim poście biuro musiało *funkcjonować* prawidłowo i załatwiać sprawy, jakiego komunikowali warszawscy koledzy, oni bowiem, jako miejscowi, kierowali wszystkim: określali sumę, jaką każde gimnazjum musiało przesłać na koszt wydobywania tematów. Wyznaczali kurjerów, ale nie „dyplomatycznych”, tylko do rozwożenia tematów do poszczególnych miast: ustalali język telegraficzny dla komunikowania sobie ważnych wiadomości. Naturalnie, w pewnych umówionych godzinach musiał być stale jeden z grona uczniów, któryby odbierał depesze.

Najprostszy sposób pozyskania tematów maturalnych był za pośrednictwem naczelnika kancelarii kuratorjum. On, ze względu na swoje stanowisko, był wtajemniczony w tę sprawę, a działał się to w ten sposób. Każde gimnazjum (właściwie nauczyciele VIII klasy) przysyłało swoje tematy do kuratorjum, gdzie komisja, złożona z profesorów uniwersytetu, wybierała jeden temat z każdego przedmiotu, oddawała go kuratorowi do zatwierdzenia, a ten doręczał tematy naczelnikowi kancelarii do rozesłania poszczególnym gimnazjom. Maturalnych tematów było pięć: z języka rosyjskiego, łaciny, greckiego i 2 z matematyki, tak że wszystkie gimnazja w Okręgu Naukowym pisały w ściśle określonych terminach jeden i ten sam temat.

Początkowo sprawa szła gładko. Nikolskij, naczelnik kancelarii, brał za tematy 5.000 rb. (25 tys. zł.). Naturalnie, tematy otrzymywano w ostatniej chwili i rzeczą było organizacji na czas

rozesłać je wszystkim gimnazjom przez specjalnych kurjerów, o których wyżej wspomniałem.

Lecz ten stan trwał zaledwie parę lat, gdyż sprawa się wydała, Nikolskiego oddano pod sąd i wsadzono do więzienia. Później chwycono się innego sposobu. Z kancelarii Okręgu nie było można tematów uzyskać, gdyż wysyłano je pocztą. Tematy z poszczególnych przedmiotów w oddzielnych kopertach razem wkładano później do jednej ogólnej i przesyłano gimnazjom. I na to znaleziono sposób. W kilku miastach, a specjalnie w Białej Siedleckiej pozyskano „życzliwość” urzędników pocztowych. Ci, po nadejściu takiego pakietu, rozrywali kopertę, dostawali tematy, spowrotem wkładali je do kopert, pieczętowali pieczęciami zdobytemi za grube grosze w Warszawie, dostarczonemi im przez osoby interesowane i w tym stanie wydawali gimnazjom. Pieczęć, po otrzymaniu matur, była rzucała do rzeki lub sadzawki. Ale i to się wydało, gdyż jeden z dyrektorów, otrzymawszy pakiet, powziął pewne wątpliwości co do charakteru pisma na kopertach o czym zakomunikował kuratorowi. Stąd awantura, śledztwo, koza urzędnika poczty, lecz maturzyści nic nie ucierpieli.

Później zmieniono system wydawania tematów w ten sposób, że każdy dyrektor przyjeżdżał do Warszawy, do Okręgu i pod osobistą odpowiedzialnością otrzymywał tematy. Wogóle w okresie od r. 1874—1890, jak utrzymywano, 8 roczników miało tematy, a reszta musiała legalnie przechodzić te surowe egzaminy.

Na początku maja maturzyści w największym napięciu oczekiwali sesji, na której decydowano sprawę dopuszczenia maturzystów do egzaminów ostatecznych. Warunki dopuszczenia były twarde. Należało z każdego poszczególnego przedmiotu mieć w ogólnym wyciągu pełne 3, wprawdzie zdarzało się czasami, że uczeń miał z jakiegoś przedmiotu 2, ale wówczas musiał mieć na inny kwartał 4, w przeciwnym razie nie był dopuszczony do egzaminu maturalnego, a, o ile taki sam casus miał miejsce w VII klasie, uczeń nie był promowany do VIII kl. Tutaj zaznaczę, że nauczyciele w wyjątkowych tylko wypadkach stawiali ocenę niedostateczną (2) na kwartały w ciągu roku uczniom klas VII i VIII. Pozostawianie abiturjentów na rok drugi w VIII kl. w onych czasach należało do rzadkich wypadków. Oprócz tego kandydat do matury musiał być uznany za dojrzałego umysłowo i politycznie. Znam tylko jeden wypadek w gimnazjum płockim, że maturzysta Dyski został uznany za niedojrzałego politycznie, był przeto niedopuszczony do

egzaminów i wydalony z gimnazjum, gdyż w wypracowaniu rosyjskim na temat: „Opis Prywiślanskiego kraju” zacytował wiersz Wincentego Pola, naturalnie po polsku: „A czy znasz ty, bracie młody”...

A więc na owe czasy popełnił „zuchwałe przestępstwo”.

Kiedy nareszcie nadszedł dzień egzaminów, rano maturzyści słuchali mszy św., wspólnie zakupionej na intencję pomyślnych egzaminów, zatem o 9 rano rozpoczynał się pierwszy egzamin piśmienny z języka rosyjskiego. Maturzystów pomieszczono w największej sali gimnazjalnej, gdzie były ustawione oddzielne stołiki dla każdego. Tam wchodziła komisja egzaminacyjna, składająca się z 5 członków z dyrektorem gimnazjum na czele. Przewodzącym dyrektor pokazywał członkom komisji pakiet pocztowy z tematami wewnątrz, jaki otrzymał z kuratorjum, aby ci mogli się przekonać, że nie był naruszony, następnie odpieczętował go, wydawał odpowiedni temat i wręczał nauczycielowi danej specjalności do podyktowania uczniom. Gdy ta ceremonia skończyła się, uczniowie zaczęli pisać, a na sali, oprócz dyrektora, pozostało tylu nauczycieli, żeby na 10 uczniów wypadł jeden dozorujący. Chociaż na egzamin nie wolno było absolutnie nic przynosić, to jednak podobne rozporządzenie istniało tylko na papierze, w rzeczywistości każdy z uczniów miał jakąś „pomoc naukową” w formie części podręcznika np. z literatury rosyjskiej z takim obliczeniem, żeby całość koniecznie była na sali czy to schowana pod mundurem, czy to w cholewie buta. Na egzaminy z języków starożytnych przynoszono teksty rozmaitych autorów greckich lub rzymskich, żeby można było dany tekst odszukać i korzystać z niego. Z tego wynikały rozmaite przykre epizody, np. w gimnazjum częstochowskim maturzysta Broniatowski przepisał wypracowanie rosyjskie dosłownie z nieużywanego podręcznika historii literatury. Komisja poznała się na tem. Za takie wypracowanie nie można było stawiać stopnia dostatecznego, więc wezwano Broniatowskiego, żeby się z tego wytłumaczył. Ten utrzymywał, że przed egzaminem tak dużo czytał, iż zapamiętał ten ustęp. Kazano mu wobec komisji powtórzyć go na pamięć, lecz Broniatowski tego uczynić nie mógł i za karę musiał pozostać w VIII kl. na drugi rok.

Innym razem na maturalnym egzaminie z języka greckiego dano do przetłumaczenia tekst z Herodota. Jeden z maturzystów wypadkowo odnalazł ten tekst i żywcem go przepisał, a następnie

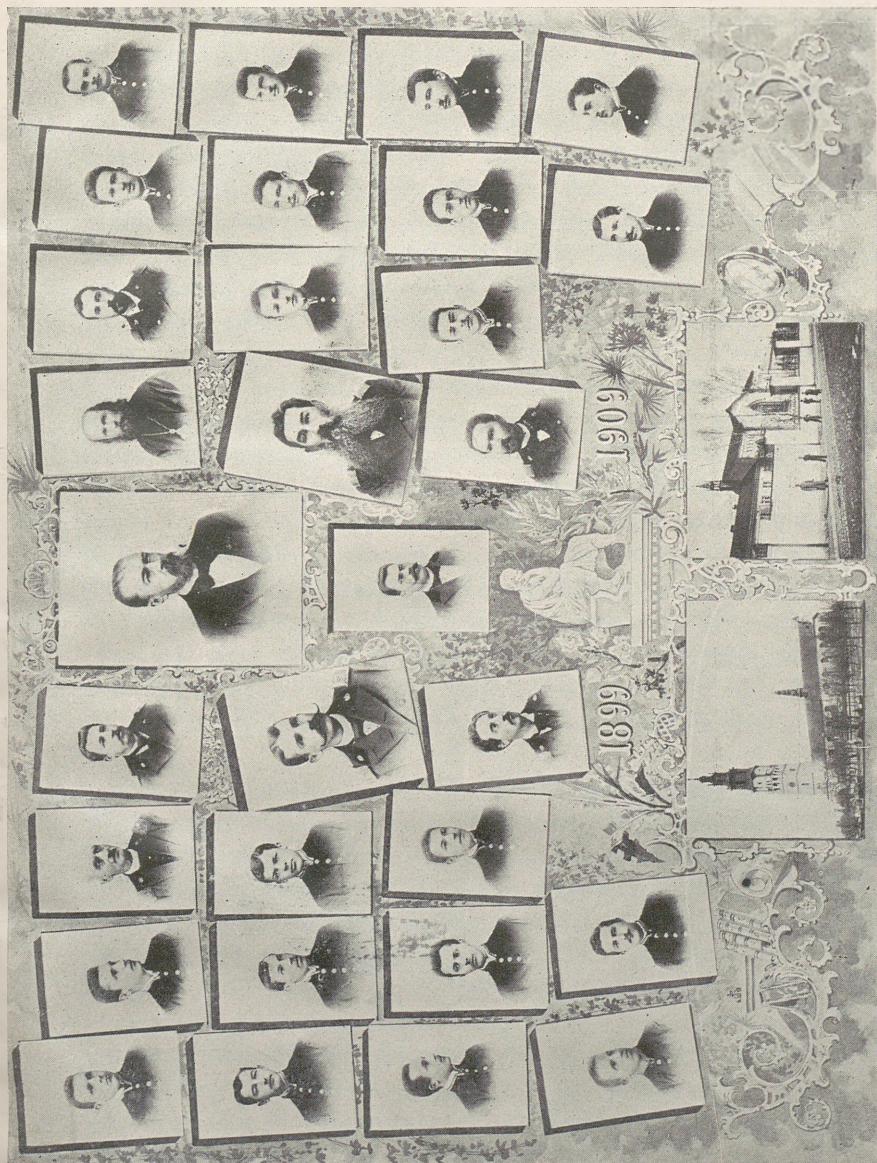
puścił w kurs, aby i inni koledzy mogli korzystać. I oto okazało się, że wszyscy korzystali z tekstu i pamiętali o tem, że Herodot pisał swoją historję w dialekcie jońskim, a w gimnazjum uczono podług dialektu attyckiego. Pierwszy maturzysta z radości zapomniał o tem i przepisał w tekście jońskim. Znowu wynikła wielka nieprzyjemność. Wezwano maturzystę do wytłumaczenia tego faktu, lecz ten sprytnie się tłumaczył, że w VII i VIII kl. tak dużo czytał Herodota, że z całą swobodą opanował go i chciał to uwydatnić w wypracowaniu maturalnem, żeby wykazać, na jak wysokim poziomie stały języki starożytne. Niby uwierzono temu i tak skończył się ten epizod, a komisja tłumaczenie się ucznia dołączyła do wypracowania, aby się usprawiedliwić przed kuratorjum.

Po skończonych piśmiennych egzaminach wszyscy maturzyści byli w śmierlelnym strachu o ich wynik, gdyż otrzymany na piśmiennym egzaminie niedostateczny stopień z jednego przedmiotu, decydował o dopuszczeniu „maturzysty” do ustnych egzaminów i pozostawieniu na drugi rok, co było i jest najstraszniejszym ciosem dla maturzysty. Ten surowy przepis istniał do r. 1881.

Znam wypadek, że jeden z maturzystów gimnazjum plockiego, Kurowski, usłyszawszy tak straszny wyrok, dostał ataku serca. Wobec tego przykrego faktu komisja jeszcze raz rozpatrzyła sprawę Kurcwskiego i dopuściła go do ustnych egzaminów, które już były tylko formalnością. Wogóle nadzwyczajnie rzadko się zdarzało, żeby który maturzysta „obcinał” się na ustnych egzaminach i pozostawał na drugi rok.

Za czasów działania tołstojowskiej reformy nie było ustnego egzaminu z języka rosyjskiego na maturę, a w głębokiej Rosji język rosyjski był uważany za przedmiot drugorzędny, tylko u nas, dzięki systemowi rusyfikacyjnemu, stawiano tak wprost monstrualne wymagania z tego przedmiotu.

Wydawanie matur i wogóle zakończenie roku szkolnego odbywało się w bardzo uroczysty sposób, zwłaszcza na prowincji. Ten zwyczaj trwał przez parę lat, lecz w tym czasie w jednym z gimnazjów warszawskich stał się skandal: jeden z maturzystów publicznie nie podał ręki swemu nauczycielowi, który mu chciał złożyć życzenia i od tego czasu Apuchtin zabronił urządzania jakichkolwiek uroczystości przy wydawaniu matur. Matury wydawała kancelarja gimnazjum. Później przy wydawaniu matur asystowała rada pedagogiczna, lecz tylko dyrektor przemawiał



MaturzyŃci gimn. Częstochowskiego ze swoimi profesorami w roku 1899.

I r z ą d: Kan, Michalski, Chabarow (dyr.), pop Romauksij, Pażytnow.

II r z ą d: Wierciński (polak), Wołyński (polak), Stefanowicz (insp.).

III r z ą d: Genepp (francuz), Ruta.

do maturzystów, wydawał matury i składał życzenia przez podawanie ręki.

Duże też były trudności przy fotografowaniu się maturzystów, o ile wśród nich byli Rosjanie, przytem fotografowano się z nauczycielami lub bez. Gdy fotografowano się bez nauczycieli, grupa miała charakter polski, a nawet patriotyczny, bo umieszczano na niej polskie napisy i odpowiednie wyjątki z naszych wieszczów. Naturalnie, z takimi grupami musiano się kryć do otrzymania matur, gdyż, o ile o takich grupach dowiedziałyby się władza gimnazjalna, mogłoby to wpłynąć na brak dojrzałości politycznej maturzystów i na wstrzymanie im matur. Takie grupy można było przygotować tylko w Warszawie, nie były one do pomyslenia na prowincji, gdzie taka rzecz mogłaby łatwo dojść do władzy. Grupy maturzystów „mieszanych” zawsze były nieme, to jest bez żadnych napisów, tylko oznaczano rok wydania matur. Po otrzymaniu matur maturzyści jeszcze byli pod opieką gimnazjum. Mianowicie, przed egzaminami każdy maturzysta obowiązany był złożyć na piśmie oświadczenie, co zamierza studjować i w jakim uniwersytecie. Po wydaniu matur każde gimnazjum w osobie dyrektora obowiązane było na podstawie (kartoteki) dać szczegółową charakterystykę maturzysty pod względem naukowym, a zwłaszcza politycznym, odnośny zaś uniwersytet kierował się temi danymi przy przyjmowaniu maturzysty. Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek jaki maturzysta nie był przyjęty do uniwersytetu na podstawie danych, przesłanych o kandydacie.

Ten czysto policyjny środek miał na celu steroryzowanie młodzieży szkolnej, aby nie należała do żadnych nielegalnych kółek. U nas, w byłem Królestwie, istniejące kółka miały charakter patriotyczny, a tylko w wyjątkowych wypadkach polityczno-nihilistyczny, jaki się w całej pełni rozwinął w Rosji i doprowadził do zabójstwa cara Aleksandra II w 1881 r. Źródłem ruchu nihilistycznego w naszych gimnazjach byli starsi koledzy, którzy, po ukończeniu gimnazjum, udawali się na wyższe studia do rosyjskich uniwersytetów lub do wyższych specjalnych zakładów. Jak zaznaczyłem, ruch nihilistyczny u nas był minimalny, więcej rozwijał się ruch pozytywistyczny pod wpływem „Przeglądu Tygodniowego”, kiedy był redaktorem Wiślicki, i „Prawdy”—Świętochowskiego.

Nasi maturzyści Polacy-katolicy nie mieli wolnego wstępu do

uniwersytetów rosyjskich, zwłaszcza do wyższych zakładów specjalnych w Petersburgu — świetnie urządzonych i prowadzonych, do jakich należały: instytut dróg i komunikacji, szkoła dla architektów, instytut języków wschodnich i t. d. Wogóle wszyscy kandydaci do tych zakładów musieli zdawać egzamin konkursowy. Na takim egzaminie Polacy z Królestwa najlepiej zdawali i podlegali przyjęciu. Co zaś charakterystyczne, że wypracowania z języka rosyjskiego, jakie kandydaci na tym konkursie musieli opracowywać, były znacznie lepiej wykonywane przez Polaków, aniżeli przez Rosjan, zwłaszcza pod względem ortograficznym, gdyż maturzyści Polacy pisali bez błędu, a rosyjscy mieli słabe pojęcie o ortografii swego ojczystego języka. Temu niepomysłnemu dla siebie stanowi rzeczy rząd rosyjski zarządził w ten sposób, że Polacy musieli podlegać podwójnemu konkursowi: ogólnemu i wyznaniowemu. Najprzód Polaków-katolików przyjmowano 10 %, a gdy i to mało pomagało — 5%. Pomimo to wszystko Polacy kończyli wyższe zakłady naukowe specjalne i potem w głębi Rosji i Syberji zajmowali bardzo odpowiedzialne i intratne stanowiska w ministerjum komunikacji: budowali koleje, drogi, mosty i t. p.

Jako przykład, że Polacy wyróżniali się i zdobywali zaufanie sfer rządowych dzięki swej wiedzy i uczciwości, niech posłuży historia budowy portu wojennego w Libawie. Kiedy postanowiono tę kuracyjną miejscowość przebudować na port wojenny, ogłoszono konkurs, do którego mogli stawać tylko rosyjscy poddani (obywatele). Przystąpiono do rozstrzygnięcia konkursu i okazało się, że sąd konkursowy uznał za najlepszy projekt jakiegoś porucznika inżynierji wojennej Macdonalda. Ten projekt wzbudził ogólny zachwyt, ale autor jego miał nadzwyczajną wadę — był Polakiem i katolikiem, wychowawcą szkół łomżyńskich, więc przyjęcie tego projektu i powierzenie jego wykonania Macdonaldowi ze względu na jego pochodzenie i wyznanie było wykluczone. Ta sprawa nabrała wielkiego rozgłosu w całej Rosji. Znalazł się jeden z wysokich dygnitarzy, który odważył się przedstawić ją osobiście cesarzowi Aleksandrowi III. I oto ten wróg polskości i katolicyzmu, po zasięgnięciu specjalnej opinii rzeczoznawców, kazał przyjąć ten projekt, a wykonanie polecił młodemu porucznikowi. Często w owe czasy zdarzało się, że Polak, doszedłszy do wysokiego stanowiska, ukrywał się ze swem pochodzeniem i wyznaniem i odrazu zapominał mówić

po polsku. Macdonald, pomimo że rozporządzał miljonami i miał sobie powierzone bezpieczeństwo państwa na Bałtyku, nigdy nie wypierał się swego pochodzenia i religii, co sam mogłem stwierdzić, gdy mieszkalem w Częstochowie, dokąd Macdonald regularnie dwa razy do roku przyjeżdżał do matki, z którą podczas swego pobytu codziennie chodził na Jasną Górę, otaczał ją najczulszą miłością i, będąc już generałem, na każdym kroku manifestował swoje pochodzenie. Trzeba było widzieć, jak oficerowie miejscowego garnizonu skakali koło niego. Ciekawa była sprawa awansu Macdonalda na stopień generała. Kiedy po raz pierwszy przysłała kolej na Macdonalda, nie przyznano mu tego stopnia, gdyż był katolikiem; gdy poraz drugi zawakował awans generalski, wezwano Macdonalda i radzono mu, żeby na pytanie, jakiego jest wyznania, odpowiedział — protestanckiego. Macdonald się na to nie zgodził, a że stanowisko jego wymagało, żeby piastujący je oficer był w stopniu generała, w końcu już bez wstępnego porozumienia się mianowano Macdonalda generałem.

Wychowanie w gimnazjum.

Wychowanie uczniów w gimnazjum sprowadzało się do zera, bo jakież wpływ na uczniów mogli mieć ludzie obcy językiem i wiarą, do których już z piersi matek wyszła nienawiść i pogardę, wszystko zatem, co nam wkładali nasi wychowawcy w głowy, uważaliśmy za wrogie i nieszczerze. Pedagodzy zaś Polacy z małymi wyjątkami obawiali się wchodzić w bliższy kontakt z uczniami, aby władza nie podejrzewała ich, że wpajają jakieś atypaństwowe idee.

Cała akcja wychowawcza sprowadzała się do ścisłego nadzoru w murach i poza murami gimnazjum. Głównie śledzono, aby uczniowie nie rozmawiali po polsku, lecz to, można rzec śmiało, nic nie pomagało. Pomimo surowych kar za rozmawianie po polsku, a zależało to od siły rusyfikacyjnej danego gimnazjum, zawsze rozmawialiśmy po polsku bez względu na karę. Poza murami szkolnymi cały personel nauczycielski obowiązany był mieć dozór nad uczniami nietylko swego gimnazjum, ale i obcego, i w tym celu większe miasta były podzielone na dzielnice, a dla dozoru każdej dzielnicy wyznaczano specjalnego nauczyciela. Uczniom wolno było pozostawać na mieście w zimie do

6-ej godz. wieczorem, a latem do 8-ej. Uczniowie, którzy w mieście nie mieli rodziców i krewnych, musieli stać na stancjach, wskazanych przez władzę szkolną, która zasięgała opinii policji o kandydatach lub kandydatkach, pragnących otworzyć stancję.

Stancje te podlegały szczególnej opiece administracji szkolnej: inspektora, gospodarzów klasy i ich pomocników, zwanych pedlami. Tacy rewidenci przeważnie szukali książek polskich. Nie daj Boże, gdyby na stancji znaleziono książkę polską, to groziło już zamknięciem stancji, a właściciel książki mógł być nawet wydany z gimnazjum. Panowie rewidenci dopuszczali się takich rzeczy, że, szukając książek polskich, kazali wyrzucać słomę z sienników, otwierać kufry z bielizną i t. p. Czasem rewident celowo zabłąkał się do ucznia, mieszkającego u rodziców, i chciał stosować podobne metody. Wówczas dochodziło do scen, i takiego rewidenta wypraszano za drzwi. Do podobnego postępowania trzeba było mieć dużo odwagi. Niektórzy rodzice mieli ją.

Któż zatem wychowywał ówczesną młodzież szkolną? Jedyna na to odpowiedź — rodzina polska, a szczególnie matka Polka, której słuszenie należy się cześć i chwała. Tak było w zaborze rosyjskim, tak również było i w zaborze pruskim. Dzieci, mieszkające u rodziców lub krewnych, miały odpowiedni kierunek i przykład w domu. Gorzej było z tą młodzieżą, która stała na ogólnych stancjach. Lecz i ta młodzież nie zginęła, przeciwnie mocno strzegła tych uczuć, jakie wyniosła z domu rodzicielskiego, a które odnawiała i utrzymywała za każdym pobytem w domu rodzicielskim czyto w święta, czyto podczas wakacji. Oprócz tego w każdym gimnazjum tak w Warszawie, jak i na prowincji, istniały kółka samokształcące i biblioteki, do których należeli wszyscy uczniowie klas wyższych, a z niższych ci, na których można było liczyć, że nie zdradzą tajemnicy. W takich kółkach, jak to zwykle bywa, ćwiczono się w języku, literaturze i historii ojczystej, zdawano sprawę z przeczytanych utworów naszej literatury, omawiano treść gazetki uczniowskiej, bo taką prawie w każdym gimnazjum wydawano, o czym już wyżej mówiłem. Biblioteka była wspólna, rokrocznie kompletowana ze składek. Czasami niektórzy uczniowie, naturalnie mieszkający u rodziców, tworzyli własne księgozbiory. Podczas mojej praktyki nauczycielskiej spotkałem się z podobnym faktem w gimnazjum często-

chowskiem, gdzie uczeń VII kl., Łokuciewski, dzisiaj t. j. w r. 1935 sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie, miał śliczny księgozbiór autorów polskich od XVI w. Często też, jako nauczyciel, korzystałem z jego książek do wykładów literatury. W latach 1895—1900 Łokuciewski przyniósł mi do klasy Frycza Modrzewskiego „O naprawie Rzeczypospolitej”. Zapomniałem mu oddać tej książki. Łokuciewski dobrze o tem pamiętał i w r. 1929 zwrócił się do mnie, czy ja przypadkowo nie mam jego książki. Miałem, oddałem i wzajemnie podziwialiśmy się, że pomimo tylu lat, książka nie zginęła, a Łokuciewski pamiętał, komu pozyczył.

Naturalnie, zwłaszcza na prowincji, była wielka trudność w znalezieniu lokalu na zebrania kółek i na pomieszczenie biblioteki. Prawie zawsze znajdowali się rodzice uczniów — adwokaci, doktorzy lub inni ludzie niezależni, chętnie oddający swoje mieszkania na zebrania, które zwykle odbywały się w niedziele po uczniowskiej mszy św., kiedy cała moskwa biła pokłony w cerkwi. Ta okoliczność znacznie ułatwiała działalność kółek. Władze szkolne dobrze wiedziały, że takie kółka istnieją i tropiły je. W tym celu posyłały rewidentów do prywatnych mieszkań. Czasami udawało się im wykryć istniejące kółka, jak to miało miejsce w Radomiu, Lublinie, Płocku, gdyż zwierzchnicy taką działalnością chcieli pokryć swoje nadużycia (Siengalewicz), o czem już wyżej wspomniałem. Mędrsi dyrektorzy, chociaż i coś przeczuwali, niezbyt energicznie zabierali się do tej sprawy, bo śledzenie i wykrycie zabierało im dużo czasu i zawsze odbijało się na ich skórze, że źle prowadzą młodzież, jeżeli zdarzają się takie wypadki. Pomimo rozmaitych represyj kółka samokształcące i biblioteki istniały.

Rok 1905 w IV Gimnazjum Warszawskiem.

Lekcje w tym roku rozpoczęły się normalnie. Nic nie przepowiadało tej burzy, jaka miała niebawem wybuchnąć, a której absolutnie nikt z Rosjan nie domyślał się. Wówczas Japończycy toczyli zwycięską walkę z Rosją. Rosjanie spodziewali się, że to odbije się na stosunkach u nas w kraju, lecz przypuszczali, że to nastąpi po skończeniu wojny.

W ów pamiętny dzień, w sobotę 28 stycznia r. 1905, rano wszyscy zebraliśmy się w gimnazjum. Pierwsza lekcja od 9 — 10 odbyła się spokojnie, podczas drugiej zauważyłem na korytarzu często przechodzącego wolnym krokiem dyrektora gimnazjum Kościńskiego. Lekcja skończyła się przed czasem, o 5 minut wcześniej. Wszyscy uczniowie starszych klas wylegli na korytarz. Dał się zauważyć nadzwyczajny stan podniecenia. Widocznem było, że wszyscy na coś oczekują. Wtem dyrektor podszedł do mnie i pyta, co czynić, bo on ma telefoniczne wiadomości, że w innych gimnazjach uczniowie się buntują i nie chcą słuchać władzy szkolnej. Znając życzliwy stosunek uczniów IV gimnazjum do dyr. Kościńskiego, oświadczyłem, że on nie ma się czego obawiać, że jego osobiście żadna nieprzyjemność nie spotka. Dyrektor krótko się zastanowił i odrazu powziął decyzję co do przerwania lekcyj i zwolnienia uczniów do domu. Tak się też stało. Uczniowie w wesołym nastroju opuścili gmach szkolny. Dodam tutaj, co nie wszystkim jest wiadomem, że w organizacji strajku młodzież IV gimn. odegrała pierwszorzędą rolę. Tak się w IV gimn. rozpoczął historyczny bojkot rządowych gimnazjów rosyjskich. Taki sam przebieg rozpoczęcia bojkotu miał miejsce w gimnazjum Chrzanowskiego, gdzie był dyrektorem Wołkowski, również lubiany przez uczniów. W innych gimnazjach odbyły się znane już z innych źródeł sceny i awantury.

Rosjanie narazie nie zdawali sobie sprawy z groźnego dla nich położenia; ani na chwilę nie przypuszczali, że ten ruch młodzieży ma żywiołowy charakter, a sądzili, że to agitacja socjalistów, że żandarmerja wyłowi głównych agitatorów w kraju, a władza szkolna wydała niebezpiecznych uczniów i zajęcia zaczęła się normalnie. Jakże się mocno pomylili!

Jak zaznaczyłem, strajk zaczął się w sobotę dn. 28 stycznia r. 1905. W poniedziałek, 30 stycznia, wywieszono ogłoszenie o przerwaniu lekcyj, aż do odwołania. Charakterystyczną było rzeczą, że kurator Szwarz, pomimo powagi chwili, nikogo nie chciał przyjąć z władzy szkolnej, ale kazał czekać dnia przyjąć. Moje gimnazjum IV w końcu tygodnia otrzymało rozporządzenie kuratora, ażeby dyrektor zwołał radę pedagogiczną i oświadczył jej, że ze względu na to, że w IV gimn. nie było żadnych awantur i uczniowie rozeszli się spokojnie, on (kurator) nie miałby nic przeciwko temu, gdyby lekcje wznowiono, lecz ostateczną decyzję pozostawia radzie pedagogicznej. W niedzielę, 5 lutego,

dyrektor zwołał radę pedagogiczną i przedstawił sprawę rozpoczęcia lekcyj do jej decyzji. Dobrze pamiętam to posiedzenie. Pierwszy zabrał głos nauczyciel języków starożytnych Aleksiejew, późniejszy poseł od mniejszości. Ten, po wypowiedzeniu kilku komunałów, że w IV gimn. nie było żadnych nieprzyjemności i że to dla nas jest prawdziwym szczęściem, wypowiedział się za rozpoczęciem lekcyj. Drugi głos zabrałem ja i wyszedłem z tego założenia, że dla nas to szczęście, ale czy to będzie szczęściem dla naszej młodzieży? Jeżeli my rozpoczniemy lekcje, to naszą młodzież narazimy na największe przykrości ze strony uczniów tych gimnazjów, które lekcji nie rozpoczynają, a więc wszystkich innych. Wypowiedziałem się stanowczo przeciwko rozpoczęciu lekcji. Tu rozpoczęła się walka pomiędzy nauczycielem Rosjaninem i kandydatem do Dumy, a mną, skromnym nauczycielem przedmiotu nieobowiązkowego, jakim był język polski. Moje zdanie otrzymało 5 głosów (3 Polaków i 2 Rosjan), a Aleksiejewa — 8. Wówczas dyrektor, jako przewodniczący, przyłączył się do grupy mniejszości i wniósł votum separatum, przerwał sesję i po ostateczną decyzję, jak się w takich razach praktykowało, udał się do kuratora, który czekał na nasze rozstrzygnięcie. Myśmy czekali na powrót dyrektora, prawie z sobą nie rozmawiając. Wkrótce dyrektor wrócił i oświadczył, że kurator przychylił się do zdania mniejszości i postanowił lekcji nie rozpoczynać. Tym sposobem lekcje przerwano na 5 tygodni; dopiero na specjalne rozporządzenie ministra lekcje rozpoczęły się na tydzień przed świętami wielkanocnymi.

W tych czasach niezwykle była trudna rola nauczycieli Polaków, gdyż byliśmy pod specjalną obserwacją bezpośredniej władzy szkolnej i policji, na co przytoczę nawet dwa znamienne fakty.

Wszyscy wiemy, jak ruchliwym był kolega Włodarski, wówczas nauczyciel IV gimn. Uważał on za swój obowiązek patriotyczny brać udział we wszystkich tajnych zebraniach rodzicielskich. Kiedy jedno z takich zebrań odbywało się w obecności Włodarskiego, wkroczyła policja, zastała go tam i wówczas doniosła o tem kuratorowi. Włodarski przybiegł do mnie z tą wiadomością i zarazem, żeby się naradzić, jak się bronić, bo to z rozmaitych powodów była bardzo nieprzyjemna sprawa. Zadecydowaliśmy, że Włodarski ma iść do dyrektora, powiedzieć mu całą prawdę i prosić o obronę. Istotnie dyr. Kościński obronił Włodarskiego.

Drugi fakt: po przemówieniu mec. Peplowskiego na sławnym wiecu w Muzeum 19 lutego r. 1905, Włodarski, pod wpływem wrażenia, wpadł razem z żoną do bocznego gabinetu, gdzie po przemówieniu odpoczywał Peplowski, i oboje z żoną całowali Peplowskiego po rękach. Gdy na drugi dzień obydwaj z Włodarskim przybyliśmy do gimnazjum, spotkał nas dyrektor i w te słowa odezwał się do Włodarskiego: „Panie Włodarski, mówią, żeś pan wczoraj całował ręce Peplowskiego, niech pan pamięta, że teraz trudno już będzie pana obronić”. Włodarski mocno się zaczerwienił i słowa nie odpowiedział. Gdy zostaliśmy sami, spytałem, czy to prawda. Tak, odpowiedział Włodarski. Czy tam kto był więcej oprócz kolegi, spytałem. Nikogo absolutnie nie było, tylko drzwi trochę były uchylone.

Opowiadano wtenczas w całej Warszawie, że kiedy komitet tego wiecu pytał Mejera, ówczesnego oberpolicmajstra, czy przysle na zebranie tajną policję, ten chwilę pomyślał i krótko odpowiedział: „nie potrzeba”. O tej odpowiedzi Mejera krążyły rozmaite plotki.

Włodarski z początkiem roku szkolnego 1905/6 w sierpniu był przeniesiony do Łodzi za karę do gimnazjum, utrzymywane go przez Witanowskiego, skąd jen. Chrzanowski sprowadził go do siebie na dyrektora pierwszej szkoły polskiej prywatnej, otworzonej przez niego.

Po pięcioletniej przerwie w gimnazjach rządowych władze szkolne postanowiły na nowo rozpocząć lekcje na tydzień przed świętami wielkanocnymi, o czym zawiadomiono rodziców i uczniów zapomocą ogłoszeń, wywieszonych na drzwiach gmachów szkolnych. Pamiętny był ten poniedziałek w Warszawie, dzień rozpoczęcia lekcyj.

Przed gmachami szkolnymi dyżurowała młodzież wyższych klas, aby nie dopuścić mało uświadomionych uczniów niższych klas do wejścia na sale szkolne. Gdy to zauważyła władza szkolna, sprowadziła rozstawioną na ulicach policję. Młodzież, uciekając przed policją, zostawiała przyciśniętą we drzwiach buty i w skarpetkach uciekała na ulicę, aby znowu wpadać w ręce rozstawionej tam policji. Na ulicy również była rozstawiona straż społeczna: uczniowie i cywilni, których zadaniem było nie dopuścić do gimnazjów uczniów, spieszących na lekcje. Słowem, na ulicach miasta odgrywały się nader bolesne harce i chwytnie młodzieży. Lecz pomimo wszystko lekcje się rozpoczęły w całym kraju, ale w jakich warunkach, to jest przy jakiej liczbie

uczniów! Pozostali w gimnazjum albo ci, którym wcale nie zależało na języku wykładowym polskim — Żydzi w 75%, albo tacy, których rodzice nie rozumieli idei strajku, albo wreszcie tacy, którzy nie mieli funduszków na prywatną edukację, bardzo drogą. Takich chrześcijan Polaków było najmniej. Muszę w tym miejscu podkreślić, że prawie wszyscy nauczyciele Polacy kształcili swoje dzieci w szkołach prywatnych polskich po odebraniu ich ze szkół rządowych, w których ojcowie byli nauczycielami. Z tego powodu ojcowie nie mieli poważniejszych przykrości, a nam, Polakom, nauczycielom szkół rządowych, nie robiono trudności w przyjmowaniu lekcji w nowo utworzonych szkołach prywatnych z językiem wykładowym polskim.

Mam ścisłe dane co do liczby uczniów, którzy, po wyżej opisywanych wypadkach, zaczęli uczęszczać na lekcje po przerwie w kwietniu 1905 r. Przed wybuchem strajku uczniów w IV gimn. było około 300, a po strajku z tej liczby pozostało 30 i to prawie samych Żydów. W V kl. pozostał tylko jeden Żyd, Finkelkraut, który się wcale nie uczył języka polskiego tak, że lekcje wszystkich przedmiotów do ukończenia przez tego ucznia gimnazjum, t. j. do r. 1908 w klasach V, VI, VII i VIII odbywały się z jednym uczniem, a ja nie wykladałem wcale, lecz pensję mi płacono bez potrącenia. Te dwie wolne godziny, przeznaczone na język polski, zużytkowałem na wykłady w szkole prywatnej Konopczyńskiego. W innych wyższych klasach przez te 3 lata liczba uczniów wynosiła najwyżej 3—4, a pochodziło to stąd, że IV gimn. było klasyczne, to jest jedyne w b. Królestwie, w którym wykładano język grecki, więc o przyjęciu uczniów do wyższych klas z innych gimnazjów nie mogło być mowy. W innych gimnazjach liczba uczniów zredukowała się do 25%, pozostali Rosjanie i Żydzi. Inteligencja polska opuściła na zawsze ówczesne rządowe rosyjskie gimnazja.

Powyższy stan co do liczebności uczniów w gimnazjach rządowych istniał do końca roku szkolnego 1904/5. Z rozpoczęciem roku szkolnego 1905/6 zasadniczo zmieniła się sprawa przyjmowania Żydów do gimnazjum w b. Królestwie. Procent przyjmowanych Żydów, który dawniej wynosił 10, a w końcu 15, został zniesiony. Żydów przyjmowano bez ograniczenia. Tym sposobem niższe klasy gimnazjów zostały wypełnione prawie wyłącznie przez Żydów, tak że było ich 80—90%, a resztę stanowili nieliczni Rosjanie i Polacy. Rosjanie mieli do swojej dyspozycji

w Warszawie dwa gimnazja: I i VI. Do pozostałych tak zażydzonych gimnazjów Rosjanie niechętnie oddawali swoje dzieci. Wykazany przeze mnie pod względem narodowościowym procentowy skład ówczesnej młodzieży szkolnej w późniejszych przedwojennych latach nieznacznie się zmienił na korzyść młodzieży wyznania chrześcijańskiego. Polacy nigdy już nie stanowili w gimnazjach większości, lecz najwyżej 25% ogólnej liczby uczniów w gimnazjum, pomimo nawet faworyzowania ich przed Żydami przy przyjęciu do gimnazjów.

Tutaj trzeba szukać przyczyny tak gwałtownego opanowania przez Żydów wszystkich wolnych zawodów, a szczególnie stanu adwokackiego, lekarskiego i innych, czego dzisiaj jesteśmy świadkami. Nasi maturzyści prywatnych szkół polskich, i to zaможniejsi, kończyli wprawdzie wyższe zakłady naukowe zagranicą, ale po powrocie do kraju nie mogli wykonywać swoich zawodów, gdyż z punktu widzenia prawa rosyjskiego nie posiadali *żadnych* kwalifikacji. Jeżeli kto chciał korzystać z dyplomu zagranicznego, musiał przedtem zdawać maturę rosyjską, a potem powtórzyć egzamin ze swojej specjalności w jednym z uniwersytetów rosyjskich. Najlepiej wychodzili na tem ci, którzy przed wyjazdem zagranicę na studia uzyskiwali w kraju lub w Rosji maturę rządową, bo po odbytych studiach zagranicą nietrudno było otrzymać nostryfikację dyplomu zagranicznego, gdyż uniwersytety rosyjskie, z wyjątkiem warszawskiego, dosyć liberalnie traktowały te sprawy. Żydzi zaś otrzymywali łatwo matury i dyplomy w kraju i zajmowali z łatwością stanowiska, których nie można było obsadzać przez Polaków dla braku kandydatów z kwalifikacjami, o których wyżej mówiłem.

Już w połowie 1905 r. głośno mówiono o tem, że w Petersburgu główną winę przeprowadzenia strajku przypisują kuratorowi Szwarcowi. Zaczęto mówić o jego usunięciu ze stanowiska kuratora warszawskiego. Szczególnie nie mogli mu darować, że on, tak wysoki dygnitarz rosyjski w kraju, był obecny na wiecu w Muzeum i wysłuchiwał uwag polskich adwokatów, wygłaszanych w języku polskim. Pogłoski się sprawdziły. W październiku tegoż r. 1905 przeniesiono Szwarca na stanowisko kuratora do Moskwy. Zastosowano względem niego zasadę „promoveatur ut amoveatur”. W Moskwie Szwarc niedługo przebywał. Spotkał go tam ten sam los, jaki spotykał już przedtem nieraz dygnitarzy warszawskich, przenoszonych na równorzędne stanowiska do

głębokiej Rosji, a zwłaszcza do Moskwy, którzy, przyzwyczajwszy się do bezwzględного postępowania z bezbronnymi Polakami w Królestwie, chcieli te same metody stosować w Moskwie. Tak postępował wszechwładny kiedyś za czasów Hurki w Warszawie archijerej Leoncjusz. Moskwa ze sławnym uniwersytetem na czele i szkoły średnie zbojkotowały Szwarca, tak że musiał opuścić swoje stanowisko. Wkrótce był mianowany ministrem oświaty, a czasy jego rządów należą do najsmutniejszych w Rosji.

Następcą Szwarca na stanowisku kuratora w Warszawie był mianowany Bielajew od 1905 — 1911 r., długoletni profesor botaniki w Uniwersytecie Warszawskim, o którym jego słuchacze Polacy mieli dobre pojęcie, jako o człowieku oddanym nauce i nie odgrywającym pomiędzy profesorami i kolegami roli politycznej. Po objęciu obowiązków kuratora Bielajew zaczął działać pocichu, lecz bardzo czynnie i szkodliwie dla społeczeństwa polskiego, a włąśni jego urzędnicy z kuratorjum odzywali się o nim, jako o kuratorze wysoce szkodliwym dla Polaków.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że moskale w Warszawie po wybuchu strajku byli przejęci panicznym strachem, myśleli, że w Petersburgu mają zamiar zrobić Polakom pewne ustępstwa w szkolnictwie i że reforma w tym duchu nastąpi od września 1906 r. Wielu z Rosjan w obawie o utratę miejsca uczyło się języka polskiego i nawet zdawali odpowiedni egzamin dla uzyskania kwalifikacyj i muszę stwierdzić, że zdawali zupełnie dobrze, bo ja ich egzaminowałem z urzędu, gdyż byłem egzaminatorem z języka polskiego osób, które chciały uzyskać prawo nauczania języka polskiego w szkołach średnich i powszechnych. Na podstawie więc mego zaświadczenia kuratorjum wydawało odpowiednie świadectwa. Wprost wierzyć się nie chciało, żeby ci wszechwładni panowie na tyle upokarzali się i przystępowali do egzaminu z języka polskiego. Można sobie wyobrazić, jaka to dla mnie wielka była satysfakcja!

Tymczasem Bielajew działał. Poobsadzał wakujące stanowiska dyrektorów, inspektorów i nauczycieli, które w znacznej liczbie wakowały spowodu spodziewanej reformy i ustępstw dla Polaków. Opróż tego Bielajew ciągle zbierał działaczy rosyjskich na narady, gromadził materiały i przygotowywał memorjały dla władzy wyższej w Petersburgu, a wszyscy żyli w największym napięciu. Kiedy wreszcie Bielajew sprawę dostatecznie przygotował, wyjechał w lutym 1906 r. do Petersburga po ostateczne decyzje

w sprawie szkolnictwa. Pobyt Bielajewa w Petersburgu trwał około 2 tygodni, więc można było sobie wyobrazić, co się działo z moskalami w Warszawie, gdy Bielajew nie nadesłał żadnej wiadomości. Wśród ogólnego oczekiwania rozeszła się wiadomość, iż Bielajew wraca. Na przywitanie kuratora na stacji mogli być obecni tylko dygnitarze szkolni, inni zaś mieli oczekiwać i przywitać kuratora na dzisiejszym dziedzińcu uniwersyteckim, gdzie było stałe mieszkanie kuratora. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, pierwsze słowa wysiadającego z wagonu kuratora do oczekujących na niego były: „Wszystko po dawnemu”. Można sobie wyobrazić, z jakim entuzjazmem powitali Bielajewa obecni tam dygnitarze szkolni, a następnie oczekujący przyjazdu jego na dziedzińcu uniwersyteckim.

W ustroju więc szkolnictwa rządowego w Polsce nic się nie zmieniło dzięki zabiegom Bielajewa. Tak przynajmniej utrzymywali Rosjanie, którzy o przedstawionych przeze mnie faktach opowiadali z całą otwartością i cieszyli się, że zupełnie niespodziewanie w Bielajewie znaleźli takiego gorliwego obrońcę sprawy rosyjskiej w Polsce, którą oni uważali za poważnie zagrożoną. Lecz i Bielajew chełpił się, że, dzięki jego inicjatywie, rząd wprowadził poważne ustępstwa dla polskiej młodzieży w szkołach rządowych.

We wrześniu 1906 r. w szkołach rządowych wszelkiego typu otrzymaliśmy dwa rozporządzenia: 1. Pozwala się młodzieży szkolnej rozmawiać po polsku; tylko podczas odbywających się lekcyj młodzież w klasie obowiązana była w rozmowie pomiędzy sobą używać języka rosyjskiego. 2. Wykład języka polskiego w tych szkołach, gdzie ten przedmiot istnieje, odbywa się po polsku.

„Musztarda po obiedzie”; te rozporządzenia, wydane na parę lat przedtem, miałyby może znaczenie, obecnie zaś, wobec znikomej ilości Polaków w gimnazjach rządowych, pozostały bez żadnego wpływu i znaczenia wobec istniejących już wtenczas szkół polskich prywatnych.

Inne rozporządzenie, które specjalnie dotyczyło nas, Polaków, nauczycieli języka polskiego, było o powiększeniu nam pensji głodowej z 960 rb. (4.800 zł.) do 1.260 rb. (6.300 zł.) rocznie, ale w tej sprawie Bielajew nie odegrał żadnej roli, gdyż inicjatywę dał Szwarc na usilne nasze prośby i starania, poparte przez Spasowicza.

Od 1 lipca 1912 r. pensje wszystkich nauczycieli w całej Rosji były znakomicie podniesione i zależały tylko od cenzusu naukowego i ilości przesłużonych lat. Tym razem, dzięki staraniom, popartym na naszą prośbę przez sen. Rotwanda, nauczyciele jęz. polskiego co do wynagrodzenia byli zrównani z innymi nauczycielami. Pensja nauczyciela gimn. za 12 godzin tygodniowo wynosiła od 900 do 2.500 rb. (4.500—12.500 zł.) po 20 latach służby, a do tego jeszcze dochodziło wynagrodzenie za godziny nadliczbowe, wychowawstwo, bibliotekarstwo i t. p., co razem stanowiło do 2.000 rb. rocznie. Działo się to za rządów ministra Szwarca, kiedy również toczyła się sprawa o wynagrodzenie nauczycieli języka polskiego. Szwarz, b. kurator warszawski, nic nie wiedział, w jakich gimnazjach był wykładany język polski i jaki był stan prawny tego przedmiotu, jakie wynagrodzenie pobierali nauczyciele języka polskiego. Te wszystkie dane komunikowałem sen. Rotwandowi terminowymi depeszami. Po tej reformie tak się złożyło, że ja, jako nauczyciel języka polskiego, otrzymywałem najwyższe wynagrodzenie w IV gimn., czego mi nie mogli darować moskale.

W ten sposób ustaliły się po strajku stosunki szkolne w Królestwie w szkołach rządowych, a trzeba dodać, że władza szkolna była zadowolona, gdyż ich praca i odpowiedzialność zmniejszyły się znacznie, gdyż przedewszystkiem pozbyli się „buntowniczej” młodzieży polskiej, liczba uczniów w szkołach rządowych zmniejszała się, bo Polacy przeszli do szkół prywatnych, na prowincji pozamykano internaty, gdyż uczęszczająca do szkół rządowych młodzież była niezamożna, rekrutowała się głównie z ludności miejscowej i mieszkała u rodziców, a prowadzenie internatów było bardzo uciążliwe i odpowiedzialne tak dla dyrektorów, jak i dla wszystkich nauczycieli. Toteż w okresie hojnotu życie wewnętrzne szkół rządowych płynęło spokojnie. Nie było takich historyj, jakich byliśmy świadkami w czasach przedstrajkowych. Głośna tylko była w tych czasach sprawa Wojta, ucznia VII kl. warszaw. III gimn., syna dyrektora komory, — Rosjanina. Wojt, podczas klasówki z łaciny przepisywał tekst z klucza. Zauważył to nauczyciel (znowu ten niefortunny Uzdownski), siłą odebrał Wojtowi klucz i oddał dyrektorowi. Za ten „zuchwały czyn” dyrektor wsadził Wojta do kozy na 12 godzin w niedzielę. Wykonanie takiego wyroku należało do inspektora. Inspektor pijaczyna, Timaszew, wsadził Wojta do kozy o 9-ej rano o chlebie i wodzie, kazał zamknąć klasę na klucz, sam zaś był na pijatyce

i dopiero, po wyspaniu się, o 7-ej wieczorem przypomniał sobie, że Wojt siedzi zamknięty w kozie od 9-ej rano. Inspektor mieszkał w tym samym gmachu, więc pośpiesznie wypuścił Wojtę z kozy, a ten, nie rzekłszy słowa, opuścił gmach szkolny, udał się koleją do Pruszkowa i tam rzucił się pod przechodzący pociąg, który go rozjechał na śmierć. Chociaż Wojt był prawosławnym, synem dyrektora komory, a więc na owe czasy wysokiego dygnitarza, cała ta nader przykra historia skończyła się dla nauczyciela Polaka bez żadnych następstw. Całą winę przypisano wykonawcy wyroku inspektorowi Timaszewowi, moskalowi. Za karę przeniesiono go na takież stanowisko do Kalisza, skąd go Niemcy na początku wojny wywieźli do Niemiec, gdyż nie zdążył uciec przed ich wkroczeniem.

W tym okresie rusyfikacja została zahamowana, bo i kogoż było rusyfikować, kiedy zabrakło odpowiedniego materiału. Bielejew nie lubił brać udziału w zabawach gimnazjalnych, które były środkiem rusyfikacyjnym, więc władze gimnazjalne za rządów Bielejewa nie urządzały zabaw, bo na tej drodze nie mogły zdobyć kariery.

Ostatni kurator Lewickij.

Okoliczności się zmieniły, kiedy w 1911 r. kuratorem został Lewickij, który miał już trzecią żonę, podobno Polkę, dawną swoją bonę, lubiącą się bawić i młode córki. Wówczas zaczęły się w gimnazjach zabawy, które, mojem zdaniem, były bardzo niebezpieczne dla naszej młodzieży polskiej, gdyż ułatwiały rusyfikację, ale tylko pozornie. Na zabawy w gimnazjach sprowadzano Rosjanki, uczennice z rosyjskich gimnazjów, tańczono rosyjskie tańce narodowe w kostjumach rosyjskich, otaczano naszą młodzież szczególną życzliwością i opieką materialną, słowem używano wszelkich środków, ażeby nawet życie pozaszkolne otoczyć opieką, scentralizować je w gmachu szkolnym i, o ile możliwości, zneutralizować wpływ rodziny. Niebezpieczeństwo dla naszej młodzieży było duże, gdyż znalazło się wielu zręcznych pedagogów Rosjan, którzy ten plan przeprowadzali, lecz tylko w klasach niższych, i, ze względu na skład uczniów w tym czasie, chwilowo dochodzili do pewnych dla siebie pożądaných rezultatów, zwłaszcza wśród Żydów, gdyż młodzież polska wyższych klas zawsze była odporna, chociaż

obecnie pochodziła z mniej kulturalnego środowiska. Kurator Lewickij był człowiekiem bardzo gładkim. Starał się być popularnym wśród społeczeństwa polskiego. Swojem postępowaniem nawet powstrzymywał zbytnią gorliwość swoich podwładnych a — co było rzeczą ważną — kierował się sprawiedliwością, czego dowodem były dwie sprawy pomiędzy dyrektorem gimnazjum a nauczycielami nieprawosławnymi.

Komuż w Warszawie w owych czasach nie była znana osobistość nauczyciela języków starożytnych IV gimn. Peltyna, Żyda. Wogóle było w gimnazjach warszawskich trzech Żydów nauczycieli: Herc, matematyk II gimn., Goldberg, klasyk VI gimn. i Peltyn, również klasyk IV gimn. O innych nauczycielach Żydach w b. Kongresówce nigdy nie słyszałem. Wyżej wymienieni nauczyciele Żydzi byli mianowani w latach 70-ych przez kuratora Wittego przez cały czas swej służby pozostawali w Warszawie i tam otrzymali emerytury.

Trzeba przyznać, że ci trzej nauczyciele Żydzi byli świetnymi nauczycielami, lecz o ile Herc i Goldberg cieszyli się wielkim uznaniem władzy, rodziców i uczniów, o tyle Peltyna władza zaledwie tolerowała, a uczniowie i, co za tem idzie, rodzice — nienawidzili. Herc i Goldberg to powagi pedagogiczne i moralne, Peltyn ze względu na swój niezgodny charakter i karierowiczostwo, przedstawiał wysoce niesmaczny typ tak w stosunku do kolegów, jak i do uczniów i rodziców. Zawsze trzymał się mocniejszych, t. j. Rosjan, a zwłaszcza dyrektorów, przy których często odgrywał dwuznaczną rolę, co się na nim mocno mściło. Z uczniami miał wieczne zatargi. Mnie, jako nauczycielowi języka polskiego, chciał okazywać pewne lekceważenie, jak to zwykł czynić moim poprzednikom, lecz ja mocno na to zareagowałem, przestałem mu podawać rękę i wogóle zerwałem z nim wszelkie stosunki urzędowe, bo prywatnych nigdy między nami nie było. W tak nielicznym środowisku zauważył to dyrektor i w rozmowie ze mną żądał, żebym zmienił swój stosunek do Peltyna, ponieważ personel nauczycielski stanowi jakby jedną rodzinę, a jeżeli ja tego nie uczynię, to on będzie zmuszony nas rozłączyć. *„To pan może zrobić i przedstawić sprawę kuratorowi, odrzekłem, ale zastrzegam sobie niezależność w mojem życiu prywatnem”*. Po tem ostrem przemówieniu dyrektor więcej nie wtrącał się do mojego stosunku z Peltynem, który w tej formie trwał 5 lat. Inicjatywę do nawiązania stosunków

pomiędzy nami dał Peltyn pod wpływem huk armat w październiku 1914 r., kiedy wszyscy moskale uciekli z Warszawy, a myśmy we dwóch zostali w gimnazjum.

Ogólnie mówiono, że Peltyn przyjął prawosławie, lecz to nie było zgodne z rzeczywistością. Istotnie, ze względu na swoje domowe stosunki, Peltyn w r. 1910 przyjął wyznanie kalwińskie, miał bowiem dzieci z marjawitką i trzeba było ustalić ich stan cywilny, gdy zbliżał się ich wiek szkolny. Syna Peltyn oddał do IV gimn., był on moim uczniem. Widziałem, że ten chłopiec otrzymał staranne wychowanie polskie, uczył się przykładowie języka polskiego i mógł innym służyć za wzór. Spowodu syna Peltyn urzędownie musiał stwierdzić swoją narodowość. Stwierdził ją, i jak tym faktem, tak i wynikłymi z tego faktu konsekwencjami przynajmniej w części, w moich oczach zrehabilitował się, lecz ten fakt nie doszedł do wiadomości szerszej publiczności, a nawet do wszechwiedzących uczniów. Rzecz się tak miała.

Rokrocznie układano statystykę uczniów pod względem narodowościowym, wyznania i pochodzenia. Takie dane powinien był zebrać i przedstawić radzie pedagogicznej do zatwierdzenia wychowawca klasy. Wszyscy tak uczynili, tylko wychowawca klasy, w której był mały Peltyn, tego nie uczynił przed sesją (była to kobieta). Podczas sesji wychowawczyni zwróciła się do Peltyna z zapytaniem: „Jakiej właściwie narodowości jest pański syn”? Peltyn zupełnie spokojnie odpowiedział: *„W tej sprawie pani wychowawczyni powinna była mnie spytać przed sesją jako ojca, a na sesji urzędowej nie jestem obowiązany odpowiadać na takie pytania, lecz, żeby nie wstrzymywać sesji, oświadczam: mój syn jest Polakiem”*. Takie oświadczenie Peltyna zrobiło piorunujące wrażenie na wszystkich Rosjanach, a zwłaszcza na dyrektorze. Po skończonej sesji dyrektor wezwał Peltyna do swego gabinetu i przeprowadził z nim ostrą rozmowę, której ja byłem mimowolnym świadkiem, i w zakończeniu żądał od Peltyna, żeby podał się do dymisji albo żeby prosił kuratora o przeniesienie do innego gimnazjum. Na to również w stanowczej formie Peltyn rzekł: *„Jak pan dyrektor, człowiek młody (około 40 lat), pozwala sobie w taki sposób odzywać się do mnie, człowieka starego, w sprawie, o której ja tylko mam prawo decydować* (dyrektor bowiem robił mu wyrzuty, że on śmiał przyznać się do polskości). *„Ja również dążę do rozstania się z panem, bo niech pan wie, że nie tylko nie należy*

do przyjemności razem z panem służyć, ale nawet oddychać tem samem powietrzem". Na tem konferencja się skończyła. Peltyn zauważył moją obecność i, pomimo że ze sobą zupełnie nie rozmawialiśmy, zwrócił się do mnie po polsku: „*Panie Wołyński, pan wszystko słyszał, co mam czynić?*” „*Czekać*”, odpowiedziałem, „*gdyż, o ile znam Lewickiego, pan sprawę wygra*”. Tak się też stało. Po kilku dniach dyrektor wezwał Peltyna do gabinetu, formalnie go przeprosił, chociaż od tego czasu patrzeć na niego nie mógł. Lecz muszę tutaj dodać, że to się działo w pierwszym roku wielkiej wojny. Smutny był koniec Peltyna. Przyszła wojna i razem z innymi Peltyn wyjechał do Rosji. W r. 1918 wrócił do Warszawy, starał się o jakieś zajęcie, lecz, ze względu na swoją opinię, zajęcia nie znalazł i umarł w nędzy w r. 1919. Umysłnie się dłużej zatrzymałem na historii tego niefortunnego człowieka i pedagoga, żeby go chociaż w części zrehabilitować. Jak na Żyda, Peltyn był ograniczony i za mało sprytny.

Inną sprawę pomiędzy dyrektorem a młodym nauczycielem, ale nie mającą charakteru politycznego, kurator również rozstrzygnął na korzyść nauczyciela. Taka wówczas nastąpiła zmiana stosunków; za dawnych kuratorów w obydwu sprawach nauczyciele byliby przeniesieni do innego gimnazjum w Warszawie lub nawet na prowincję.

Władza szkolna w tym okresie starała się dowieść wszelkimi sposobami, że pomimo strajku szkolnego w gimnazjach rządowych wszystko idzie jaknajlepiej: nauka jest dobrze postawiona, dawne stosunki z czasów apuchtinowskich należą do niepowrotnej przeszłości, młodzież przyzwyczaiła się do szkół rządowych i zaczyna je lubić, jak również, traktowana łagodniej przez personel nauczycielski, odnosi się do niego z większem zaufaniem. Chodziło teraz, żeby dla szkół rządowych pozyskać szerokie masy społeczeństwa polskiego, które od powstania szkół polskich zupełnie ignorowało szkoły rządowe i nie wchodziło z nimi w żadne stosunki, bo i poco, pytam się. Tem tłumaczy się niezwykle łagodne na nasze stosunki zachowania się kuratora, kiedy cała młodzież tak męska, jak i żeńska polskich szkół średnich prywatnych wzięła ostentacyjnie udział w pogrzebie Krzemińskiego, ostatniego członka Rządu Narodowego powstania styczniowego. Była to nadzwyczajna i imponująca manifestacja młodzieży szkół polskich na ulicach Warszawy. Cała sprawa ograniczyła się do tego,

że po pogrzebie kurator wezwał do siebie dyrektorów i dyrektorki szkół i prosił ich, żeby na przyszłość podobnych manifestacyj nie urządzali dla dobra powierzonej im młodzieży.

W r. 1912 umarł arcybiskup warszawski Popiel. Kurator Lewickij, spodziewając się, że młodzież szkół polskich weźmie udział w uroczystości pogrzebowej, wydał rozporządzenie, żeby również i młodzież katolicka szkół rządowych wzięła udział jak w eksportacji, tak i w nabożeństwie żałobnem w kościele św. Krzyża, gdzie miała się zebrać młodzież męska szkół prywatnych i rządowych. Władza szkolna, t. j. kurator obawiał się, żeby przy spotkaniu się tych wrogich sobie obozów nie nastąpiła jakaś scysja, jak to się przedtem stało na pogrzebie Prusa i dlatego wezwał mnie i osobiście prosił, pomimo przysłania mi urzędowego papieru, żebym w kościele podczas nabożeństwa objął kierownictwo i opiekę nad obydwoima obozami i, broń Boże, nie dopuścił do scysji. Obiecałem i udało mi się pomyślnie przeprowadzić tę sprawę w ten sposób, że pierwszeństwo oddałem szkołom polskim i w presbyterjum zajęła miejsce szkoła Konopczyńskiego, w której wykładałem i z którą byłem ściśle związany; młodzież szkół rządowych postanowiłem ustawić z prawej strony w kościele, młodzież prywatnych szkół — z lewej. Wszyscy przełożeni szkół prywatnych zgodzili się na mój plan, który z całą ścisłością został wykonany. Nabożeństwo odbyło się z wielką powagą i bez żadnego zajścia, lecz to kosztowało mię dużo nerwów. Po skończonem nabożeństwie wszyscy uczniowie szkół rządowych, biorący w niem udział, byli zwolnieni od reszty lekcji, taka była decyzja kuratora zgóry, a na mnie czekał urzędnik z kuratorjum z oznajmieniem, że kurator prosi mnie do siebie.

Poszedłem, zastałem kuratora niespokojnego i dopiero, gdy się dowiedział, że wszystko się odbyło spokojnie, serdecznie mi dziękował i zapewniał mnie o swojej wdzięczności i przychylności. Ja osobiście z tych stosunków nie korzystałem, lecz korzystali koledzy Polacy i sprawa polskich szkół, bo ze wszystkim zwracano się do mnie po radę i pomoc. Nikomu nie odmawiałem, o czem może powiedzieć coś starsza generacja nauczycielstwa, będąca dzisiaj już na wymarcu.

W r. 1912 wypadł jubileusz 50-letniego istnienia Warszawskiego IV Gimn. Męskiego. Dyrektorem tego gimnazjum był Nikonow, syn policjanta z Zamojszczyzny, wychowaniec Instytutu Filologicznego w Nieżynie. Był to zupełnie młody człowiek, lat trzy-

dziestu kilku, bardzo zręczny karjerowicz i bardzo niebezpieczny rusyfikator i wywierający wielki wpływ na Lewickiego. On to podał myśl, żeby skorzystać z jubileuszu IV gimn., obchodzić go najuroczyściej i na uroczystości jubileuszowe ściągnąć wielką liczbę b. wychowanców tego gimnazjum, którzy wówczas zajmowali najwybitniejsze stanowiska w społeczeństwie i którzy zapewne zechcą wziąć udział w tak ważnej uroczystości swojej „almae matris”.

Przedewszystkiem utworzono komitet redakcyjny dla wydania monografii historycznej tego gimnazjum. Lecz już na wstępie okazało się, że żaden z nauczycieli języka rosyjskiego nie chciał się podjąć tej pracy, bo obawiali się narazić czyto władzy, czyto społeczeństwu polskiemu. Jeden bowiem z nauczycieli języka rosyjskiego Komarnickij dawał prywatne lekcje tego języka wychowancom szkół polskich, mającym zdawać maturę rosyjską (rządową), a tego rodzaju lekcje były bardzo wysoko płacone: za godzinę lekcji od jednego ucznia brał Komarnickij od 6—10 rb. (30—50 zł.), a za zbiorowe — 25 rb. (125 zł.) za 1½ godziny. Jako autor monografii musiałby Komarnickij pisać ją w duchu wrogim dla Polaków, więc napewno straciłby lekcje, tak obfite źródło dochodów. Stanowczo odmówił tłumacząc się brakiem czasu i chorobą oczów.

Skończyło się na tem, że dyr. Nikonow kazał napisać monografię IV gimn. podrzędnemu nauczycielowi klasy wstępnej Wasiljewowi, a główne kierownictwo zastrzegł sobie. Wasiljew, chcąc się przypodobać władzy, popisał rozmaite bzdury i rzeczy wstrętne o strajku szkolnym i przedstawił naszą młodzież jako buntowników i t. p. Monografia musiała być przeczytana na radzie pedagogicznej i przez nią zatwierdzona. Na moje żądanie, poparte przez ks. Korsaka, prefekta gimn. (było nas tylko dwóch polaków) cały ustęp wstrętny dla nas Polaków został usunięty. Poza tem monografia przedstawia dość ściśle historję IV gimnazjum. Wspominam o tym fakcie, bo dawniej za wystąpienie o wykreślenie podobnego ustępu z monografii można było dostać dymisję.

Do tej uroczystości przygotowywano się w ciągu roku. W programie było wystawienie w oryginale dwóch utworów klasycznych: komedji Plauta i tragedji Sofoklesa „Edyp Król”. Nie szczędzono pieniędzy i z funduszków gimnazjalnych na ten cel asygn-

wano 5.000 rb. (25.000 zł.). Kiedy już ustalono datę obchodu, rozesłano mnóstwo zaproszeń wraz z monografią do b. wychowawców gimnazjum, zaproszono również wszystkich warszawskich dygnitarzy rosyjskich z gen.-gub. Skałonom na czele, postanowiono urządzić lukullusowe przyjęcie z szampańskim winem dla wszystkich gości, bo trzeba wiedzieć, że prawdziwe szampańskie podawano tylko gościom przy głównym stole (honorarios), a dla pozostałych — zwyczajne wino krymskie.

Z obchodu podam tylko jeden bardzo charakterystyczny fakt. Wobec wszystkich zebranych na sali gości ze Skałonom na czele odbyło się uroczyste posiedzenie rady pedagogicznej pod przewodnictwem kuratora, podczas którego na sali powstało małe zamieszanie: kilku uczniów wyższych klas starało się przedostać do przewodniczącego rady pedagogicznej (kuratora) i chcieli mu oddać trzymane w ręku arkusze. Kurator kazał im się zbliżyć i spytał: „O co chodzi”? Wówczas uczniowie oddali arkusze, a kurator głośno odczytał ich treść, że uczniowie IV gimn. w dniu dla nich uroczystym składają u stóp najjaśniejszego pana swe wiernopoddańcze uczucia i proszą kuratora o zakomunikowanie tego Naj. Panu. Po odczytaniu tego adresu zebrana publiczność krzyknęła „hura” i odśpiewano hymn „Boże cesarza chroń”.

Geneza tej sceny była taka, że dyr. Nikonow przed obchodem wezwał do siebie kilku uczniów klas wyższych, dał im przygotowany przez siebie tekst adresu i kazał go przedstawić kuratorowi podczas uroczystości w opisany powyżej sposób. Wiem, że uczniowie spoczątku buntowali się i nie chcieli wykonać polecenia dyrektora, lecz w końcu ulegli, bo to groziło złamaniem ich kariery. Oto, w jaki sposób pozyskiwano wiernych poddanych, żeby sobie robić karierę. Takie wypadki powtarzały się na każdym kroku. Cóż więc dziwnego, że w krytycznej chwili zabrakło „wiernych” poddanych dla obrony „ubóstwianego monarchy”.

Z zaproszeń, rozesłanych do b. wychowawców Polaków z IV gimn. formalnie nikt nie skorzystał, a zaledwie kilkunastu zajmujących urzędowe stanowiska przysłało depesze.

A więc i ta próba nie udała się. Więcej też eksperymentów tego rodzaju na terenie szkolnym nie podejmowano, lecz starano się urabiać młodzież w duchu przyjaznym dla siebie na terenie szkolnym zapomocą urządzania rozmaitych imprez, jak teatry amatorskie w języku rosyjskim, wieczory literackie, majówki, wy-

cieczki. Nawet powzięto i wykonano projekt nieprawdopodobny, urządzenia wycieczki lądem do Japonji. Projekt ten wykonano w wakacje 1913 r., a w następnym 1914 r. zorganizowano wycieczkę do Turkiestanu. W drodze powrotnej, spowodu wojny, uczestnicy wycieczki mieli wielkie trudności. Przytem muszę zauważyć, że w obydwu wycieczkach Żydzi nie mogli brać udziału i żaden z uczestników nie mógł mieć aparatu fotograficznego, takie bowiem przepisy istniały w państwie rosyjskim. Te wycieczki miały na celu głównie pokazanie naszej młodzieży wielkości Rosji, zbliżenia jej z Rosjanami i usunięcia jej na czas dłuższy od wpływu rodziny.

Po wybuchu wojny wszyscy spodziewaliśmy się, że przede wszystkim w szkolnictwie nastąpią pewne reformy i ustępstwa. Nawet w tak dla Rosji groźnych chwilach żadnych ustępstw nam nie uczyniono. Za wielkie ustępstwo Moskwa uważała, że w r. 1915 w maju, już po Gorlicach, władze szkolne urządziły w Teatrze Letnim, w Saskim Ogrodzie poranek, w którym brała udział młodzież szkolna obydwu narodowości — polskiej i rosyjskiej, tylko szkół rządowych i każda deklamowała utwory swoich wieszczów w swoim ojczystym języku. To był pierwszy wypadek od czasów wprowadzenia języka rosyjskiego jako wykładowego, a ściślej określając od r. 1870, że dopuszczono język polski publicznie na poranku, urządzonym przez rosyjskie władze szkolne. Podam tu jeszcze jeden fakt, jakim władze szkolne rosyjskie zakończyły u nas w kraju swoją działalność, tak dla nas przez tyle lat tragiczną. W maju 1915 r. przyszło rozporządzenie ministra oświaty z Petersburga, na mocy którego każda ze szkół prywatnych polskich mogła u siebie urządzić egzaminy maturalne przed swoimi nauczycielami, naturalnie w języku polskim, w obecności dwóch delegatów kuratorjum z tem, że matury w ten sposób przeprowadzone będą miały znaczenie matur rządowych.

Zaskoczeni tem rozporządzeniem przełożeni szkół polskich i młodzież wprost nie wiedzieli, jak się ustosunkować do tego nieoczekiwanego rozporządzenia, a młodzież zaczęła się burzyć. Wówczas zwrócono się do mnie, czy ja nie mam w tej sprawie jakich poufnych wiadomości. Wiedziałem, że kuratorjum przygotowało już komplety delegatów Rosjan — zwykle jednego dyrektora i jednego nauczyciela — i że w liczbie ich był mój dawny kolega z Częstochowy — Sergjusz Neapolitański, który

do mnie miał zupełne zaufanie. Do niego się też zwróciłem i on mi zakomunikował, że kurator Lewickij wezwał wszystkich delegatów do siebie, konferował z nimi przeszło godzinę i wkońcu mniej więcej dał im taką instrukcję: *„Panowie, wiedźcie o tem, że łaska cesarska daje się poto, aby obdarowani mogli z niej w całej pełni korzystać, a nie poto, żeby ją obchodzić. Na mnie spadł zaszczyt wprowadzenia w wykonanie łaski cesarskiej, jaką otrzymali Polacy, i ja bezwzględnie będę stał na straży ukazu cesarskiego. Macie asystować na egzaminach maturalnych w szkołach prywatnych polskich, lecz egzamin prowadzi dyrektor danej szkoły, a egzaminują nauczyciele tejże szkoły. Wam nie wolno wtrącać się do egzaminów, a gdyby kto z panów chciał zadać pytanie, to tylko za pozwoleniem przewodniczącego i w języku polskim. Pamiętajcie, kto się do tej instrukcji nie zastosuje, odbije się to na jego karjerze służbowej. Skończyłem”*.

O takim postawieniu sprawy zakomunikowałem szkole Konopczyńskiego, w której wykładałem, dyr. Górskiemu i nauczycielowi Wacławowi Jezierskiemu, z którym łączyły mnie osobiste stosunki i który w imieniu szkół żeńskich w tej sprawie do mnie się zwrócił. Ta wiadomość uspokajająco podziałała na młodzież ku wielkiemu zadowoleniu rodziców. Egzaminy odbyły się spokojnie, żaden z delegatów słowa nie odezwał się na egzaminie, jedni dlatego, że niedostatecznie znali język polski, inni znowu, żeby nie plamić ust mową polską, bo i tacy byli.

W końcu lipca tegoż roku Moskwa uciekła z Warszawy i wogóle z b. Królestwa, z miast jeszcze nieokupowanych, a więc znowu w ostatniej chwili dano ulgę, która była musztardą po obiedzie.

Jeszcze wspomnę o jednym fakcie: w końcu 1914 r., już po odezwie wielkiego księcia do Polaków, zawakowało stanowisko dyrektora Instytutu Głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie. Ogólnie w sferach polskich sądzono, że nareszcie ci nieszczęśliwi otrzymają dyrektora Polaka i ogólnie utrzymywano, że ja miałem być mianowany na to stanowisko. Lecz, ku ogólnemu zdumieniu, na to stanowisko został mianowany kantonista Własow, b. nauczyciel języka rosyjskiego IV męskiego gimnazjum, jedna z najwstrętniejszych osobistości tego okresu. Ja ocalałem, za co Panu Bogu dziękuję do dnia dzisiejszego, gdyż musiałbym z instytutem wyjechać do Rosji i przechodzić te udręki, jakie znosili moi koledzy Polacy.

Po wyjeździe do Rosji kurator Lewickij dostał dymisję, Jego

miejsce objął książę Kurakin, który urzędował w Rosji do wybuchu rewolucji. O dymisji Lewickiego opowiadano, że do tego przyczynił się hr. Wielopolski.

W r. 1914 był w ostatecznej formie ustalony i zatwierdzony statut polskich szkół prywatnych w b. Kongresówce. Na podstawie tego statutu wszystkie przedmioty miały być wykładane w języku polskim, z wyjątkiem języka rosyjskiego, historii i geografii Rosji. Tymczasem Lewickij wydał rozporządzenie, że cała historia i geografia (powszechna i Rosji) mają być wykładane w języku rosyjskim. Wówczas hr. Wielopolski telegrafował do ministra oświaty o tej interpretacji jego rozporządzenia przez kuratora Lewickiego — i minister również telegraficznie kazał kuratorowi odwołać jego rozporządzenie i wyraźnie wyjaśnić, że historia i geografia powszechna mają być wykładane w języku polskim. Od tej chwili już głośno mówiono o dymisji Lewickiego, gdyż podczas wojny władza nie znosiła żadnych tarć ze społeczeństwem polskim, a nawet z Polakami, pozostającymi na służbie rządowej. Lewickij już wcześniej naraził się władzom petersburskim. W r. 1913 miało się odbyć uroczyste poświęcenie soboru prawosławnego na Placu Saskim. Do tej uroczystości „urzędowa” Warszawa bardzo się przygotowywała, gdyż miał nawet przyjechać sam car. Ale rozeszła się wiadomość, że Polacy w żaden sposób nie dopuszczą, żeby w sercu Warszawy istniał sobór prawosławny i że w czasie poświęcenia wysadzą go w powietrze. Wobec tego przyjazd cara został odwołany, a gen.-gub. warszawski, zdaje mi się Maksymowicz, i inni dygnitarze, a w ich liczbie i Lewickij, pod pozorem ważnych spraw, na ten czas wyjechali do Petersburga i poświęcenie soboru odbyło się tylko w asyście nadzwyczaj licznie zebranej policji.

Nie mogę jeszcze pominąć jednego faktu, jaki miał miejsce na schyłku panowania u nas moskwy. W roku 1912 zostały otwarte jednoroczne kursy pedagogiczne przez warszawskie kuratorjum dla przygotowania nauczycieli i nauczycielek dla szkół średnich. Te kursy mieściły się w gmachu IV gimn. męskiego i uczęszczać na nie mieli prawo tylko kandydaci, którzy skończyli uniwersytet. Wykłady odbywały się wieczorem, a zajęcia praktyczne podczas lekcji w gimnazjum. Słuchacze musieli chodzić na lekcje doświadczonych nauczycieli danej specjalności lub też żeby poznać się z techniką prowadzenia lekcji. W tym charakterze często z rozkazu dyrektora miewałem takich gości na lekcji języka pol-

skiego. Kiedy po raz pierwszy przyszli na moją lekcję dwaj słuchacze, nie zauważyłem ich i zacząłem w klasie VII wykład o III części „Dziadów”. Lecz sprytni uczniowie zaraz mnie przestrzegli: „Proszę pana, mamy dzisiaj gości”. Odrązu zorjentowałem się i zmieniłem temat wykładu. Tymi gośćmi byli Rosjanie. Na te kursy w owych czasach bojkotu, t. j. od roku 1912—1915 uczęszczało również kilku Polaków, a w ich liczbie Ignacy Pytlakowski, emerytowany w sierpniu r. b. kurator Warszawskiego Okręgu Szkolnego.

Łaziska, k. Opola Ziemi Lubelskiej, 1936 r.

CHRONOLOGICZNY SPIS WAŻNIEJSZYCH FAKTÓW.

1839. Utworzenie Warszawskiego Okręgu Naukowego.
1841. Pierwszy krok do rusyfikacji szkół w b. Królestwie Polskiem.
1861. Reforma szkolnictwa przez Wielopolskiego.
1867. Ukaz cesarski o wprowadzeniu w szkołach języka rosyjskiego, jako wykładowego.
1868. Podróż inspekcyjna ministra oświaty Tołstoja.
1870. Usunięcie książek polskich z bibliotek gimnazjalnych.
1872. Reforma szkolnictwa w całej Rosji i w b. Królestwie Polskiem. Rozpaczliwy stan wykładów języka polskiego.
1874. Uroczyste obchody spowodu wprowadzenia reformy Tołstoja.
- 1879—1897. Rządy kuratora Apuchtina. 2 okresy w jego rządach.
1881. Zmiana niektórych przepisów egzaminów maturalnych.
1881. Wprowadzenie języka polskiego do wykładów religii katolickiej w Płocku, Lublinie i Warszawie. V gimn. męskiem.
1883. Mianowanie Hurki gen.- gubernatorem warszawskim i największe represje w kraju i w szkolnictwie.
1883. Spoliczkowanie Apuchtina przez studenta Żukowicza.
1884. Zaprzestanie mianowania Polaków nauczycielami gimnazjów.
1886. Wyjątkowe mianowanie Araszkiewicza nauczycielem warsz. IV gimn. męskiego.
1887. Wykrycie polskich bibliotek, utrzymywanych przez uczniów.
1888. Poświęcenie w Częstochowie pomnika Aleksandra II. Uczta w refektarzu jasnogórskim.
1889. Usunięcie ze stanowiska prefekta gimn. kieleckiego, ks. kan. Czerwińskiego.
1890. Obchód 50-lecia służby państwowej Apuchtina.
1890. Podróż inspekcyjna ministra oświaty Deljanowa.
1890. Sprawa uczestniczenia uczniów katolików w urzędowych nabożeństwach prawosławnych (galówkach).
1890. Reforma min. Deljanowa w nauczaniu języków starożytnych.
1892. Obchód śmierci Sergjusza Radonieńskiego i historia zarządzania wieczorów literackich w gimnazjach.
1893. Zamienianie gimnazjalnych kaplic katolickich na cerkwie. Historia kościoła gimn. w Częstochowie i dymisja dyr. Dachnowicza.

1894. Wstąpienie na tron Mikołaja II. Żądanie składania przysięgi w jęz. ros., dymisja ks. Jüttnera, prefekta gimn. częstochowskiego. Walka o język przysięg, składanych przez urzędników katolików.
1894. Stancje uczniowskie. Otwarcie internatów dla uczniów w Warszaw. Okręgu Naukowym w celach rusyfikacyjnych.
1894. Ufundowanie szkoły realnej w Sosnowcu przez Dytla. Przyjazd na otwarcie szkoły gen.-gub. Szuwałowa. Pobyt Szuwałowa na Jasnej Górze.
1895. Wizytacja Apuchtina gimnazjum częstochowskiego.
1895. Moje wystąpienie do Apuchtina o powiększenie liczby godzin języka polskiego i powołanie się na rozkaz cesarski z 1882 r.
1897. Nominacja ks. Imeretyńskiego na gen.-gub. warszawskiego, dymisja Apuchtina i nominacja Ligina.
- 1897—1899. Rządy Ligina.
1897. Składki na pomnik Mickiewicza i na rozmaite cele.
1898. Utworzenie komisji do opracowania programu nauczania języka polskiego.
1898. Rozporządzenie ministra oświaty w sprawie języka modlitwy, odmawianej przez uczniów katolików, ewangelików i kalwinów przed i po lekcjach.
1899. Śmierć Ligina. Zwiedzenie przez ks. Imeretyńskiego Zagłębia i Częstochowy.
- 1900—1903. Rządy kuratora Zengera.
1902. Obchody jubileuszowe 50-lecia śmierci Hohola i Żukowskiego. Pierwsze ostre protesty młodzieży polskiej.
1903. Walka uczniów katolików o wprowadzenie języka polskiego do wykładów religii w gimnazjach tak zwanych unickich.
- 1903—1905. Rządy Szwarca.
1904. Ustalenie programu języka polskiego z pozostawieniem języka rosyjskiego jako wykładowego. Wielkie trudności w lokowaniu młodzieży polskiej w gimnazjach, ograniczenia Żydów.
1905. Strajk szkolny. Wiec w muzeum. Przeniesienie Szwarca do Moskwy.
- 1905—1911. Rządy Bielajewa. Jego szkodliwa działalność.
1906. Ukaz cesarski w sprawie unickiej. Pozwolenie na wykłady języka polskiego w języku ojczystym i na rozmawianie uczniów pomiędzy sobą w gmachu szkolnym po polsku. Obawy Rosjan wobec spodziewanego wprowadzenia języka polskiego, jako wykładowego w gimnazjach rosyjskich. Działalność naczelnika kancelarii Okręgu Naukowego Agrańskiego. Historia przyznawania stypendjów młodzieży szkolnej. Martyrologia młodzieży szkolnej, a zwłaszcza maturzystów. Znakomite przygotowanie maturzystów polskich. Metody wychowania młodzieży. Skład uczniów w gimnazjach rosyjskich wskutek strajku. Zabiegi władzy szkolnej ściągnięcia do gimnazjów rosyjskich młodzieży polskiej.
- 1912—1915. Ostatni kurator, Lewickij. Łagodniejszy stosunek do społeczeństwa polskiego i szkół polskich. Pogrzeb arcybiskupa Popiela i Krzemińskiego, ostatniego członka Rządu Narodowego.
1912. Obchód 50-lecia istnienia Warszaw. IV gimnazjum męskiego. Zamaszowana rusyfikacja młodzieży polskiej w gimn. rosyjskich.

T R E Ś Ć.

	Str.
Pierwsze próby rusyfikacji b. Królestwa Polskiego	1
Reforma Wielopolskiego	2
Wprowadzenie języka polskiego, jako wykładowego	3
Reforma Tołstojowska	5
Personel nauczycielski	12
Programy szkolne	31
Nauka języków starożytnych, historii i innych przedmiotów	49
Język polski	60
Nauka języka polskiego i wizytacje.	83
Internaty	88
Wizytatorzy z Petersburga	94
Dymisja Apuchtina i nowy kurator	96
Czasy Ligina	97
Walka o język polski	100
Dążenia do pewnych ulg w szkolnictwie	102
Nominacja i działalność Szwarca	108
Represje i dręczenia młodzieży	116
Z za kulis Okręgu Naukowego	122
Stypendja dla uczniów szkół średnich	126
Z martyrologii uczniowskiej	129
Egzaminy maturalne	131
Wychowanie w gimnazjum	139
Rok 1905 w IV gimn. Warszawsk.	141
Ostatni kurator Lewickij	150

E R R A T A .

Na stronie 94 wiersz 4 i 5 od góry
zamiast: „Takich *wychowañców*
miała nasza młodzież!” powinno
być: „Takich *wychowawców*
miała nasza młodzież!”

60 -
1858/241063



